

TO NIE PIC! PRZE TO STRATEGIA

MÓWI NAJSZTUBOWI
PREMIER DONALD TUSK

>34

SZKOŁA PADANIA

Z WAWYŻSZYCH
CZENIACH

>18

BERLUSCONI ZMIENIŁ WŁOCHY

TELENOWELĘ

>38

RYMINAŁ W „PRZEKROJU”

150 LAT
ARTHURA

ONAN
OYLE'A >64

NASTĘPCY
ERLÖCKA
LMESA >44

NALEPSZY
OTOGRAF

SRÓD
OLICJANTÓW >75

WWW.PRZEKROJ.PL

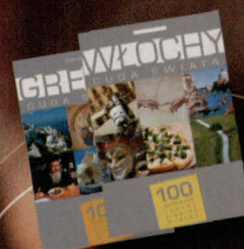
ISSN 0033-2488

20

INDEKS 371424



0033-248908



SZUKAJ WYDANIA
Z PRZEWODNIKIEM
„CUDA ŚWIATA”.
DO WYBORU
„WŁOCHY”
LUB „GRECJA”

ZOBACZ PRZE KROJ



FOT. EVANDRO INETTI/MARCO PHOTO/EPIC PICTURES; NA OKŁADCE: DONALD TUSK, FOT. DARIUSZ GORAJSKI/AGENCIA GAZETA

38

ROZWÓD PO WŁOSKU

Szalejący kryzys Włochów
zbyttnio nie obchodzi.
Oni mają Silvia i niekończący
się serial o jego kobietach

PRZED WSZYSTKIM

- 6 | **Komentarze**
Rafała Kostrzyńskiego
i Pawła Moskalewicza

PRZEKROJ TYGODNIA

- 8 | **Powiększenie**
Reanimacja staruszka
teleskopu Hubble'a
12 | **Kraj**
14 | **Świat**
16 | **Biznes:** ślub czy kocia łapa?

WYDARZENIA KRAJ

- 18 | **Czy prywatne uczelnie**
przetrwają niż?
22 | **Miłość od pierwszej umowy**
– papierowe małżeństwa
Polaków z obcokrajowcami
24 | **Świadkowie Jehowy**
chcą krwi (transfuzji)
25 | **Tusk na prezydenta,**
ale kto na premiera?

WYDARZENIA ŚWIAT

- 26 | **Unia rybna** – europejskie
łowiska opustoszeją?
30 | **Kat rozwesela** ubogich
32 | **Dr Andrew Tatarsky:** wszyscy
jesteśmy uzależnieni

LUDZIE

- 34 | **Najszub pyta Donalda Tuska,**
czy czasami nie działa według
tabloidalnej oceny sytuacji
38 | **Silvio Berlusconi** kocha
kobiety, media kochają jego
41 | **Jadwiga Sobol** – kobieta
czyniąca dobro
42 | **Malkovich** – casanova kina,
arystokrata stylu

CYWILIZACJA

- 44 | **Szukanie** po śladach
– kryminalistyka XXI wieku
48 | **Antymateria** – nie ma, a jest!
50 | **Korzystaj**

KULTURA

- 54 | **Premiera Warlikowskiego**
o nieludzkim ofiarowaniu
58 | **Książki:** Afryka odkryta,
Mroźek zebrany
60 | **Muzyka:** sieroty
po electroclashu
62 | **Film:** Masłowska stępiona

OTWÓRZ OCZY

- 64 | **Conan Doyle** stworzył
logicznego Sherlocka Holmesa,
ale uwielbiał zjawiska
paranormalne

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 3 | **W tym tygodniu** nie piszemy
70 | **Rozmaitości** z krzyżówką,
jolką i felietonami
75 | **Stopklatka**
3, 6, 70, 74 | **Raczkowski:** Rysunki

Złoty medal dla srebrnej ochrony

Molekuły srebra od wieków znane są ze swych antyseptycznych właściwości. Jako naturalny środek bakteriobójczy, zapobiegają powstawaniu przykrego zapachu i obniżają ryzyko infekcji bakteryjnych. Dlatego idealnie sprawdzają się jako składnik antyperspirantów.

Mężczyźni pocą się inaczej niż kobiety – średnio dwa razy częściej, a ich pot ma inny zapach, co spowodowane jest odmienną mikroflorą bakteryjną w tych miejscach na ciele, w których pocenie jest najintensywniejsze. Dlatego mężczyźni potrzebują zaawansowanej ochrony przed poceniem i powstawaniem nieprzyjemnego zapachu.

NIVEA FOR MEN Silver Protect to pierwszy antyperspirant o innowacyjnej formule opartej na molekułach srebra. Czemu jest tak wyjątkowy? Zastosowane w nim cząsteczki srebra likwidują bakterie, zapobiegając rozkładaniu przez nie potu, a co za tym idzie powstawaniu nieprzyjemnego zapachu. Jednocześnie NIVEA FOR MEN Silver Protect jest skutecznym antyperspirantem, dzięki czemu zapewnia 24 godzinną ochronę przed nadmiernym poceniem. NIVEA FOR MEN Silver Protect ma długotrwały, świeży męski zapach, który zamknięty został w designerskim, futurystycznym opakowaniu, odzwierciedlającym prawdziwie męski charakter.



Nasza NASA

Technologię wykorzystywania nanocząsteczek srebra opracowali naukowcy z NASA i tym oto sposobem, początkowo stosowana np. przy projektowaniu promów kosmicznych, trafiła m.in. do... łodówek i suszarek. Powłok z jonowanego srebra używa się także w klimatyzatorach, odkurzaczach i pojemnikach do przechowywania żywności oraz przy produkcji odzieży.



Antyperspirant NIVEA FOR MEN Silver Protect:

- zapewnia skuteczną 24-godzinną ochronę antybakteryjną i antyperspiracyjną;
- innowacyjna formuła z molekułami srebra skutecznie eliminuje bakterie;
- zapobiega powstawaniu nieprzyjemnego zapachu
- ma silny, męski zapach
- dostępny w trzech formach aplikacji: spray, sztyft, roll-on

Czy wiesz, że...

Jonowane srebro zabija 650 rodzajów wirusów, bakterii i grzybów szkodliwych dla człowieka. Jego antybakteryjne właściwości wykorzystywali już starożytni Grecy przechowując wodę i wino w srebrnych dzbanach. Na dzikim zachodzie sterylizowano mleko, wrzucając do naczyń srebrną monetę.



Walkower dla Tuska

Paweł Moskaiewicz

BOJKOTUJĄC DEBATĘ Z DONALDEM TUSKIEM NA POLITECHNICIE Gdańskiej*, „Solidarność” i OPZZ Stoczni Gdańskiej podały premierowi na tacy błyskotliwe zwycięstwo. Zaś szef rządu wyjątkowo sprawnie wykorzystał sytuację, bez trudu wygrywając wszystko, co było do wygrania. Zaprezentował się jako polityk nastawiony na dialog, szczerze zatroskany losem polskich stoczni. Otwarty, kontaktowy, życzliwy. Oraz skuteczny.

Oczywiście, zadanie Donalda Tuska nie było trudne. Przeciwników miał bowiem takich, o jakich mógł tylko pomarzyć. Spokojnych, kulturalnych, nieco przestraszonych. Przedstawiciele dwóch niedużych stoczniowych związków, jacy stawili się na debacie z premierem, sytuacja po prostu przerosła. Gdy deklarowali, że nie są zwolennikami palenia opon, budzili sympatię. Gdy jednak podczas dyskusji o rozpędzeniu warszawskiej manifestacji sami z siebie zaczęli domagać się zwiększenia uprawnień policji, sytuacja zaczęła być groteskowa. Tusk nie miał w tej debacie silnego partnera i chyba szkoda, że „S” odebrała sobie szansę zaprezentowania swego stanowiska w sprawie tak ważnej dla tysięcy ludzi. Premier wygłosił więc monolog – ale monolog ważny, podczas którego padło kilka istotnych deklaracji. Zarówno dla stoczniovców i ich rodzin, jak i dla ogółu obywateli oraz dla jakości polskiego życia publicznego.

Donald Tusk w sposób jasny wyłożył, o co chodzi ze stoczniami, skąd wzięły się ich kłopoty, co robi rząd, żeby im pomóc i jaka w tym rola „demonicznej” Komisji Europejskiej. Zapowiedział też, że lobbing naszego rządu w Brukseli już za chwilę powinien przynieść rezultaty. Wreszcie, że jeśli wszystko pójdzie źle, stoczniovcy z Gdańska mogą liczyć na takie osłony socjalne i odprawy, które otrzymali ich koledzy ze stoczni w Gdyni i Szczecinie.

Jednocześnie premier wysłał czytelną wiadomość: będę szanował związki, jeśli one będą szanować prawo. Nie ma zgody na dyktat związków w Polsce, a działacze nie zastąpią rządu, sądów i właścicieli. Teraz rzecz w tym, żeby premier dotrzymał słowa. □

• Duże centrale ogłosiły, że rezygnują z debaty, gdy premier zaprosił do niej również mniejsze stoczniovcy związki

WYWIŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



WIELEJ OBRZÓWKÓW NA WWW.PRZEKROJ.PL

AUNG SAN SUU KYI, PRZYWÓDCZYNI BIRMAŃSKIEJ OPZYCJI, 27 maja miała opuścić areszt domowy, w którym siedzi z przerwami 19 lat, w tym 6 lat ciągiem. Opuściła. Opuściła jednak nie tak, jak chciała. Zamiast wyjść na wolność, trafiła do Insein. Insein to główne więzienie w Birnie. Przepelnione cele bez toalet i łóżek, tortury, skazańcy skuci łańcuchami. Ogólnie – ostry rygor nawet jak na tamtejsze standardy.

Trafiła tam dlatego, że 53-letni John Yettaw z USA postanowił, że przepłynie jezioro, nad którym stoi dom Suu Kyi, i pogada sobie z laureatką pokojowego Nobla. Jeśli ta oficjalna wersja jest prawdziwa, mamy do czynienia z klinicznym przypadkiem półgłówka. Jeśli fałszywa, to jesteśmy świadkami prowokacji junty, która swojemu wrogowi wysłała wplaw nieproszonego gościa. Nie ma sensu

Podwójnie aresztowana

Rafał Kostrzyński



tego teraz ustalać. Tak czy siak, najważniejsza jest tu rola reżimu. A to bez wątplenia nie są dobrzy ludzie.

Aung San Suu Kyi grozi teraz pięć lat więzienia „za złamanie warunków aresztu”, choć nie zapraszała ona Yettawa.

Opozycja uważa, że jeśli proces będzie uczciwy, zakończy się uniewinnieniem. Święta racja, problem jest tylko z tym nieszczęsnym „jeśli”. Konia z rzędem temu, kto wierzy w niezawisłość sądu w Birnie. W zaplanowanych na przyszły rok wyborach, które junta ogłosiła „krokiem ku demokracji”, Aung San Suu Kyi prawdopodobnie nie wystartuje*.

Dobrze, że Zachód stanowczo potępił birmańską dyktaturę i zdecydował o zastrzeżeniu sankcji. Ale sankcje jeszcze nigdy nie pomogły w obalaniu reżimów. Irak miał sankcje, talibowie mieli, Iran, Kuba. Tu sankcje są bezużyteczne. Potrzebna jest twarda dyplomacja. Ciekawe, co zrobi sekretarz generalny ONZ Ban Ki-moon. Po szafranowej rewolucji pojechał do Birmy mediować, ale nie z tego nie wynikało. Jeśli teraz nie będzie bardziej stanowczy, efekty mogą być podobne, czyli żadne. A sankcje ze strony Narodów Zjednoczonych raczej nie należy się spodziewać, bo na ich wprowadzenie nie zgodzą się Chiny.

Twarda dyplomacja niedawno okazała się skuteczna. Iran w końcu zgodził się wypuścić amerykańską dziennikarkę skazaną początkowo na osiem lat więzienia za domniemane szpiegostwo i kupowanie alkoholu. Jest oczywiście pewna różnica między dziennikarką a znaną na całym świecie liderką opozycji, ale silny głos potępienia czyni czasem cuda. □

• Już raz wygrała. W 1990 roku. Zaraz potem za karę trafiła do aresztu

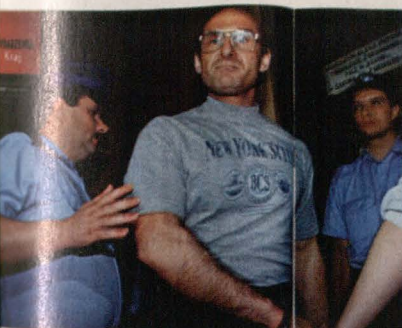
PRENUMERATA

W WYJĄTKOWO NISKIEJ CENIE!

Tylko teraz, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika „Przekrój”, zapłacisz 2,90 zł za egzemplarz.

Cena prenumeraty 202,80 zł 150,80 zł (52 tygodnie: 2,90 zł/egz. przez cały rok)

> GORĄCA PUBLICYSTYKA



CO Z TĄ mafią? 20

> NIEZWYKŁE ROZMOWY

NAJLEPSZY W ŚRODKU PRZEKROJ

LUDZIE NIE BEDE ROZDAWAŁ PIENIEDZY



> PORUSZAJĄCE ZDJĘCIA

Wybierz jeden ze sposobów zamówienia prenumeraty:

Zamów przez telefon: (022) 58 42 222 pn.-pt. w godz. 8-18, podając hasło: OBNIŻKA

Wyślij zamówienie SMS-em pod numer 72606 o treści PRENUMERATA.PRZEKROJ.OBNIŻKA., a po kropce wpisz imię i nazwisko oraz dokładny adres. Koszt SMS-a 2 zł netto (2,44 zł brutto).

Zamów przez e-mail: bok@edipresse.pl, podając hasło: OBNIŻKA
W zamówieniu należy podać: adres dostawy prenumeraty, tytuł czasopisma.

Za zamówioną prenumeratę zapłacisz listonoszowi przy odbiorze pierwszego egzemplarza. Uiszczysz także jednorazową opłatę pocztową w wysokości 5 zł.

Zamów za pomocą karty płatniczej: MasterCard, Visa, Classic, PolCard na www.przekroj.pl, (zakładka PRENUMERATA, podając hasło: OBNIŻKA). Prenumeratę zamawiamy zawsze z czterotygodniowym wyprzedzeniem. Cena prenumeraty obejmuje egzemplarz tygodnika „Przekrój” bez dodatków. Oferta promocyjna ważna od 21 maja do 17 czerwca 2009 roku.

Więcej informacji znajdziesz na stronie www.przekroj.pl

PRZĄZ KROJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Eile Jarkowicz, Joanna Woźnicko-Czerwik, Łukasz Drewniak, Igor Ryciak, Judyta Sierakowska, Krzysztof Szczepaniak, Anna Sulc, Paweł Wierczok; stale współpracuje Piotr Najstut ZAGARNICA: zagarnica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (szef), Anna Bajorek, Bogdan Krzel, Olga Piłśniak, Marek Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolik, Marcin Zegarek PROJEKT GRAFICZNY: Marek Knap STRONA INTERNETOWA: Marcin Cichowski KOREKTA: Dorota Dul, Tatiana Hardej REDAKTOR TECHNICZNY: Marcin Pieszczyk

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 25 25, FAKS (0-22) 584 25 21, WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY: Jacek Kowalczyk **ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO:** Bartek Chacichski, Paweł Moskaiewicz, Tomasz Płata **SEKRETARZE REDAKCJI:** Magda Gędziorowa, Marcin Pieszczyk

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Anna Myslik **SEKRETARIAT:** Iwona Chmielewska, tel. 584 25 25 **KULTURA:** kultura@przekroj.pl, Malgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępcza szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, Ola Salwa; stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski, Marcel Andino Velez **KRAJ:** kraj@przekroj.pl, Paweł Moskaiewicz (szef), Agnieszka Fiedorowicz

MILWA: stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski, Marcel Andino Velez **ZAGARNICA:** zagarnica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (szef), Anna Bajorek, Bogdan Krzel, Olga Piłśniak, Marek Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolik, Marcin Zegarek **PROJEKT GRAFICZNY:** Marek Knap **STRONA INTERNETOWA:** Marcin Cichowski **KOREKTA:** Dorota Dul, Tatiana Hardej **REDAKTOR TECHNICZNY:** Marcin Pieszczyk

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA SA, UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała **WICEPREZES WYDAWNICTWA I DYREKTOR WYDAWNICZY „PRZEKROJU”:** Ewa Redel-Bydlowska **DYREKTOR FINANSOWY:** Paweł Siatkowski **DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:** Alicja Modelcewska **ZASTĘPCY DYREKTORA ZARZĄDZAJĄCEGO:** Izabela Bochenek **DYREKTORZY ARTYSTYCZNI WYDAWNICTWA:** Elżbieta Sirańska-Zachowska i Bogdan Zachowski **MAREK KOSTRZYŃSKI** **DYREKTOR BIURA REKLAMY EDIPRESSE:** Agnieszka Bieńkiewicz **Z-CY DYREKTORA BIURA REKLAMY EDIPRESSE:** Malgorzata Perzanowska i Mariola Chlebicka-Zienkiewicz **PUBLIC RELATIONS:** Ewa Siniarska **DYREKTOR BIURA REKLAMY EDIPRESSE:** Agnieszka Bieńkiewicz **Z-CY DYREKTORA BIURA REKLAMY EDIPRESSE:** Malgorzata Perzanowska i Mariola Chlebicka-Zienkiewicz **PROMOCJA „PRZEKROJU”** promocja@przekroj.pl, Magda Kotowska – junior product manager, tel. 584 22 96, Katarzyna Brzozowska, tel. 584 22 05, Grzegorz Wilczek, tel. 584 25 94, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, faks (0-22) 584 25 92 **DYREKTOR DYSTYBUCJI:** Grzegorz Burej **DYREKTOR PRODUKCJI:** Danuta Kamińska **KIEROWNIK PRZYGOTOWAŁNI:** Paweł Szpygiel **BIURO OBSŁUGI KLIENTA** oraz **PRENUMERATA** – informacja, zamówienia, reklamacje, tel. (0-22) 584 22 22 (pn.-pt., godz. 8-18), faks (0-22) 584 22 32, bok@edipresse.pl **PRZECIŁCZĄCE PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU** **PRZECIŁCZĄCE RUCH SA – RUCH SA** prenumerata krajowa – 0 804-200-600, prenumerata zagraniczna – 022 53-28-816; 022 53-28-823

A full-page photograph of astronaut Mike Massimino in a white spacesuit working on the Hubble Space Telescope. He is positioned in the center-right, reaching towards the telescope's structure. The telescope's large, gold-colored thermal blankets and various instruments are visible. The background is the black void of space.

Powiększenie

Reanimacja z liftingiem

TELESKOP KOSMICZNY HUBBLE'A WŁAŚNIE PRZESZEDŁ NAJPOWAŻNIEJSZĄ I OSTATNIĄ OPERACJĘ W SWOIM ŻYCIU. 19-LETNI STARUSZEK ZYSKA DZIĘKI TEMU JESZCZE PIĘĆ LAT

Astronauta Mike Massimino w drugim dniu prac naprawczych teleskopu Hubble'a. Problemy, jakie napotkał podczas instalacji żyroskopów, sprawiły, że musiał wracać do służby powietrznej, by uzupełnić zapasy tlenu w skafandrze

Wyobraź sobie, że musisz zjeść ogromny talerz groszku, trzymając widelec przez dwie pary grubych zimowych rękawic. A teraz wyobraź sobie, że ten talerz groszku wart jest jakieś sześć miliardów dolarów, a zgubienie lub zgniecenie choć jednego ziarenka może zepsuć całe przedsięwzięcie. Cały czas słyszysz najlepszych na świecie specjalistów od groszku, którzy udzielają ci światłych rad, choć sami groszek widzieli tylko w postaci modelu. No i jeszcze wisisz nad tym talerzem w dziwacznej pozycji, opakowany w obciskający ciasno skafander, który jedną rurką odbiera twój mocz, a inną (oby) dostarcza picie. Dołóż do tego uczucie, jakbyś przystępował do najważniejszego egzaminu w życiu, dorzuć trochę stresu wynikającego z ciągłego zagrożenia życia i masz namiastkę tego, co robią astronauta niemal 600 kilometrów nad Ziemią, naprawiając teleskop Hubble'a.

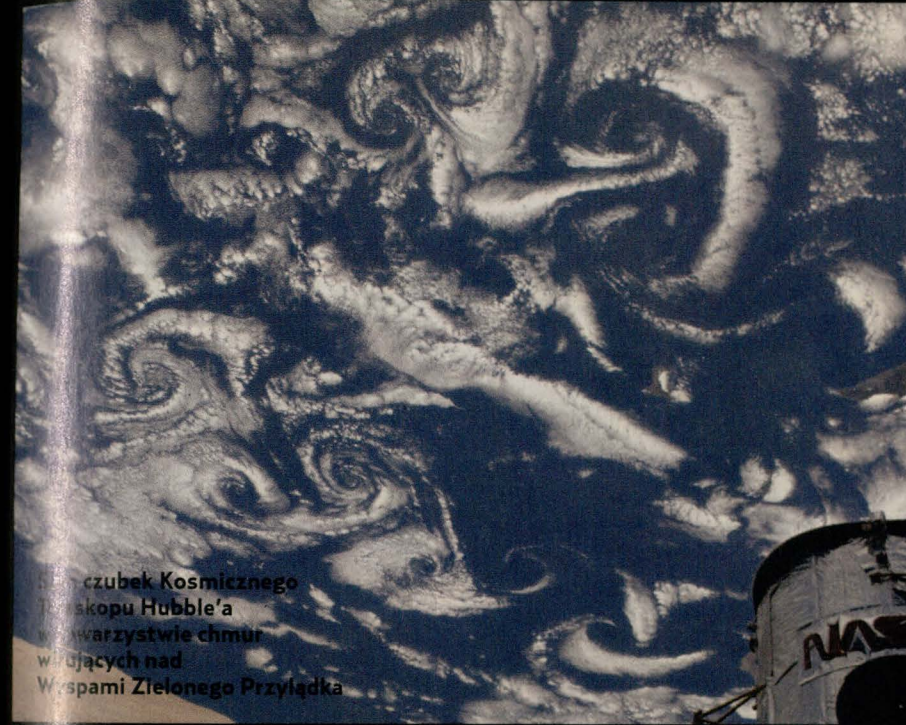
Ostatnia misja naprawcza, która kończy się 22 maja, przypomina trochę serwisowanie wartburga, który przez 19 lat pracy był w warsztacie tylko cztery razy. Napraw dokonuje się tylko wtedy, gdy sprzęt dosłownie się już rozsypuje, mało co działa i właściciel staje przed alternatywą: naprawić lub wyrzucić. Decyzja o naprawie jest tym trudniejsza, że mechanicy ryzykują życie. Po katastrofie promu Columbia w 2004 roku uznano, że nie będzie więcej napraw, bo teleskop Hubble'a znajduje się zbyt daleko od jedynej bezpiecznej przystani w kosmosie – Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Gdyby podczas odbywającej się na orbicie inspekcji stanu poszycia promu odkryto zagrożące jego konstrukcji uszkodzenia, astronauta nie miałby gdzie się schronić. Jediną ich nadzieją byłby Endeavour, drugi prom, który przez cały czas trwania misji czekał na wyrzutni gotowy, by ruszyć na pomoc. Kosmiczna ewakuacja byłaby niewiarygodnie trudna i ryzykowna – astro-

nauci musieliby przechodzić między wahadłowcami po prowizorycznie rozpiętej linie, na dodatek przesyłając w tej z powrotem kombinezony. Decyzja o porzuceniu Hubble'a została zmieniona dopiero przez nowego szefa NASA.

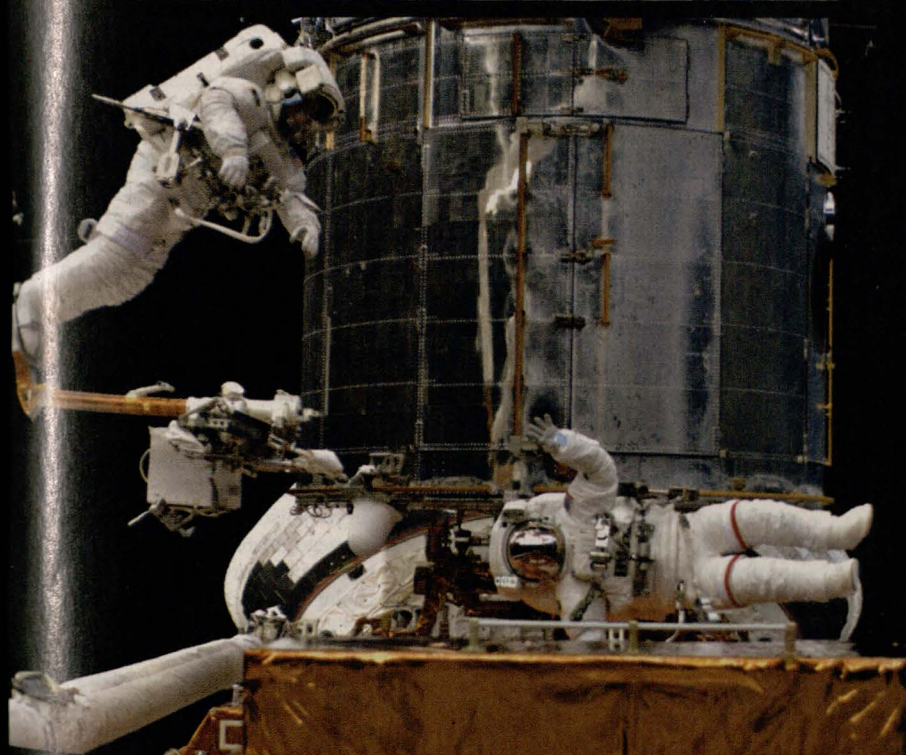
Na szczęście prom Atlantis przetrwał start bez większych uszkodzeń. Astronauci mogli skupić się na naprawianiu teleskopu. A było co naprawiać, bo urządzenie ciągnęło już resztką sił. Z sześciu żyroskopów odpowiadających za orientację w przestrzeni ważące 11 ton rury ze skrzydełkami działały już tylko dwa, bo jeden musiał pozostawać w charakterze rezerwy. Akumulatory zainstalowane w 1990 roku nie były wymieniane ani razu, więc w naturalny sposób ich pojemność spadła do niebezpiecznie niskiego poziomu.

Jednym z najpoważniejszych problemów okazała się awaria komputera odpowiadającego za zbieranie danych z instrumentów badawczych i wysyłanie ich na Ziemię. Nastąpiła ona jesienią zeszłego roku, tuż przed pierwotnym terminem startu misji naprawczej. To szczęście w nieszczęściu, bo start przełożono i przygotowano zamiennik tego kluczowego dla teleskopu urządzenia. Gdyby komputer popsuł się już po powrocie astronautów na Ziemię, cała ich misja nie miałaby większego sensu, ponieważ lot oznaczony jako STS-125 to ostatnia misja serwisowa teleskopu. W przyszłym roku loty wahadłowców mają zostać zawieszone (czytaj: zakończone) i nie będzie już na naszej planecie maszyny zdolnej dolecieć do Hubble'a.

Zespół opiekujący się teleskopem zadbał nie tylko o naprawę tego, co pęsnęło, ale także o potężne odświeżenie swojej zabawki. Zainstalowano w niej dwa zupełnie nowe urządzenia. COS, czyli spektrograf ultrafioletowy, pomoże obserwować największe struktury Wszechświata i badać Układ Słoneczny, a WCF3 to trzecia już wersja aparatu fotograficznego robiącego zdjęcia w ogromnym spektrum promieniowania. Naprawiono też trzy inne czujniki, które szwankowały w mniejszym lub większym stopniu. Oczywiście nie obyło się bez przygód – podczas każdego z pięciu wyjść w przestrzeń pojawiały się jakieś komplikacje. W skafandrach nawet odkrycie zwykłej śrubki to nie lada wysiłek, a tu okazało się na przykład, że nieruszone od 16 lat mocowania poprzednika WCF3 zacięły się i żadne zgodne z procedurami działania nie pomagają. Trzeba było zdrowego rozsądku i solidnej siły



Nos czubek Kosmicznego Teleskopu Hubble'a w otoczeniu chmur wiążących nad Wyspami Zielonego Przylądka



16 maja, trzecie wyjście w kosmos. Astronauci demontują COSTAR, urządzenie, które korygowało konstrukcyjny błąd polegający na złym ukształtowaniu lustra teleskopu. Teraz COSTAR jest już zbędny i zastąpiony został spektrografem COS

jednego z astronautów, by możliwa była wymiana głównego czujnika teleskopu. Kolejne wyjście przedłużyło się o dwie godziny przez głupie problemy z mocowaniem jednego z nowych żyroskopów.

NASA ma nadzieję, że ta reanimacja połączona z liftingiem podratuje Hubble'a na tyle, by pociągnął do 2014 roku, kiedy na or-

bitę trafi jego następca, teleskop Jamesa Webba. To ważne zarówno ze względów naukowych, jak i propagandowych – teleskop Hubble'a od lat jest projektem, którego istnienie i wyniki najbardziej przemawiają do tych, którzy wydali na niego ponad sześć miliardów dolarów, czyli amerykańskich podatników.

Piotr Stanisławski

**HUBBLE
JEST NADZWYCZAJ
PŁODNY. DO TEJ PORY
WYKONAŁ PONAD
570 000 ZDJĘĆ
29 000 OBIEKTÓW.
100 000 RAZY
OKRĄŻYŁ ZIEMIĘ,
PĘDZĄC Z PRĘDKOŚCIĄ
28 000 KILOMETRÓW
NA GODZINĘ
I POKONUJĄC
ODLEGŁOŚĆ PONAD
4 500 000 000
KILOMETRÓW**



Przed rozpoczęciem napraw Hubble został przechwycony i umieszczony w ładowni wahadłowca

Atlantis w drodze do pracy przelatuje na tle tarczy słonecznej. Wkrótce dotrze na wysokość 570 kilometrów w pobliżu teleskopu Hubble'a

KRAJ

Sędziowie pod lupą

Pierwszy raz Strasburg oceni wyrok Trybunału Konstytucyjnego

USTAWA O SPÓŁDZIELNIACH mieszkaniowych dała mieszkańcom prawo przekształcania ich lokali w odrębną własność. Ale Trybunał Konstytucyjny uznał przepis za sprzeczny z konstytucją i anulował go, bo spółdzielnie w ten sposób miały bezprawnie tracić majątek. Krajowy Związek Lokatorów i Spółdzielców zaskarżył wyrok TK do Trybunału w Strasburgu. Sprawa dostała właśnie sygnaturę, będzie więc rozpatrzona. W razie wygranej KZLiS liczy na odszkodowania od Skarbu Państwa. – *iggy*

Ławki jak mur berliński

Opolski amfiteatr przetrwa w kawkach

PRZEBUDOWA OPOLSKIEGO amfiteatru zacznie się w lipcu. Znikną drewniane ławki – zastąpione będą przez foteliki. Ale miasto chce zachować kawałki ławek jako pamiątki dla widzów. Na razie nie wiadomo, jak będą



dystrybuowane – ratusz pracuje nad sformułowaniem spójnej koncepcji pamiątkowej. – *iggy*

Kościół myśli o otwarciu

Obiekty sakralne mogą być przyjazne wiernym

MARKETY, LOKALE rozrywkowe i gastronomiczne gotowe są pracować bez przerwy, podczas gdy kościoły zwykle pozostają zamknięte „dla bezpieczeństwa” – zwracali uwagę uczestnicy 123. Zgromadzenia Plenarnego Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich w Polsce. Zalecają, by kościoły były otwarte przez cały dzień, a nie tylko na czas nabożeństw. To jeden z kilku sposobów przeciwdziałania laicyzacji. Wnioski Zgromadzenia mogą być włączone w programy działań Kościoła w Polsce. – *spa*

Najstłub i młotek

„Przekrój” zaprasza do licytacji prac z ASP

BLISKO 150 PRAC STUDENTÓW i profesorów stołecznej ASP będzie można oglądać od 25 maja w Traffic Clubie przy ulicy Brackiej w Warszawie. Będą tam też fotografie Tomasza Sikory, Jacka Poręby, Chrisa Niedenthala, Mikołaja Grynberga i Wojciecha Wieteski. Wszystko do kupienia 6 czerwca na licytacji, którą poprowadzą Piotr Najstłub i Rafał Bryndał. Dochód przeznaczony jest na renowację i wyposażenie pracowni fotografii ASP. Szczegóły na www.artinfo.pl. – *aj*

Kamera i weneckie lustro w pracy psychologa to za mało. Najważniejsza jest własna fiza

PRAWO ANNA SZULC

Psychoniemoc

Większość psychologów wydających formalne opinie działa dziś bezprawnie

USTAWA O WYKONYWANIU ZAWODU psychologa mówi: tylko wpisanie na listę Regionalnej Izby Psychologów (podległej Krajowej Izbie Psychologów) uprawnia do wydawania opinii dla sądów oraz przyjmowania pacjentów lub klientów.

Problem w tym, że ustawa obowiązuje już trzy lata, a Krajowej Izby Psychologów nie ma. Regionalne samorządy udało się stworzyć jedynie na Podlasiu, w Świętokrzyskiem i Zachodniopomorskiem. Oznacza to, że dziś wielu psychologów wystawia opinie bezprawnie.

Poza kontrolą

– Zapanowała dziwna niemoc. Tworząc izby, nie możemy się porozumieć w istotnych dla środowiska kwestiach – przyznaje profesor Adam Niemczyński, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, do którego należą cztery tysiące z kilkunastu tysięcy czynnych w Polsce psychologów. Dziś tylko fachowcy z PTP mogą się obawiać nieformalnej kontroli środowiskowej – skargi pacjen-

tów rozpatrywane są przez sąd koleżeński. Większość psychologów funkcjonuje poza jakąkolwiek kontrolą.

Przekonał się o tym kilka tygodni temu ojciec ośmiolatki, który w trakcie sprawy rozwodowej poprosił psychologów z Rodzinnego Ośrodka Diagnostyczno-Konsultacyjnego w Małopolsce o opinię na temat relacji w rodzinie. Ku zaskoczeniu mężczyzny psycholog uznał, że ojciec ma skłonności pedofilskie.

Martwe prawo

Mężczyzna interweniował u zwierzchników psychologa. Dowiedział się jednak, że specjaliści są niezależni. Gdy dociekał dlaczego, skoro zgodnie z prawem powinna nad nim czuwać Regionalna Izba Psychologów, RODK wyjaśniło mu (pisemnie!), że prawo jest martwe i co najwyżej może podać psychologa do sądu.

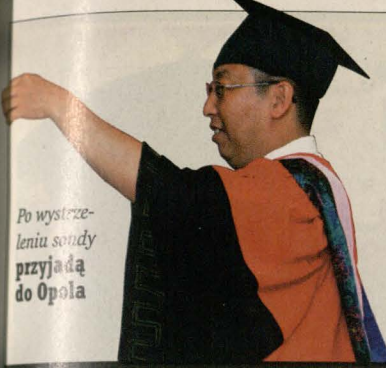
Spraw o bezprawne działania psychologów może być coraz więcej. O ile środowisko samo nie zadba o lepszą kontrolę zawodu.

Eurowybory

• RAPORT SPECJALNY • RAPORT SPECJALNY • RAPORT SPECJALNY •

Czytaj tylko w serwisie wiadomosci.wp.pl

INFORMACJE KOMENTARZE RELACJE ZDJĘCIA REPORTAŻE OPINIE FELIETONY



Po wystąpieniu sondy przyjeżdża do Opola

Nauka

CHIŃSKA MYŚL W POLSKIEJ SZKOLE

PO JEDNYM PROFESORZE Z CHIN NA KAŻDYM z sześciu wydziałów uczelni – oto plany Politechniki Opolskiej. – Mam nadzieję, że chińscy koledzy odpowiedzą na ofertę pozytywnie i już w przyszłym roku akademickim zainicjują u nas wykłady – mówi profesor Marek Tukiendorf, prorektor do spraw nauki Politechniki Opolskiej, który właśnie wrócił z delegacji do Chin. Dlaczego szkoła zaprasza Chińczyków? – Skoro potrafia wybudować tysiące drapaczy chmur i wysłać w kosmos sondę, to i nas wiele nauczą – wyjaśnia prorektor. Wśród zaproszonych wykładowców są fachowcy od budownictwa po akupunkturę (ci na wydziale wychowania fizycznego i fizjoterapii). Teraz uczyć w pekińskim Uniwersytecie Technicznym. W Opolu wykładowcy etatowo, po angielsku, nawet przez pięć lat. Finansowo we współpracy zaangażował się Instytut Konfucjusza w Opolu. Dlatego służy powiek władzom uczelni nie spędzają gaże profesorów, lecz unijne przepisy, które wydłużają weryfikację naukowych stopni Chińczyków. – *ana*

Pod nogami

BĘDZIE MNIEJ ŻAB

ŻABY NIE CHCĄ SIĘ ROZMNAŻAĆ, BO WIOSNA jest zbyt sucha. – Płazy lubią, gdy jest ciepło i wilgotno, wtedy jest najwyższa migracja. Do miejsc legowych w zbiornikach wodnych ruszają, gdy usłyszą pierwsze grzmoty – wyjaśnia Andrzej Wiśniewski, prezes Fundacji Ekologicznej „Żaba” w Starachowicach. W tym roku susza zatrzymała żaby w miejscach zimowania. – Tragedia. W poprzednich latach przenosiliśmy przez drogi dziennie 500–700 żab.

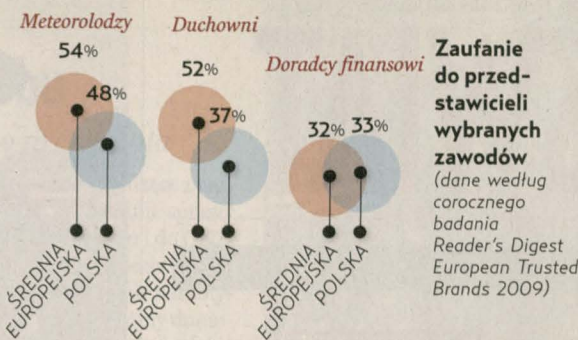
Teraz po kilkanaście – mówi prezes Wiśniewski. Z Wigierskiego Parku Narodowego, gdzie żyje 12 gatunków płazów, także dochodzą informacje, że w tym roku niespiesznie im do rozrodu. – *you*



Wiara

PROROCTWA PILOTA

NIE UFAMY LUDZIOM, KTÓRYCH ZAWODEM jest wieszanie i przepowiadanie. Z badania stopnia zaufania Europejczyków do poszczególnych zawodów wynika, że wszelkie prognozy i proroctwa powinien przedstawiać pilot samolotu pasażerskiego – jemu uwierzymy. – *aj*



89 procent Europejczyków ufa pilotom samolotów pasażerskich (84 procent Polaków). Najbardziej wierzą im oba narody ugrofińskiej grupy językowej, czyli Węgrzy i Finowie – po 95 procent. Najmniej Rosjanie – 72 procent.

REKLAMA

KOMUNIKAT

DO ABONENTÓW SIECI KOMÓRKOWEJ

INFORMUJEMY, IŻ W PRZYPADKU ZMIANY REGULAMINU PRZEZ OPERATORA SIECI KOMÓRKOWEJ, MACIE PAŃSTWO PRAWO ROZWIĄZAĆ UMOWĘ BEZ KONSEKWENCJI. POWTARZAM, BEZ KONSEKWENCJI.



W DUŻYM SKRÓCIE

Sonia wygrała

Indyjski Kongres Narodowy (IKN) zdecydowanie wygrał wybory parlamentarne w Indiach. Koalicja partii pod wodzą Kongresu zdobyła 261 mandatów w liczącej 545 miejsc izbie niższej. Wybory uznano za sukces Sonii Gandhi, przewodczyni Kongresu, i premiera Manmohana Singha, który jako pierwszy szef rządu po 1962 roku utrzymał się przy władzy na drugą kadencję.

Dalia rozgromiła

Dalia Grybauskaitė została prezydentem Litwy. Na unijną komisarz do spraw budżetu głosowało w pierwszej turze 69 procent wyborców, jej główny oponent Algirdas Butkevicius zdobył 11 procent głosów. Litwini wierzą, że Grybauskaitė, słynąca z twardej ręki była minister finansów, poradzi sobie z kryzysem.

Wybiegaj sobie prąd

Coraz więcej klubów fitness w USA instaluje technologię, która gromadzi energię wyprodukowaną przez ćwiczących na stacjonarnych rowerach i ruchomych bieżniach. 30-minutowa przebieżka daje prąd na godzinę pracy laptopa.

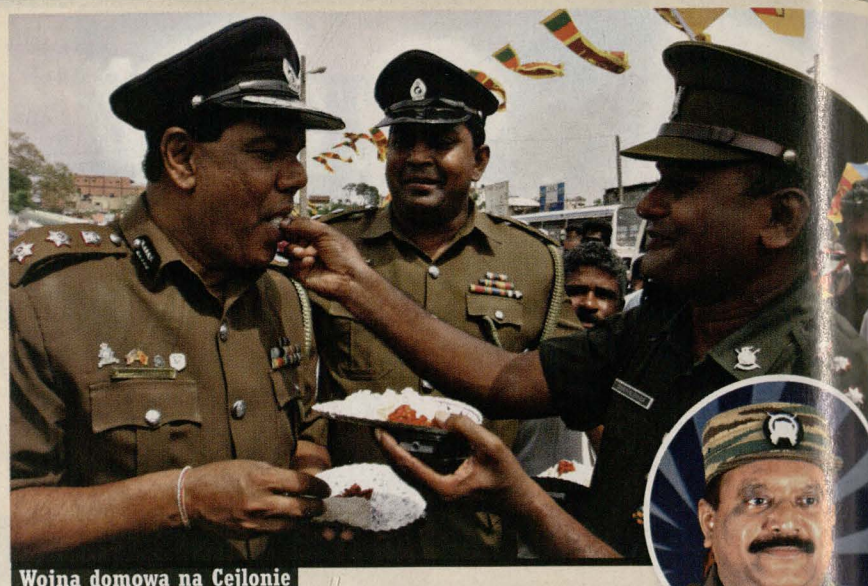
Kodowanie lasów

Liberia stempluje drzewa w dżungli kodem paskowym. Eksport drewna to 60 procent PKB tego kraju, jednak spora część towaru wsiąka w szarą strefę. Teraz wynajęta przez rząd angielska firma śledzić będzie każde z 200 tysięcy ochipowanych drzew – od chwili ścięcia do momentu przyjęcia drzewa przez odbiorcę.

PRZEDMIOT TYGODNIA:

Kutafon dla ludu

Wenezuela wyprodukowała tani telefon o nazwie Vergatario. Słowo *verga* – dosadne określenie męskiego przyrodzenia – często używane jest w żbitkach z innymi wyrazami, aby je zwulgaryzować. Prezydent Hugo Chávez, zachwalając produkt, wyraźnie rozdzielał *verga* od *tario* i przekonywał, że rzadki wyraz „vergatario” (dobrej jakości) można znaleźć w słowniku.



Wojna domowa na Cejlonie

SRI LANKA BEZ TYGRYSÓW

LIDER I CAŁE ŚCISŁE KIEROWNICTWO TAMILSKICH TYGRYSÓW NIE ŻYJA – oświadczył w poniedziałek rano lankijski rząd. To koniec 26-letniego konfliktu na Cejlonie, który pochłonął ponad 70 tysięcy ofiar. W sobotę Tygrysy wciąż kontrolowały obszar trzech kilometrów kwadratowych. Dwa dni później lankijska armia opanowała ostatnie skrawki tamilskiej ziemi na północno-wschodnim wybrzeżu wyspy.

Jeszcze w 2005 roku Tygrysy kontrolowały 20 procent Cejlonu. Ich powstanie wybuchło w latach 70. w odpowiedzi na represje wobec Tamilów ze strony rządu w Colombo zdominowanego przez stanowiących większość na wyspie Syngalezów. W latach 80. i 90. pod kierownictwem zabitego w poniedziałek Vellupillai Prabhakarana Tygrysy przeprowadziły kilkadziesiąt ataków terrorystycznych, pierwszy raz wykorzystując metody, z których potem korzystała Al-Kaida (na przykład samochód-pułapka). W 1991 roku ich ofiarą padł premier Indii Radżiw Gandhi.

W 2004 roku norwescy dyplomaci doprowadzili do zawarcia rozejmu, ale przetrwał on zaledwie kilkanaście miesięcy. Hasło do jego zerwania rzucił nowo wybrany prezydent Sri Lanka Mahinda Rajapaksa, który już podczas kampanii wyborczej obiecywał, że nie zgodzi się na żadną autonomię dla Tamilów. To on w styczniu podjął decyzję o ostatecznej ofensywie rządowej.

Według ONZ w jej trakcie zginęło ponad siedem tysięcy cywilów. Lankijski rząd tłumaczy, że to wina Tygrysów, którzy mieli wykorzystywać cywilów jako tarcze. – Prezydent Rajapaksa zapowiedział, że teraz postara się wciągnąć Tamilów do współrządzenia krajem – mówi „Przekroju” Christian Wagner, ekspert berlińskiej Fundacji Nauki i Polityki, autor wielu publikacji o Sri Lance. – Ale jeśli Tamilowie nie dostaną autonomii, Tygrysy mogą się odrodzić. – luc

Lankijscy oficerowie uczcili zwycięstwo miseczką ryżu. Poniżej: Zabity przywódca Tamilów Vellupillai Prabhakaran



KULISY WYWIADU USA

Wojna religijna

Rumsfeld miał „doprawiać” raporty dla Busha cytatami z Biblii

AMERYKAŃSKI MAGAZYN „GQ” DOTARŁ DO RAPORTÓW WYWIADOWCZYCH, Które na początku wojny w Iraku ówczesny sekretarz obrony Donald Rumsfeld przekazywał prezydentowi Bushowi. Teczki poza adnotacją „Top Secret” okraszone są zdjęciami i cytatami z Biblii. Niektóre cytaty są tak dobitne, jakby żołnierzy wysyłano na krucjatę. Oto przykłady:

Foto: Czołg na pustyni. Cytat: Dlatego weźcie na siebie pełną zbroję Bożą, abyście w dzień zły zdołali się przeciwstawić i ostać, zwalczając wszystko (List do Efezjan 6,13).



Foto: Przemawiający Saddam Husajn. Cytat: Taka bowiem jest wola Boża, abyście przez dobre uczynki zmusili do milczenia nie wiedzę ludzi głupich (1. List św. Piotra 2,15). Były rzecznik Rumsfelda broni swojego pryncypała: – Nie przypominam sobie zamieszczania żadnych cytatów z Biblii – mówi Lawrence Di Rita. – To są śmieszne zarzuty.

Jednak brytyjski dziennik „The Daily Telegraph” sugeruje, że niezbyt religijny Rumsfeld specjalnie dopisywał biblijne cytaty, aby sprokować do działań na przyszłość – następnym razem musimy wystawić Polaka, który ma korzenie z Bugiem, krewnych na Bałkanach i śpie- wa po szwedzku. – joa

GWATEMALA

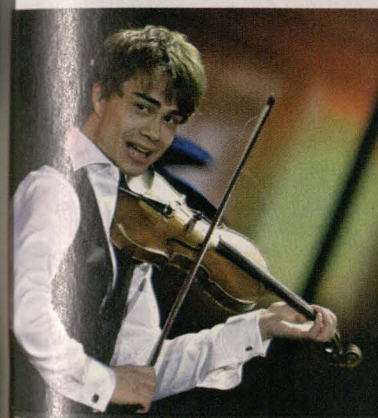
Prześlanie z za grobu

Martwy prawnik rzuca oskarżenie na urzędującego prezydenta

JĘŚLI OGLĄDADZIE TO NAGRANIE, TO ZNACZY, ŻE JA, Rodrigo Rosenberg Marzano, zostałem zamordowany przez prezydenta Álvaro Coloma” – to fragment 18-minutowego filmu, w którym zmarły niedawno adwokat oskarża gwatemalskiego przywódcę o zlecenie zabójstwa. Marzano zastrzelili nieznani sprawcy, a wspomniane nagranie rozdawa- no dziennikarzom w czasie jego pogrzebu. Marzano twierdzi też, że Colom wraz z żoną zlecieli dwa in-

ne zabójstwa oraz prali pieniądze pochodzące z narkotyków. Prezydent zaprzecza. O zbadanie sprawy zwrócił się do amerykańskiego wywiadu i do ONZ. Według Coloma nagranie to spiszek przeciwników, którym nie podoba się, że zwalcza kartele narkotykowe i rozlicza zbrodniarzy z czasów wojny domowej (1960–1996). Sprawa poróżniła Gwatemalczyków. Jedni deklarują dożgonne poparcie dla prezydenta, inni żądają, by ustąpił. – syl

Dla tych demonstrantów prezydent Colom to gangster i morderca



Piosenka i polityka

EUROWIZJA JAK W BAŚNI

W 54. FINALE EUROWIZJI ZWYCIĘŻYŁ SOJUSZ imperium wikingów z układem warszawskim.

Dla Rosji finał był igrzyskami dla ludu (konkretnie: stu milionów widzów), organizatorzy dali więc z siebie wszystko. Impreza kosztowała rekordowe 32 miliony euro, a hasło do rozpoczęcia głosowania dała załoga Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Zwyciężył 23-letni Aleksander Rybak, Norweg pochodzenia białoruskiego urodzony w ZSRR. Przekonywał, że kluczem do sukcesu była prostota napisanego przez niego utworu „Baśń”. Jednak przebieg głosowania pokazuje, że Rybak zdołał przyciągnąć głosy państw byłego bloku komunistycznego (zwanego przez analityków konkursem „układem warszawskim”) oraz krajów skandynawskich („imperium wikingów”). Maksymalną liczbę punktów dały mu Dania, Szwecja, Estonia, Łotwa, Litwa, Polska, Rosja i Białoruś. Reprezentantka Polski nie przeszła do finału, ale „Przekroju” ma świetną receptę na przyszłość – następnym razem musimy wystawić Polaka, który ma korzenie z Bugiem, krewnych na Bałkanach i śpie- wa po szwedzku. – joa

REKLAMA

Jedyna taka okazja!

* TARYFA ONE PLAY 65 *

* TYLKO 50 ZŁ NA CAŁY OKRES UMOWY *

Przez cały okres umowy płać za taryfę One Play 65 tylko 50 zł, a do tego wybierz sobie jeden z multimedialnych telefonów. Jedyna taka okazja! Tylko w Play. Pamiętaj, zmieniając operatora możesz zachować swój numer!

W TARYFIE ONE PLAY 65

APARAT 3.0 MPIX

JUŻ ZA 1 ZŁ NOKIA 6500 SLIDE

- METALOWA OBUDOWA
- APARAT FOTOGRAFICZNY 3.0 MPIX

PRZEJDŹ DO PLAY

BIZNES

Co mówią liczby

39,6 miliarda zł

może zabraknąć w budżecie na 2009 rok planowanym na 269,4 miliarda złotych. To szacunki byłego wiceministra finansów profesora Stanisława Gomułki. Podstawą obliczenia był spadek dochodów w pierwszym kwartale tego roku o 3,8 procent w porównaniu z takim samym okresem roku 2008. By wykonać rządowe założenia do budżetu, powinniśmy odnotować nie spadek, ale wzrost rzędu aż 12,6 procent. — *apa*

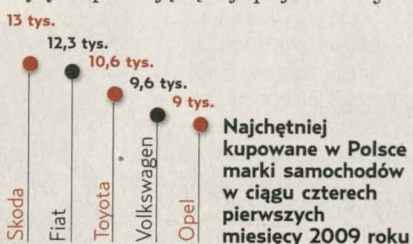
615%

— o tyle w ciągu ostatnich ośmiu lat wzrosła w Polsce liczba internautów. Z badania międzynarodowej firmy MiniWatts Marketing Group wynika, że z sieci korzysta ponad 20 milionów Polaków. Pod tym względem jesteśmy na szóstym miejscu wśród krajów UE. Jednocześnie mniej niż połowa gospodarstw domowych ma podłączenie do sieci, co plasuje nas na 19. miejscu w Unii. — *mil*

Motoryzacja

SKODA POWRACA

KRYZYS ZMIENIA RANKINGI SPRZEDAŻOWE aut. Najchętniej kupowaną w Polsce marką znów jest Skoda. Przez dwa ostatnie lata największym zainteresowaniem cieszyły się toyoty, wcześniej skody. — Ostatni wzrost sprzedaży czeskich aut to głównie efekt dobrych cen na modele Skody Fabii i Octavii — komentuje Wojciech Drzewiecki, szef firmy Samar, która bada rynek motoryzacyjny. Skoda Fabia w wersji podstawowej kosztuje dziś 32,5 tysiąca złotych, Toyota Yaris, model z tego samego segmentu, 38,2 tysiąca złotych. Auta z niższych klas w czasie kryzysu sprzedają się najlepiej. — *you*



O MATKO, TE ROZLICZENIA!

GRA PLANSZOWA NA DZIEŃ MATKI

Czy opłaca się być matką w zalegalizowanym, czy raczej w wolnym związku? To pytanie całkiem serio, gdy mowa o pieniądzu. W naszej grze możesz sprawdzić na sucho, gdzie czekają na ciebie pułapki w rozliczeniach z fiskusem, ZUS lub gdy starasz się o ulgę na dziecko. W tej zabawie nie ma zwycięzców, ale przyda się kalkulator. O ile nie rzucił nim o ścianę po pierwszych rachunkach. Ja rzuciłem...

Życie kobiety, często przyszłej matki, zaczyna się zwykle od wyboru partnera...

MĘCZYŻNA ZARABIAJĄCY JAK CZŁOWIEK

Z bogatym człowiekiem byłoby ci pewnie łatwiej, a tak rozliczenia będą ci już ciągle zaprzętać głowę. No cóż, faceta zawsze możesz zmienić, a jeśli nie zmieniasz, wybieraj: albo legalizujesz związek, albo żyjesz na kocią łapę. Podpowiadamy: dobrego rozwiązania nie ma. Strzelaj.

MĘCZYŻNA ZAMOŻNY

Brawo! Dobry wybór. Nie musisz się zamartwiać rozliczeniami z urzędami. Kłopoty typu: „jak udawać samotną matkę, by dostać się do tańszego publicznego przedszkola?”, też masz z głowy, bo przecież budżet twojej rodziny i tak będzie na tyle duży, by dziecko mogło pójść do prywatnego przedszkola. Zatem wybór, którego dokonałaś (albo szczęśliwy los), oznacza, że powinnaś od razu skończyć grę albo — jeśli z natury należysz do wątpliwych — przeskoczyć na pole „W twoim związku zaczynają się problemy”. Jeśli jednak sądzisz, że nie masz (lub nigdy nie będziesz miała) takiego szczęścia, by trafić na bogatego mężczyznę, skocz na pole obok — „Mężczyzna zarabiający jak człowiek”.

2. KONKUBINAT CZY MAŁŻEŃSTWO?

Nieważne, jaki związek wybrałaś, czas iść do pracy! W ciągu siedmiu dni musisz wybrać fundusz emerytalny.

3. OFE

Czyby pierwsza wpadka? Jeśli partner nie wskazał cię jako uposażonego w umowie z OFE, po jego śmierci nie dostaniesz żadnych pieniędzy. W takim przypadku dziedziczenie środków nastąpi na zasadach ustawowych, co oznacza, że pieniądze dostanie najbliższa rodzina twojego konkubenta. Ale uwaga! Jeśli konkubent spisał testament, w którym wskazał, że to właśnie tobie należą się środki, albo wpisał cię jako uposażonego w umowie z OFE, wszystkie pieniądze zostaną ci wypłacone do ręki. I nie będziesz musiała czekać na gotówkę do emerytury! Ale nie ludź się, że wygrałaś los na loterii. Idź dalej przez życie i mierz się z kolejnymi jego pułapkami.

Nieważne, który OFE wybierzesz. Pamiętaj: jeśli twój mąż umrze, masz ustawową gwarancję, że dostaniesz przynajmniej połowę zebranych przez niego pieniędzy. Czyli dobrze, że wybrałaś małżeństwo? Niekoniecznie. Bo pieniądze dostaniesz dopiero po przejściu na emeryturę. Co z drugą połową pieniędzy? Jeśli mąż wskazał cię w umowie z OFE jako osobę uposażoną, też masz prawo do tych pieniędzy. Ale tę drugą połowę także dostaniesz dopiero po osiągnięciu wieku emerytalnego (chyba że kwota uzbierana na rachunku OFE to niewielka suma nieprzekraczająca 150 procent średniej pensji).

4. KUPUJESZ MIESZKANIE

Z programu „Rodzina na swoim” nie skorzystacie, ale jedno z was może kupić mieszkanie tylko na siebie. To może się opłacić. Bank zdolność kredytową w małżeństwie liczy tak: gdy jedno z was zarabia cztery tysiące złotych, a drugie dwa tysiące, dochód członka rodziny wynosi trzy tysiące. W konkubinacie dochody osoby zarabiającej cztery tysiące złotych i samodzielnie występującej o kredyt wynoszą cztery tysiące złotych.

Świetnie, że jesteście małżeństwem, bo możecie skorzystać z programu „Rodzina na swoim” — z dopłat do odsetek bankowych można zaoszczędzić nawet sto tysięcy złotych. Pytanie tylko, czy wasza rodzina będzie miała zdolność kredytową do uzyskania kredytu. Jeśli nie, nie kupicie mieszkania.

— A może lepiej się rozwieść i rozliczać w wolnym związku?

Jesteś samotną matką, więc masz pierwszeństwo w dostępie do publicznego przedszkola. Oszczędzisz tym samym kilkaset złotych, jakie dodatkowo musiałabyś co miesiąc wydawać na prywatne przedszkole.

W gminach, w których jest dużo młodych małżeństw, pozeńnij się z publicznym przedszkolem. Publiczne przedszkole to koszt rzędu 200–400 złotych miesięcznie, za prywatne trzeba nieraz zapłacić nawet powyżej 1000 złotych.

9. PRZEDSZKOLE

— A może jednak zalegalizujesz związek?

Podczas twojego wyjazdu (na przykład zagranicznego) partner nie może działać w twoim imieniu bez pełnomocnictwa.

Nie musisz mieć żadnego pisemnego pełnomocnictwa, by pod nieobecność męża odebrać z pracy jego wynagrodzenie czy na pocztę list polecony.

8. WYJAZDY

Osoby niezwiązane węzłem małżeńskim muszą płacić podatek, jeśli wartość pożyczki przekroczy pięć tysięcy złotych. Podatek ten wynosi dwa procent. Skucha? Tylko teoretycznie, bo jeśli pożyczka nie pójdzie na zakup drogiej rzeczy (na przykład samochodu), urząd skarbowy nie będzie w stanie ci udowodnić, że w ogóle komuś pożyczyłaś pieniądze (mogłaś je przecież wydać).

Pieniądze przekazywane w małżeństwie są zwolnione z podatku do kwoty 9637 złotych. Powyżej tej sumy podatek płacić też nie musisz, pod warunkiem że o przekazaniu pieniędzy poinformujesz urząd skarbowy i pożyczka trafi na konto bankowe (a nie do ręki).

7. CHCĘ POŻYCZYĆ PIENIĄDZE

Dochody partnera nie mają przy przyznawaniu zasiłku rodzinnego żadnego znaczenia. Możesz więc dostać dodatkowe pieniądze z tytułu urodzenia dziecka (dodatkowe beczkowe dla najmniej uposażonych) w wysokości 1000 złotych, na opiekę nad dzieckiem w okresie korzystania z urlopu wychowawczego kolejne 400 złotych, na każde dziecko co miesiąc od 48 do 64 złotych (wysokość kwoty zależy od wieku pociechy). Poza tym masz prawo do zasiłku w wysokości 170 złotych z tytułu samotnego wychowywania dziecka. Zarówno w małżeństwie, jak i w konkubinacie zarobisz na dzieciach, odliczając od podatku ponad 1100 złotych za każde z nich.

Aby otrzymać pomoc socjalną z gminy, trzeba wykazać się dochodem w wysokości 504 złotych na jednego członka rodziny. Dochody męża mogą więc spowodować, że żadnej pomocy w formie świadczeń rodzinnych — gdy na przykład stracisz pracę — od państwa nie dostaniesz. Poza tym jedna z ulg jest na samotne wychowywanie dziecka. A ty nie możesz udawać, że wychowujesz dziecko samotnie, bo przecież wychowujesz je z mężem.

6. SPADEŁ MI NAGLE DOCHODY

Możesz rozliczyć się z dzieckiem, co się bardzo opłaca, bo dochód dzieli się przez dwa, a dziecko zwykle nie zarabia (dziecko nie może mieć dochodów wyższych niż próg minimalny, czyli 3091 złotych). W efekcie łącząc dochody z dochodami dziecka, zapłacisz mniejszy podatek. Możesz też spaść do niższej grupy podatkowej. W przypadku małżeństwa na taką znaczącą obniżkę zobowiązań wobec fiskusa mogłabyś liczyć tylko wtedy, gdyby jedno z was nie pracowało.

Możesz skorzystać ze wspólnego rozliczenia z mężem, ale nie z dzieckiem. To przysługuje tylko osobom samotnie je wychowującym (dochód dzieli się wtedy przez dwa). To rozwiązanie opłacalne, ale łączenie dochodów z dzieckiem jest jeszcze korzystniejsze.

5. ROZLICZENIE PODATKU

GDY ZACZYNAJĄ SIĘ PROBLEMY W ZWIĄZKU

ROZSTANIE

We właściwie funkcjonującym związku mało kto myśli o zbieraniu rachunków. Gdy jednak dojdzie do rozstania, może się okazać, że do domu, który był zapisany na konkubenta (mimo że to ty sfinansowałaś remont lokum i pomagałaś spłacać kredyt na mieszkanie), nie masz żadnego prawa. Ale uwaga! Możecie wcześniej ustalić, jak podzielicie się majątkiem w razie rozstania. I spisać to w formie umowy.

ROZWÓD

Wszystko, co kupiliście lub dostaniecie po ślubie, stało się waszym wspólnym majątkiem. Majątek w wyniku rozwodu będzie więc podzielony na pół, nawet jeśli to ty zarabiałaś więcej i z twoich pieniędzy finansowano największe wydatki.

ZACZYNA CI SIĘ GORZEJ WIEŚĆ

Porzuconemu konkubentowi nie należą się alimenty, nawet w sytuacji, gdy do rozstania nie doszło z jego winy. Możesz jedynie domagać się alimentów na wasze wspólne dziecko.

Jeśli nie podpisaliście wcześniej intercyzy, możesz domagać się od współmałżonka alimentów nie tylko na dziecko, ale także na siebie. Alimenty należą ci się, jeśli popadłaś — jak mówi polskie prawo — w niedostatek. Jeśli jednak podczas rozwodu sąd orzekł, że winny rozpadu małżeństwa był tylko twój mąż (a nie ty), twój eks jest obowiązany do zaspokajania nie tylko twojego niedostatku, ale także twoich usprawiedliwionych potrzeb. Może to być zatem na przykład połowa dochodów, jakie osiągałicie, gdy tworzyliście małżeństwo.

12. SPADEK I RENTA

Po zmarłym konkubencie renty rodzinnej z ZUS nie dostaniesz. Konkubenci nie wchodzi też do kręgu osób dziedziczących ustawowo. Zawsze jednak partner może ci zapisać cały swój majątek w testamentie. Tyle że od tego majątku musisz zapłacić podatek w wysokości 12–20 procent w zależności od wielkości spadku.

Po zmarłym mężu dostajesz rentę rodzinną z ZUS, a od majątku, który przejmiesz w spadku po mężu, nie płacisz podatku.

13. KONIEC

Brawo, dotarłaś do końca. Czy wygrałaś? Trudno powiedzieć. Polskie przepisy nie dają jednoznacznej odpowiedzi, komu będzie łatwiej: małżonkom czy konkubentom. Prawo raz łaskawiej traktuje zalegalizowane związki, innym razem wolne. Jedyny na to sposób to pobierać się i rozwodzić po kilkadziesiąt razy w życiu. Ale komu by się to opłacało? Może łatwiej byłoby, gdyby państwo zauważyło, że życie w małżeństwie i konkubinacie tak naprawdę niczym się nie różni?

WYŻSZA SZK HANDL



NIZ WYKAŃCZA UCZELNIE

NIZ DEMOGRAFICZNY TO KLĘSKA DLA POLSKICH UCZELNI PRYWATNYCH. WŁAŚNIE ZACZYNAJĄ WIELKĄ WOJNĘ O STUDENTÓW, KTÓREJ WIELE Z NICH NIE PRZETRWA

EDUKACJA JUDYTA SIERAKOWSKA, PAWEŁ MOSKALEWICZ

Liczby są bezwzględne. Jeszcze cztery lata temu grupa Polaków w wieku studenckim (19–24 lata) liczyła sobie prawie cztery miliony. Dziś takich osób jest 3,6 miliona. Według danych GUS

już w przyszłym roku ich liczba będzie jeszcze o 300 tysięcy mniejsza, by do 2015 roku spaść poniżej trzech milionów. Tymczasem przez ostatnich kilkanaście lat nad Wisłą powstało edukacyjne imperium – mamy w kraju 134 wyższe uczelnie publiczne i 320 niepublicznych. To więcej niż w Chinach! Liczba studentów wzrosła z niecałych 400 tysięcy w roku 1990 do prawie dwóch milionów dziś. Mamy jeden z najwyższych na świecie współczynnik scholaryzacji wynoszący około 50 procent. Oznacza to, że na wyższych uczelniach studiuje co drugi młody Polak.

Ale eldorado właśnie się skończyło. Nie ma nowych studentów, którzy zapełniliby sale wykładowe. Nie dość, że w studencki wiek wszedł właśnie niż demograficzny, to jeszcze coraz więcej młodych ludzi wybiera studia za granicą. Przed wieloma polskimi uczelniami – zwłaszcza prywatnymi – pojawiło się widmo likwidacji. W tej chwili w stanie likwidacji jest 14 wyższych uczelni, ale jak przewidują specjaliści oraz Barbara Kudrycka, minister nauki i szkolnictwa wyższego, liczba ta będzie szybko rosła.

– To normalny proces. Przez ostatnich 20 lat państwo sprzyjało powstawaniu kolejnych uczelni, ponieważ dzięki nim wykonaliśmy wielki skok edukacyjny. Teraz przyszedł czas na konkurencję w dziedzinie jakości i ona jest bardzo dobra, jeśli wymusi podniesienie jakości studiów – mówi „Przekroju” Barbara Kudrycka.

Konkurencja może okazać się korzystna dla studentów – zarówno pod względem jakości, jak i opłat za studia – ale nad właścicielami szkół zebrały się naprawdę czarne chmury.

– Z ponad 300 uczelni prywatnych może zostać tylko ze 30 – ocenia doktor Krzysztof Pawłowski, założyciel i prezydent jednej z najbardziej znanych prywatnych uczelni – Wyższej Szkoły Biznesu National-Louis University w Nowym Sączu. Jego szkoła doświadczyła już skutków niżu – w ciągu ostatnich trzech lat liczba studentów w jego szkole zmniejszyła się o 530 osób i wynosi dziś poniżej czterech tysięcy.

A nowosądecka szkoła to jedna z najbardziej obleganych uczelni prywatnych w kraju. Szkoły o mniejszej renomie są w dużo gorszej sytuacji. Jak więc uczelnie walczą o słuchaczy i jaki mają pomysł na przetrwanie? Jak zmieni się edukacyjna mapa Polski w najbliższych latach? I czy te nowe czasy będą dobre dla studentów?

W jedności siła

Minister Kudrycka zapowiada, że przyszłość rynku edukacyjnego to konsolidacja, czyli łączenie szkół. Już łączą się uczelnie prywatne. Projekty zmian w prawie przygotowuje przez MNiSW przewidują także możliwość konsolidacji uczelni prywatnych z państwowymi. Pierwsze ruchy konsolidacyjne już widać na rynku. Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej i Wyższa Szkoła Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu są już wspólnie zarządzane. Nazwy pozostały, ale wspólne działania – projekty badawcze, konferencje naukowe czy wymiana kadry – są na porządku dziennym.

„Za konsolidacją uczelni przemawia rosnąca konkurencja na rynku usług edukacyjnych, szczególnie w obliczu niżu demograficznego” – napisano w uzasadnieniu do ustawy o utworzeniu Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie. Powstał on w ubiegłym roku z połączenia Akademii Rolniczej w Szczecinie i Politechniki Szczecińskiej. Dzięki temu połączeniu Szczecin zyskał silny ośrodek akademicki z zapleczem badawczym pozwalającym na rozwój nauk technicznych, rolniczych i przyrodniczych. AR w Szczecinie miała uprawnienia do nadawania stopnia doktora nauk rolniczych w ośmiu dyscyplinach, a PS tylko samo, tyle że doktora nauk technicznych. Teraz na nowej uczelni można doktoryzować się na kilkunastu kierunkach.

Przedstawiciele niepublicznej Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie przyznają, że ostatnio coraz częściej zwracają się do nich władze niewielkich uczelni prywatnych z ofertą fuzji. Akademia Humanistyczna imienia A. Gieysztora w Pułtusku ma w planie połączenie sił ze Szkołą Wyższą Pawła Włodkowica w Płocku i Wyższą Szkołą Pedagogiczną ZNP w Warszawie. Dzięki tej operacji nie tylko powstanie organizacja silna ekonomicznie, ale także połączona kadra pozwoli na nadawanie stopni doktorskich na wydziale pedagogicznym.

Za kampanię billboardową promującą studia w Lublinie magistrat zapłacił 80 tysięcy złotych



Gadżetem i filmem

Ponieważ student stał się dobrem gwałtownie poszukiwanym, uczelnie – nie tylko prywatne, ale także państwowe – prześcigają się w pomysłach na zwabienie żaków w swe mury.

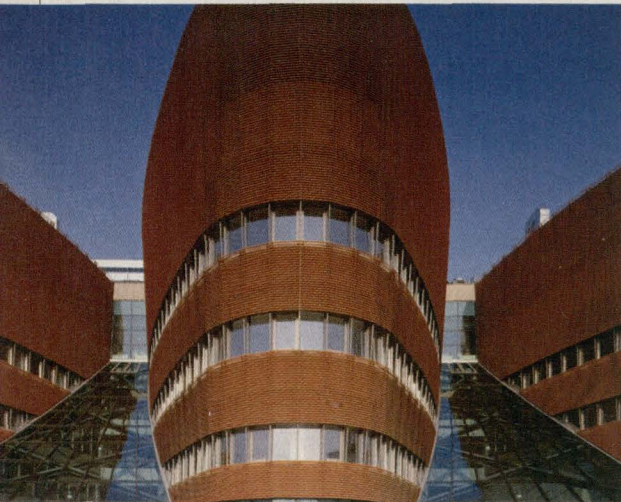
Studenci oddziału Politechniki Wrocławskiej w Bielawie dostają od uczelni prawo do darmowych przejazdów komunikacją miejską, bilety na basen, siłownię, do sauny, a nawet do kina. Już w zeszłym roku Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy kusila studentów kierunków inżynierskich bezpłatnie wypożyczanymi na czas studiów laptopami. O krok dalej poszła Wyższa Szkoła Handlu i Finansów Międzynarodowych w Warszawie. Uczelnia obiecała laptop warty prawie dwa tysiące złotych każdemu studentowi pierwszego roku, który zapłaci czesne za rok z góry (około czterech tysięcy złotych).

Z kolei Szkoła Wyższa imienia Bogdana Jańskiego w Warszawie proponuje darmowy obóz integracyjny w górach lub nad morzem, natomiast inna stołeczna uczelnia – Wyższa Szkoła Ekologii i Zarządzania – obniżyła wpisowe na nowy kierunek (zdrowie publiczne) do... jednego złotego (na inne kierunki wynosi ono 990 złotych).

– Na promocję wydajemy około miliona złotych rocznie – mówi nam szef biura promocji jednej z prywatnych warszawskich wyższych uczelni. – To wystarcza na udział w targach dla maturzystów, wydrukowanie i kolportaż folderów i od czasu do czasu na reklamy w prasie. Staramy się także umieszczać nasze bannery w popularnych portalach, bo z ankiet robionych wśród studentów wynika, że to właśnie Internet staje się jednym z najważniejszych źródeł informacji dla maturzystów.

Wagę Internetu podkreślają wszyscy nasi rozmówcy, mimo to i tak najważniejsze pozostają rekomendacje absolwentów oraz aktualnych studentów. – Promocja kosztuje nas 200 tysięcy złotych rocznie – wyjaśnia Zdzisław Szymański, prodziekan Społecznej Wyższej Szkoły Przedsiębiorczości i Zarządzania w Warszawie. – Takie obowiązkowe minimum: Internet, trochę reklam w prasie. →

→ Zrobiliśmy eksperyment ze spotami reklamowymi w radiu, ale potem żaden z nowych studentów nie wskazał ich jako źródła informacji. Dlatego wolimy wydać pieniądze na dobrych wykładowców i dobre warunki studiowania, bo to studenci odczuwają na co dzień. I opowiadają potencjalnym słuchaczom.



Nowością, przynajmniej w Polsce, są takie działania promocyjne jak te podejmowane przez Uniwersytet Warmińsko-Mazurski czy katolicki Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Pierwsza uczelnia nakręciła film pod tytułem „Tak się bawi UWM”, który puszczono na YouTube. Przy produkcji uczelnia przyjęła zasadę: pokazujemy tylko miłe strony studiowania. Z filmu dowiadujemy się więc, jak przebiega Kortowiada – olsztyńskie juwenalia, i jakie pozanaukowe „pasje” realizują studenci UWM. O studiowaniu ani słowa. Na YouTube zareklamował się też UKSW. Film ma konwencję teledysku, ale posiada także wymiar edukacyjny – pracownicy uczelni mówią, w jaki sposób się u nich uczy, jest też informacja o absolwentach, którzy znaleźli dobrą pracę. Za granicą to znane rozwiązanie, na przykład słynny Oksford ma na YouTube cały swój kanał.

W wielu miastach magistraty wspierają promocyjnie swoje uczelnie. W ubiegłym roku Katowice wydały na billboardy, citylighty, plakaty i ulotki reklamujące śląskie uczelnie 200 tysięcy złotych, Rzeszów – 150 tysięcy złotych, Lublin – 80 tysięcy złotych. Koszt wlepkowej akcji Poznania wyniósł około 150 tysięcy złotych.

Jakość rządzi

Jak zgodnie mówią studenci (i co potwierdzają ankiety uczelni), przy wyborze szkoły decyduje jednak przede wszystkim jej renoma i jakość nauczania. Młodzi ludzie cenią sobie znakomitych fachowców wśród kadry, nie zaszkodzi też kilka znanych nazwisk. Ale studenci chcą więcej. Bezlitośnie oceniają (i żądają zmiany) najbardziej nawet utytułowanego profesora, jeśli ten nie prowadzi zajęć w sposób przystępny i nowoczesny oraz nie jest w stanie przyciągnąć ich uwagi.

Nowoczesna siedziba WSDiNS w Poznaniu zapewnia studentom doskonałe warunki do nauki

– Musiałem podziękować wielu przyjaciółom zatrudnionym w mojej uczelni, bo po prostu nie potrafili przekonać do siebie studentów – potwierdza Krzysztof Pawłowski. Profesor Marek Rocki, szef Państwowej Komisji Akredytacyjnej (instytucja odpowiedzialna za ocenę jakości nauczania w szkołach wyższych) przyznaje, że na wielu prywatnych uczelniach średnia (!) wieku kadry naukowej wynosi 80 lat. Być może część to błyskotliwi, przytomni, zaangażowani w pracę ze studentami naukowcy będący jednocześnie na bieżąco z najnowszymi trendami w swojej dziedzinie. Jednak to mało prawdopodobne. I utrudnia obiektywną ocenę jakości nauczania, ponieważ większość rankingów uczelni opiera się właśnie na łatwo policzalnym, ale zupełnie niemiarodajnym kryterium liczby pracowników naukowych z tytułem doktora, doktora habilitowanego czy profesora. Niestety, w rankingu nie wyczytamy, ilu spośród owych profesorów po prostu dorabia do emerytury, przysypiając na zajęciach.

– W Polsce nie ma obiektywnego systemu oceny jakości kształcenia. Ranking miesięcznika „Perspektywy” i „Rzeczpospolitej” jest czysto akademicki, nie bierze pod uwagę wielu czynników, które decydują o rzeczywistej jakości studiów – tłumaczy Krzysztof Pawłowski.

Również, zdaniem minister Kudryckiej, kluczowa jest ocena jakości kadry. – Do oceny jakości kształcenia należy włączyć ocenę jakości dydaktyki, czyli stałą, bieżącą ocenę kadry przez studentów, najlepiej w formie ankiet badających rozmaite parametry zajęć – mówi Kudrycka. Taki system działa już na wielu uczelniach – nie tylko prywat-

nych, lecz także państwowych. Ostatnio na szeroką skalę wdrożył go UJ.

Zdaniem Pawłowskiego w ocenie jakości studiów nie sprawdza się także państwowy system akredytacyjny. Pozwala wyłapać największe patologie i uniknąć szkoły fatalnej, ale to wszystko. Bo coś więcej może wynikać z tego, że PKA bada wyrywkowo prace magisterskie i licencjackie obronione w danej szkole? Albo sprawdza (pod względem formalnym), czy zatrudnieni fachowcy pasują do profilu studiów?

Jak więc oceniać? Wśród studentów coraz bardziej powszechne staje się przekonanie, że tak naprawdę miarodajnym kryterium oceny szkoły jest łatwość dostania dobrej pracy z dyplomem danej uczelni. A tu różnice mogą być kolosalne. Gdy kilka lat temu polska edycja „Newsweeka” opublikowała ranking oparty na tym właśnie kryterium, okazało się, że w przypadku absolwentów dwóch szkół wyższych podobnej wielkości (porównując pierwszą w rankingu warszawską SGH i ostatnią Wyższą Szkołę Pedagogiczną z Częstochowy) skuteczność w zdobywaniu stanowisk menedżerskich różniła się 200-krotnie!

– W USA, zwłaszcza w przypadku uczelni biznesowych, w rankingach bierze się pod uwagę tempo wzrostu wynagrodzeń absolwentów. Każdy bezrobotny absolwent zaś ciągnie rating uczelni w dół – mówi Krzysztof Pawłowski.

Dla firm i Azjatów

Właśnie dlatego kolejny pomysł uczelni to jak najbardziej elastyczne dopasowywanie się do potrzeb rynku pracy. Wprawdzie w ostatnim roku akademickim, czyli 2008/2009, najpopularniej-

szym kierunkiem na studiach magisterskich wciąż, jak od lat, było zarządzanie (34 706 osób), a następnie pedagogika, prawo i ekonomia, jednak co roku uczelnie otwierają nowe kierunki i unowocześniają zaplecze dydaktyczne.

Uniwersytet Jagielloński buduje nowoczesny III Kampus, w którym będzie się uczyło około 15 tysięcy studentów, a także Małopolskie Centrum Biotechnologii, Narodowe Centrum Promieniowania Synchrotronowego, Technoinkubator i klaster Life Science. Uczelnie współpracują też przy powoływaniu nowych kierunków. Poznańskie UAM i Politechnika tworzą bioinformatykę, a UAM, Uniwersytet Ekonomiczny oraz Politechnika – techniczne zastosowania Internetu.

Społeczna Wyższa Szkoła Przedsiębiorczości i Zarządzania na swojej stronie internetowej zamieszcza informacje dla studentów o najbardziej poszukiwanych zawodach i specjalnościach, przekonując, że ma do zaoferowania przygotowanie do nich kierunki studiów.

Z kolei gdańska Uczelnia Humanistyczna Ateneum, gdy zauważyła, że studia politologiczne oferuje właściwie cała konkurencja w regionie, zawiesiła rekrutację na ten kierunek, w zamian otwierając jedyną w północnej Polsce magisterską europeistykę.

Studenci chętnie wybierają uczelnie współpracujące z partnerami z zagranicy, zwłaszcza

Jakość kadry powinna być nieustannie badana, a najlepszym narzędziem są ankiety wypełniane przez studentów



MIN. BARBARA KUDRYCKA

takie, które dają możliwość uzyskania podwójnego dyplomu.

Szkoły coraz częściej decydują się też na bezpośrednią współpracę z przedsiębiorstwami, tworząc kierunki niejako na zamówienie konkretnej firmy. Doskonałym przykładem jest współpraca chemicznego giganta Ciech, który na początku tego roku zawarł porozumienie z siedmioma wyższymi uczelniami. Ciech sfinansuje część prowadzonych na uczelniach badań, te zaś dopasują swe programy dydaktyczne do potrzeb chemicznego koncernu.

Wreszcie wobec braku studentów krajowych (i wysychania strumyczka studentów zagranicznych) polskie uczelnie rozpoczynają ofensywę zagraniczną. Studia w Polsce stają się coraz bardziej popularne wśród Azjatów, do których docierają lokalni agenci upoważnieni przez nasze uczelnie do prowadzenia rekrutacji. Stu-

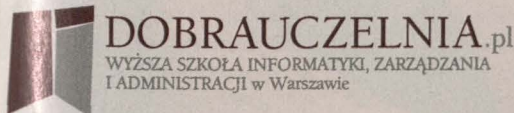
denci z zagranicy to czysty zysk. Rocznie za studia płać nawet do 10 tysięcy euro. Wabikiem dla obcokrajowców jest wykładowy język angielski. Dlatego na przykład UŚ po angielsku prowadzi już chemię, fizykę i matematykę.

– Polska zaprzepaszcza gigantyczną szansę, jaką są studenci z zagranicy, na przykład z Chin, bo oni chcą u nas studiować, a my nie dajemy im wiz. W mojej szkole jest kilkadziesiąt programów po angielsku i mogłoby przyjechać minimum 200 osób, a przyjeżdżają tylko pojedynczy studenci – denerwuje się Krzysztof Pawłowski. – Według moich szacunków mogłoby u nas studiować nawet sto tysięcy zagranicznych studentów rocznie.

Jeżeli jednak Chińczycy masowo nie przyjadą, uczelnie będą świecić pustką. Polaków po prostu nie wystarczy. Wtedy zdesperowani właściciele szkół mogą zapomnieć o wyrafinowanych metodach promocji i sięgnąć po tę sprawdzoną od wieków – wojnę cenową.

– To prawda, cena to najbardziej skuteczna zachęta. Ale nie da się kształcić dobrze za trzy tysiące złotych rocznie. Student sam będzie dokonywał wyboru: nic niewarty papier za tanie pieniądze lub wykształcenie dobre, lecz drogie – podsumowuje Pawłowski. □

Słuchaj też „Wiadomości” w Radio 261



Dobra Uczelnia – właściwy wybór

Dobra Uczelnia jest jak solidny fundament. Jej wybór to jedna z najważniejszych decyzji w życiu. Dobra uczelnia to polisa ubezpieczeniowa na przyszłość.

Jak wybrać uczelnię by nie popełnić błędu?

Warto mądrze inwestować w wykształcenie, szczególnie w czasach kryzysu. Dobra uczelnia musi mieć kierunki poszukiwane na rynku: logistykę, dziennikarstwo i komunikację społeczną, administrację, zarządzanie i inżynierię produkcji oraz bezpieczeństwo narodowe. Musi mieć znakomitych wykładowców i zapewniać bardzo dobre warunki do nauki. Ważne są również elastyczne godziny wykładów, życzliwy personel, nowoczesny sprzęt oraz położenie w bezpiecznej i prestiżowej dzielnicy.

To wszystko jest u nas! Właśnie dlatego chcemy polecić Państwu Dobrej Uczelnię!

Od 10 lat jesteśmy kluczem do wiedzy dla tysięcy młodych ludzi. Oni już wiedzą, że warto podjąć mądrą decyzję.

Teraz czekamy na Państwa!

dobrauczelnia.pl



LOGISTYKA

DZIENNIKARSTWO
I KOMUNIKACJA
SPOŁECZNA

ADMINISTRACJA

ZARZĄDZANIE
I INŻYNIERIA
PRODUKCJI

BEZPIECZEŃSTWO
NARODOWE

www.dobrauczelnia.pl
ul. Meksykańska 6, Warszawa
tel. (0-22) 616 15 66
rekrutacja@dobrauczelnia.pl

Niebezpieczne związki papierowe

Politycy i urzędnicy przestraszyli się, że kraj nad Wisłą zaleją papierowe małżeństwa. Dlatego chcą częściej i skuteczniej niż dziś zaglądać pod koldrę polsko-cudzoziemskim parom. I dotkliwie karać oszustów

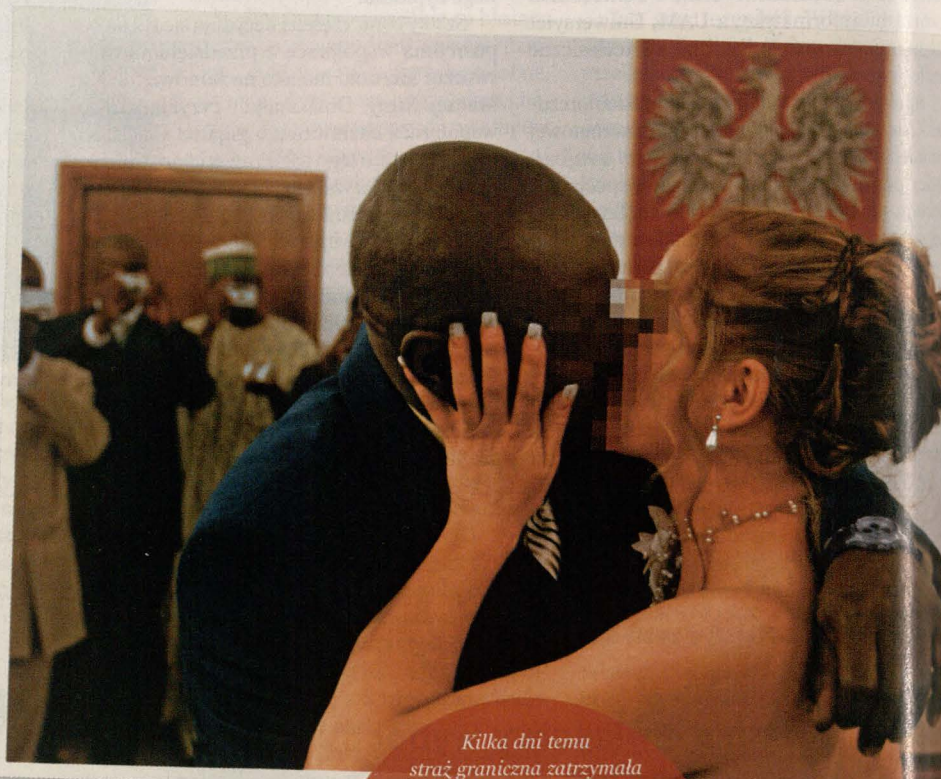
Pzed Wydziałem Spraw Cudzoziemców Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie kłębi się tłum małżonków petentów. Niezależnie jednak, czy małżonek petent jest czarnoskóry, czy skośnooki, przed tym akurac wydziałem jest petentem wyjątkowo potulnym. Żadnych narzekania na opieszałość urzędników, żadnych okrzyków i przekleństw. Niezależnie od koloru skóry i kształtu oczu w oczach zgromadzonych zawsze czają się strach i bezradność.

– Los tych ludzi leży całkowicie w rękach urzędników – wyjaśnia Tomasz Ł., informatyk z Warszawy, mąż Turczynki. – Zanim obcokrajowiec żonaty z Polką po odstaniu w wielu kolejkach i wypełnieniu wielu papierów otrzyma prawo do przebywania na terytorium Polski, musi przejść wiele upokorzeń.

Izabela Szewczyk, dyrektorka Wydziału Spraw Cudzoziemców w Warszawie, też czuje się bezradna. Wobec Białorusinów, Ukraińców, Wietnamczyków, a ostatnio głównie Nigeryjczyków, którzy na znacznie większą niż kilka lat temu skalę składają w jej wydziale wnioski o zgodę na osiedlenie się w kraju, bo zawarli związek małżeński z polską obywatelką.

Pierogi i pasztet

W ubiegłym roku wydział Izabeli Szewczyk przeprowadził sto kontroli w domach mieszanych małżeństw. W tym roku też odbył już sto wizyt – tylko w pierwszym kwartale. Natężenie urzędniczego monitoringu spowodowali głównie mieszkańcy Afryki, którzy – jak nigdy wcześniej – zaczęli pałać miłością do Polak. Podobną do miłości, jaką zapalał Nigeryjczyk Ben, bohater wydanej właśnie w Polsce książki osiedlonego w naszym kraju Afrykanina Ify'ego Nwamany „Stadion. Diabelskie igrzyska”. Ben kilka lat temu poznał na Stadionie Dziesięciolecia Kasię (zwaną Śliczną), a potem – jak wielu innych jego kolegów – ożenił się z nią wyłącznie dla papierów (bo tak naprawdę miłował Ukrainkę).



Kilka dni temu straż graniczna zatrzymała gang organizujący fikcyjne śluby Nigeryjczyków z Polkami. Panny młode dostawały po dwa tysiące euro, swoich mężów widziały raptem kilka razy w życiu. Sprawa wyszła na jaw podczas rutynowej kontroli mieszanych małżeństw. Jedna z kobiet nie wytrzymała napięcia i pomimo gróźb pana młodego postanowiła się wycofać

Przed Kasią i Benem, tak jak przed większością mieszanych małżeństw, państwo polskie postawiło jednak kilka przeszkód. Najpierw zgodnie z ustawą o cudzoziemcach zaprasza się świeżo poślubionych małżonków, by w osobnych pokojach wyjawili urzędnikowi różne tajemnice z ich życia.

– Spotkanie z urzędnikami było dla nas prawdziwym horrorem – przyznaje Igor S., Ukrainiec, który ożenił się z krakowianką. – Byliśmy maglowani przez prawie dwie godziny. Pytania były tak podchwytliwe, że z odpowiedzią mogliby mieć kłopot małżonkowie nie z kilkumiesięcznym, ale nawet wieloletnim stażem. Pytano mnie na przykład, jaki naturalny kolor włosów ma moja teściowa i który z kuzynów żony kilka lat wcześniej miał myśli samobójcze.

Inna para z kolei zeznawała, z jakim nadzieniem w ubiegły wtorek jedli piero-

gi. Słonym czy słodkimi? A potem ciągnie się dalej: czy może jednak to nie były pierogi, tylko pasztet?

– My też mamy już pasztet, bo małżeństwo z polskim obywatelem dla wielu obcokrajowców stało się dziś łatwą furtką do raj. Niestety, coraz częściej furtką fikcyjnego domu

– mówi Izabela Szewczyk. O co właściwie chodzi z tym rajem? W 2007 roku Polska weszła do strefy Schengen i oddał cudzoziemcy, którzy poślubili Polkę lub Polaka, mogą bez przeszkód poruszać się po bogatych krajach Unii Europejskiej i szukać w nich pracy.

A na czym ma polegać pasztet? Na tym, że za 15 tysięcy złotych, w porywach do 20 tysięcy, Polacy tacy jak Kasia zwana Śliczną gotują się udawać małżonka. I że podobno – jak liczą urzędnicy – co czwarte z dziesięciu tysięcy zawieranych co roku w Polsce małżeństw

polsko-cudzoziemskich to związek wyłącznie na papierze.

Wojtek pozna Tamarę

– Małżeństwo to dla cudzoziemca najbardziej komfortowy sposób, by osiedlić się w Polsce – wyjaśnia Ewa Piechota z Urzędu do Spraw Repatriacji i Cudzoziemców. – Cudzoziemiec małżonek, ubiegając się o zezwolenie na zamieszkanie w naszym kraju, nie musi wykazywać na przykład, iż posiada jakiekolwiek źródło dochodu, ubezpieczenie zdrowotne czy prawo do zajmowanego lokalu.

O niebezpieczeństwie grożącym polskiej racji stanu ze strony papierowych małżonków zawiadomił ostatnio premiera Donalda Tuska oraz opinię publiczną białostocki poseł Jarosław Matwiejuk. Posła zaniepokoiło przede wszystkim to, że w polskim prawie brak regulacji, które pozwalałyby karać za fikcyjny ślub z obcokrajowcem. Rzeczywiście, w Internecie aż roi się od ogłoszeń typu: za odpowiednim wynagrodzeniem Wojtek z Gdańska chętnie poślubi Tamarę z Kijowa.

Tylko czy to oznacza, że państwo ma prawo ingerować w czyjeś życie intymne?

Od stycznia kontrolą mieszanych małżeństw nie zajmują się już wyłącznie urzędnicy, ale również policja i straż graniczna. Organy te – zgodnie ze znowelizowaną ustawą o cudzoziemcach – mogą zapukać do domu, w którym oficjalnie mieszka na przykład Ben ze Śliczną Kasią, po czym wejść do łazienki i sprawdzić, ile na ich umywalce stoi szczoteczka do zębów. Mogą też przesłuchać sąsiadów, świadków ze ślubu, a nawet ich właścicieli i kuzynów. A wszystko po to, by udowodnić, że małżeństwo to fikcja.

Jednak zdaniem Izabeli Szewczyk przyznane pogranicznikom uprawnienia i tak na niewiele się zdają. – Prawo wciąż jest dziurawe – wyjaśnia urzędniczka.

Chodzi generalnie o niespójność przepisów w ustawie o cudzoziemcach. Z jednej strony jeśli urzędnicy – najczęściej na podstawie własnych spostrzeżeń – uznają, że mał-

żeństwo zostało zawarte w innych celach niż matrymonialne, mogą odmówić cudzoziemcowi zgody na pobyt czasowy w Polsce. Ale nawet jeśli cudzoziemiec przebywa u nas nielegalnie, nie mogą go wydalic. Bo na mocy artykułu 89 ustawy o cudzoziemcach „decyzji o wydaleniu cudzoziemca nie wydaje się, a wydanej nie wykonuje, jeżeli cudzoziemiec jest małżonkiem obywatela polskiego (...)”. Wniosek? Małżonek, który zezwolenia na pobyt nie dostał, i tak nie może być z Polski deportowany. Efekt jest taki, że co prawda urzędnicy dają obcokrajowcowi spokój, ale bez zalegalizowanego pobytu, zatem bez prawa do legalnej pracy i jakichkolwiek świadczeń. Taki delikwent żyje najczęściej na marginesie polskiego społeczeństwa.

Urzędników irytuje również to, że przy zawieraniu papierowego małżeństwa całkowicie bezkarny pozostaje polski małżonek*. Zgodnie z prawem fikcyjnego małżeństwa nie można nawet unieważnić. Izabela Szewczyk postuluje, by do prawa wprowadzić pojęcie „pozornego małżeństwa”, które mogłoby być orzekane w sytuacjach, gdyby udowodniono, że zawarte małżeństwo jest fikcyjne. W efekcie małżeństwo zostałoby unieważnione.

– Ciekawe, na jakiej podstawie organy państwowe miałyby to robić? – zastanawia się profesor Marian Filar, znany prawnik i jednocześnie mąż Słowaczki. – Jakie kryteria mielibyśmy przyjąć? Sprawdzalibyśmy na przykład, czy małżonkowie regularnie współżycją albo czy nie za często się kłócą z powodu zbyt słonej zupy? I właściwie jakim prawem chcemy wchodzić w intymną sferę ludzi, którzy z różnych powodów zawarli małżeństwo?

Fikcja się nie opłaca

W czym tak naprawdę przeszkadzają państwu polskiemu papierowe małżeństwa?

– Nie burzą ani porządku społecznego, ani ekonomicznego, to problem natury moralnej – ocenia profesor Ewa Nowicka, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego od lat badająca problemy cudzoziemców w Polsce. – Co więcej, cudzoziemcy są nam potrzebni, chętnie podejmują niepopularne wśród Polaków prace w budownictwie czy rolnictwie.

Z drugiej strony trzeba pamiętać, że zawierając ślub z polskim obywatelem, cudzoziemiec zyskuje dostęp do świadczeń finansowanych z państwowej kasy, takich jak służba zdrowia czy pomoc społeczna.

Najbardziej jednak fikcja może się odbić czkawką Polakowi, który zawarł papierowe małżeństwo.

– Zdarza się, że świeżo poślubiony cudzoziemski małżonek po prostu znika swojej drugiej połowie z pola widzenia – wyjaśnia doktor Rafał Kasprzyk, łódzki adwokat specjalizujący się między innymi w sprawach rodzinnych. – I przed Polakiem zaczynają się piętzyć problemy, z których

najmniejszym jest niemożność wzięcia kredytu, a największym i zdecydowanie najbardziej kosztownym przeprowadzenie rozvodu pod nieobecność „ślubnego”.

Dlatego właśnie fikcyjne małżeństwo po prostu się Polakom nie opłaca. No, chyba że tak jak w opartej na faktach książce Nwamany papierowy związek Nigeryjczyka Bena ze Śliczną Kasią zamieni się – ku zdziwieniu pewnej porzuconej nieoczekiwanie Ukrainki, ale także polityków i urzędników – w gorącą, całkowicie niepapierową namiętność.

*** Zgodnie z polskim prawem ukarać można jedynie tych małżonków, którym udowodni się przyjęcie korzyści majątkowej w zamian za ślub. Co udaje się jednak sporadycznie**

HANBA

22 MAJA W KINACH

WŁADZA SEKS ZEMSTA

JOHN MALKOVICH

W ADAPTACJI BESTSELLERA J. M. COETZEE

COETZEE

WŁADZA JUŻ W SPRZEDAŻY

www.gutekfilm.pl/hanba

TOK W czwartek 21 maja po godzinie 15 o fikcyjnych małżeństwach słuchaj w audycji „Blog FM” w Radiu TOK FM. Zaprasza Jakub Janiszewski

TRÓJKA **STOKROTKA** **KINO** **PRZE KROKI** **Party**

NR MEDIA UN **BLUSZCZ** **empik.com** **onet.pl**



Świadkowie Jehowy a KWESTIA KRWI



Świadkowie chcą krwi

Wśród polskich świadków Jehowy narasta bunt przeciwko zakazowi transfuzji krwi. Czy ruch reformatorski przerodzi się w schizmę?

RELIGIE IGOR RYCIĄK

Opozycja jest tak zakamuflowana, że mogłaby inspirować fantazje Dana Browna. Buntownicy zwykle kontaktują się e-mailowo, używają darmowych skrzynek pocztowych. W korespondencji nie wymieniają imion ani nazwisk. Kary bowiem są surowe. Był przypadek, gdy żona odkryła nieprawomyślnie e-maile męża i doniosła Starszym. Mężczyznę wykluczono ze zboru bez prawa powrotu (żona w zborze pozostała, małżeństwo trwa).

Opozycjonisci tworzą w Polsce nieformalne Zjednoczenie Świadków Jehowy na rzecz Reform w kwestii Krwi, w którym jest już kilkadziesiąt osób. Podobne organizacje, które chcą zniesienia zakazu transfuzji, działają wśród jehowitów już w 20 innych krajach, między innymi w USA, gdzie członkowie zaczynają się ujawniać.

Aktywność protansfuzjonistów można porównać do działalności reformatów Kościoła katolickiego z XVI wieku. Marcin Luter zaneogował nieomyślność papieża, a liczbę sakramentów ograniczył do chrztu i komunii. Reformatorzy w związku wyznaniowym świadków Jehowy chcą likwidacji religijnego zakazu transfuzji

krwi, a przełożonym swojego Kościoła zarzucają manipulacje informacjami na ten temat.

Rozciągnięty zakaz

Chrześcijański Zbór Świadków Jehowy obchodzi w tym miesiącu 20. rocznicę oficjalnej rejestracji w Polsce – po delegalizacji w 1950 roku. Aktywnych jehowitów jest w naszym kraju około 130 tysięcy. Kojarzą się głównie ze schłudnymi domokrażcami oferującymi pisma „Strażnica” czy „Przebudź się”. Ich doktryna opiera się na odczytywaniu i stosowaniu wprost nauk Pisma Świętego.

Świadkowie Jehowy rygorystycznie – nawet w wypadku zagrożenia życia – przestrzegają zakazu transfuzji krwi* (oraz niektórych preparatów wytwarzanych na jej bazie).

Z broszury „Świadkowie Jehowy a kwestia krwi” można się dowiedzieć, że odpowiednich instrukcji Jehowa (Bóg) udzielił Noemu krótko po ustąpieniu potopu (Rdz 9, 4). Co prawda literalnie zakaz dotyczył jedynie spożywania krwi (czego przestrzegają żydzi), ale według interpretacji jehowitów rozciąga się on także na transfuzję. Świadkowie Jehowy „nie powodują się w tej sprawie własnym widzi-

Broszury świadków Jehowy głoszą, że jasnych instrukcji w kwestii transfuzji udzielił Noemu po potopie sam Bóg

się ani bezpodstawnym fanatyzmem. Nie przyjmują krwi ani w pożywieniu, ani przez transfuzję, gdyż chcą być posłuszni najwyższej władzy we wszechświecie” – czytamy w opracowaniu.

– Biblia mówi, że nie powinniśmy spożywać krwi pod żadną postacią. Ale nigdzie w Biblii nie zakazano transfuzji w celu ratowania ludzkiego życia lub leczenia chorób – przekonuje mnie jeden z reformatów.

Kara za przetaczanie

Ani nasz rozmówca, ani nikt z jego bliskich nie stanął przed dramatycznym wyborem: transfuzja i życie czy nakazy religijne i śmierć. – Robię to dla zasady. Ten dogmat jest antyludzki. A zapisy w Biblii pozostawiają zbyt wiele miejsca do interpretacji – twierdzi świadek Jehowy. Jego koleżanka dodaje: – Chcemy bronić prawa świadków Jehowy do dokonywania zgodnego ze swoim sumieniem wyboru o medycznym zastosowaniu krwi. Bez nadzoru czy sankcji.

Dziś każdy pełnoletni jehowita nosi przy sobie oświadczenie: „Żadnej krwi”. Dzieci mają karty identyfikacyjne z informacją, że należą do rodziny świadków, i prośbą o natychmiastowy kontakt z rodzicami w przypadku, gdyby konieczna była transfuzja. Polskie prawo wymaga zgody pacjenta na przeprowadzenie operacji. Lekarz, który przetoczy krew choremu świadkowi Jehowy, nie informując go o tym, może być pociągnięty do odpowiedzialności karnej, nawet jeśli zabieg był konieczny dla ratowania życia. W przypadku dzieci decyzję rodziców może zmienić jedynie sąd rodzinny. Tylko że w nagłych wypadkach nie ma na to czasu.

W takich sytuacjach lekarze stosują środki krwiopodobne. Ale to nie zawsze wystarcza.

Przyspieszyć nieuchronne

W 2002 roku opinią publiczną wstrząsnęła informacja z Kluczborka. Po wypadku do tamtejszego szpitala trafiła niespełna 18-letnia Magda. Stan dziewczyny nie był tragiczny, ale rana straciła cztery litry krwi. Postawiony przez rodziców zakaz transfuzji sprawił, że pacjentka zmarła. Wcześniej był przypadek siedmioletniej Noemi, dziewczynki z niewydolnością serca i nerek, która zmarła w szpitalu we Wrocławiu. Transfuzja krwi uratowałaby jej życie.

Opozycja przekonuje, że z każdym rokiem takich śmierci jest coraz więcej (choć dokładnych danych brak). Na razie aktywność protansfuzjonistów ogranicza się do przekonywania innych jehowitów – albo poprzez Internet, albo na tajnych spotkaniach w ściśle ograniczonym gronie. Liczą, że gdy zwolenników zniesienia zakazu będzie wystarczająco dużo, wówczas Ciąg Kierownicze (najwyższy komitet odpowiedzialny za sprawy wiary) będzie musiał się ugiąć. – My tylko chcemy przyspieszyć nieuchronną reformę i przedstawić członkom naszej społeczności prawdę – mówią reformatory. Krople krwi drażą skalę.

* Do lat 50. XX wieku zakaz obejmował także wszelkie szczepienia. Potem został zliberalizowany

Waterloo premiera

W starciach z prezydentem i opozycją daje sobie radę. W polityczkach ze związkowcami stawia na swoim. Jednak prawdziwa batalia dopiero przed Donaldem Tuskiem. A do niej akurat nie jest przygotowany

POLITYKA ALEKSANDRA PAWLICKA



NAPOLEON ZWYKŁ MAWIAĆ, ŻE lepszy jeden generał, który ma szczęście, niż kilku znających się na rzeczy. Kandydatów na dowódców pytał więc, czy dopisuje im ono w życiu, bo szczęście to – oprócz siły i strategii – warunek odnoszenia zwycięstw.

Przed Donaldem Tuskiem wybory prezydenckie i dziś wydaje się oczywiste, że szef Platformy Obywatelskiej jest jedynym kandydatem tej partii, który może skutecznie walczyć o fotel głowy państwa. Na tym jednak podboju kraju nad Wisłą nie koniec. Jako prezydent będzie musiał komuś przekazać dowództwo nad państwem. I tu jest pies pogrzebany. Komu oddać stery? Tusk nie szuka generała, z którym będzie mógł walczyć o najwyższą stawkę – zwycięstwo PO w wyborach parlamentarnych w 2011 roku.

Cienie premiera

Najbardziej prawdopodobnym następcą wydaje się dziś Grzegorz Schetyna. Wicepremier i minister spraw wewnętrznych jest – jak przyznają pracownicy kancelarii premiera – najczęstszym gościem w gabinecie szefa rządu. Tusk ze Schetyną zamykają się i rozmawiają czasem do pierwszej–drugiej w nocy. O ile jednak ten partyjny kolega przydaje się premierowi na krajowym podwórku (bo drżą przed nim partyjne struktury), o tyle na arenie międzynarodowej Schetyna to postać *no name* – nie jeździ na zagraniczne spotkania, nie uczestniczy w unijnych szczytach.

A przecież przed Polską wielkie wyzwanie – wprowadzenie w 2011 roku przewodnictwa w Unii Europejskiej. Do tego potrzeba twarzą rozpoznawalnej przez zachodnich partnerów. Przywódca, który będzie w stanie nawiązywać sojusze i który będzie traktowany jak równy wśród równych.

No, chyba że Donald Tusk zechce jako prezydent wcielić w życie wzorzec PiS i przejmie stery polityki zagranicznej. Tyle tylko, że oznaczałoby to napłucie do własnego talerza: zanegowanie podziału kompetencyjnego prezydent–premier, o który PO tak dziś walczy. Nie mówiąc już o tym, że nowy premier, który byłby jedynie „cieniem Tuska”, to nie generał mogący poprowadzić partię do zwycięstwa w wyborach.

Przez pewien czas wydawało się, że kandydatem na następcę Tuska na fotelu premiera jest szef dyplomacji Radosław Sikorski. Jeden z najlepiej ocenianych przez Polaków ministrów obecnego rządu ma na koncie spektakularne sukcesy w polityce zagranicznej – od podpisania umowy o tarczy antyrakietowej z gabinetem poprzedniego prezydenta USA George’a W. Busha po lansowanie w UE polsko-szwedzkiej inicjatywy Partnerstwa Wschodniego, czyli otwarcia Wspólnoty na Ukrainę, Mołdawię, Gruzję, Azerbejdżan i Armenię, a nawet na Białoruś.

Premiera otacza zamknięty krąg politycznych przyjaciół, z których żaden nie nadaje się na następcę, za to wszyscy odgrywają rolę bufora



Tyle że kandydatura Sikorskiego na generała została spalona przez samego premiera – w chwili gdy Tusk zaczął forsować go na stanowisko szefa NATO, nie mając zgody sojuszników na tę kandydaturę. Z góry było wiadomo, że bez ich aprobaty Sikorski odpadnie. Jednak rząd mógł Polakom powiedzieć, że przecież go popierał, a w podtekście – że kandydat nie był tak mocny, jak go malują. Zagrywka z szefem NATO była świadomym utarciem nosa Sikorskiemu, który w PO jest ciałem obcym, bo jeszcze niedawno był człowiekiem PiS, ministrem obrony w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza.

Koniak po meczu

Platforma Obywatelska, nie chcąc jednak być posądzona o partyjniactwo i popieranie tylko swoich, natychmiast postawiła na strategię szerokiego otwarcia. Wśród ludzi przez nią lansowanych pojawili się Włodzimierz Cimoszewicz (do Rady Europy), Danuta Hübner i Marian Krzaklewski (do Parlamentu Europejskiego). Czyli od lewicy do prawicy, ale na odległych przyczółkach.

Tymczasem w sztabie generalnym Tuska bez zmian. Premiera otacza zamknięty krąg politycznych przyjaciół, z których żaden nie nadaje się na spadkobiercę, za to wszyscy odgrywają rolę psychologicznego bufora. To z nimi Donald Tusk gra w piłkę. To dla nich – jak przyznaje jeden z jego ministrów – otworzył po meczu butelkę słynnego koniaku otrzymanego od Nicolasa Sarkozy’ego (francuski prezydent, odwiedzając Polskę, przywiózł dwie butelki XVIII-wiecznego trunku w prezencie dla premiera i prezydenta RP).

Oczywiście bardzo dobrze, że władza nie uderzyła Tuskiowi do głowy i że przyjaciele z czasów parlamentarnej opozycji pozostają nimi do dziś. Chwała premierowi również za to, że nie utracił pod naporem obowiązków sportowej pasji. Podobno nawet w gabinecie ma piłkę – tym razem prezent od George’a W. Busha – której nie traktuje jako eksponatu, lecz trenuje nią piłkarskie zwody między biurkiem a kanapą, gdy chce rozprostować kości. Taki premier podoba się Polakom. Opinia publiczna wybaczyla mu nawet, że przedłożył kopanie piłki nad ważne głosowanie w Sejmie. Ale zmarnowanej szansy dla Polski już Donaldowi Tuskiowi nie wybacz.

Tusk wygrał brawurowo wybory w 2007 roku. Europejskie w 2009 i prezydenckie w 2010 roku historia pewnie także zapisze jako zwycięstwa PO. Jednak historia zna wiele przykładów wybitnych dowódców, którzy trafiają w końcu na swoje Waterloo.

Największym błędem premiera Tuska jest to, że nie szuka zawczasu silnego następcy. Wiedząc, jak układa się kalendarz wyborczy, zachowuje się jak wódz, któremu wystarczy asysta kaprali. A kaprali wysyła się na linię ognia, wojny zaś wygrywają generałowie. I to tacy, którzy mają szczęście.



JAK TO MOŻLIWE, ŻE RYBY
Z BAŁTYKU SĄ DROŻSZE OD TYCH
Z MORZA POŁUDNIOWOCHIŃSKIEGO?
TO ZASŁUGA GLOBALIZACJI
ORAZ UNII EUROPEJSKIEJ
I JEJ „NAJGŁUPSZEJ POLITYKI”
– POLITYKI RYBOŁÓWSTWA

UNIA EUROPEJSKA ŁUKASZ WÓJCIK

W sklepie rybnym na warszawskim Mokotowie można kupić kilkanaście gatunków ryb. I choć niektóre nazwy brzmią nieco egzotycznie, to w sumie jest tanio. Takie na przykład filety z pangii kosztują osiem–dziewięć złotych za kilogram. Gorzej jest z dorszem. Jeśli w ogóle jest (czasem trzeba się zapisać), to kosztuje dobrze ponad 20 złotych. Polska to dziwny kraj, ale wszystko ma swoje granice. Elektrowniom bardziej opłaca się sprowadzać węgiel z RPA niż ze Śląska. Trudno. Ale żeby bałtycka ryba była ponad dwa razy droższa od importowanej z Wietnamu? W przypadku węgla trudno o racjonalne uzasadnienie. Co najwyżej można wzruszyć ramionami. Ale zaskakujące ceny ryb można wytłumaczyć.

Panga w ostatnich latach stała się rybą w pełni hodowlaną. Wietnamczycy wylawiają małe sztuki pływające w górę Mekongu na rozród. Na początku, wrzucone do stawów hodowlanych, nie chciały rosnąć. Ale i z tym sobie poradzono. Według Federacji Europejskich Producentów Akwakultury Wietnamczycy importują z Chin hormon wywołujący szybszy wzrost i zwiększający płodność. Jest on pobierany od kobiet w ciąży, a potem wstrzykiwany rybom (i pomyśleć, że niektórym pangii smakują...). Jeśli dorzucić do tego jeszcze niskie koszty pracy w Wietnamie i tani transport do Europy, oto mamy najlepsze wejście na europejski rynek rybnym od czasów norweskiego lososia.

Co się popsło?

Ale jest jeszcze druga strona przewagi pangii nad dorszem – „najgłupsza polityka Unii Europejskiej”, jak to ujął jeden z byłych unijnych komisarzy, czyli Wspólna Polityka Rybołówstwa UE. Rezultat niemal 40 lat jej istnienia to zniszczenie 88 procent europejskich łowisk oraz subsydiowane, horrendalnie liczne i nieefektywne floty rybackie. I w końcu dorsz kosztujący ponad 20 złotych za kilogram pojawiający się w mokotowskim sklepie raz w tygodniu.

To podsumowanie unijnej polityki rybnej (oprócz mokotowskiego dorsza) to wniosek raportu unijnej Rady Audytorów opublikowanego w grudniu 2007 roku. Miesiąc temu wszystkie te wnioski potwierdziła Komisja Europejska w specjalnie wydanej zielonej księdze. Joe Borg, komisarz do spraw rybołówstwa, stwierdza w niej otwarcie, że Wspólna Polityka Rybołówstwa poniosła klęskę.

Co się popsło? Unia Europejska stoi na stanowisku, że jeśli coś ma międzynarodowy charakter, to powinno mieć swoją politykę. Dlatego jest unijna polityka lotnicza, powstaje unijna polityka zagraniczna. A ponieważ ryby bez przerwy zmieniają wody terytorialne, to im też się należy unijna polityka.

Jej założenia są racjonalne: ponieważ ryby to „zasób ruchomy”, prawa do niego powinny mieć wszystkie kraje Unii. Udziały w ogólnej puli połowów na dany rok wyznaczane są na podstawie historycznych praw połowowych – brane są pod uwagę rozmiary połowów prowadzonych przez kraje członkowskie przed wprowadzeniem unijnej polityki rybnej. I tak na przykład Polska ma prawo do ponad 22 procent dorszów wylawianych co roku z Bałtyku. —>

RYBA PSUJE SIĘ OD UNII

W unijnym systemie rybołówstwa klient jest jedynie koniecznym dodatkiem. Dla polityków ważniejsze są miejsca pracy dla rybaków



→ Racjonalność kończy się, gdy trzeba ustalić ogólną pulę połowów dla całej Unii. Pierwsza propozycja wychodzi od naukowców, którzy dbają o to, aby w następnym roku populacja unijnych ryb miała szansę się odbudować. Ta propozycja trafia do Komisji Europejskiej, która ją zmienia i hojnie podwyższa limity połowowe. Nad propozycją Komisji co roku w grudniu obradują ministrowie z państw członkowskich, którzy ciągle podwyższają limity.

Politycy kontra nauka

Kończy się to tym, że ostateczna pula połowowa dorszów w ostatnich latach była średnio trzykrotnie wyższa od pierwotnej, „naukowej” propozycji. Na dodatek państwa członkowskie, które są odpowiedzialne za realizację limitów u siebie, przykrywają oko na nielegalne połowy prowadzone przez swoich rybaków, czyli (jak twierdzi sama Komisja Europejska) na kolejne 30 procent ponad „naukowe” limity połowowe. Później takie nielegalne zdobycze rybacy sprzedają na pniu zachwyconym turystom. – W efekcie co roku dziesiątkujemy nasze ryby – mówi „Przekroju” Paul Degnbol, szef duńskiego Instytutu Zarządzania Rybołówstwem.

Jeszcze w latach 70. trzy czwarte złanych w Europie ryb łowiono na miejscu. Dziś to zaledwie 40 procent. Ponad połowę sprzedawanych w Europie dorszów łowi flota 300-tyśięcnej Islandii – kraju, który wciąż nie przystąpił do UE, między innymi ze względu na unijną politykę rybną. Ze wspomnianych 88 procent zagrożonych łowisk trzecia część jest tak wyeksploatowana, że nawet zupełnie przerwanie tam połowów nie wystarczy do odnowienia zasobów. 93 procent dorszów łowionych dziś przez unijne kutry jest niewymiarowych – zbyt małych, żeby zdążyć się rozmnożyć. Magazyn „Science” już trzy lata temu przestrzegał, że jeśli tak dalej pójdzie, to za 40 lat w wodach Unii Europejskiej nie będzie ryb.

Taki uroczy skansen

Trudno powiedzieć, czym się wtedy zajmie – według komisarza Borga przerośnięta już o jakieś 60–80 procent – europejska flota rybacka. – Unia Europejska stosuje wobec swoich rybaków zasadę „miejsca pracy są ważniejsze od efektywności” – przekonuje Degnbol. Realizacją tego hasła zajmuje się Europejski Fundusz Rybacki, który tylko na lata 2007–2013 ma budżet w wysokości 3,8 miliarda euro.

Tradycyjny sposób pozbywania się (śniętych już) ryb złapanych poza limitami, a więc nielegalnie

Korzystają z niego państwa członkowskie, które w różny sposób wspierają swoich rybaków. Francuzi tak jak w przypadku produktów rolnych ustalają minimalne stawki na ryby i dokonują interwencyjnych skupów. Wszystkie państwa Unii, w tym Polska, jednorazowo płać właścicielom kutrów za ich złowienie, czyli za odejście z zawodu. W Polsce za zezłomowanie średniej wielkości kutra jego właściciel dostaje około miliona złotych.

Jednak nie wszystkie państwa tak przykładają się do redukcji floty. O ile tonaż polskiej floty rybackiej w latach 2004–2007 spadł o ponad 34 procent, o tyle we Francji ten spadek wyniósł 2,5 procent. Ale francuscy rybacy, jak to miało miejsce w kwietniu, zawsze mogą zablokować porty nad kanałem La Manche, czyli kluczową drogę kontaktu Brytyjczyków z kontynentem.

Komisja Europejska przyznaje we wspomnianej zielonej księdze, że w niektórych krajach Unii ogół subsydiów dla rybaków ma większą wartość niż wszystkie ryby przez nich złowione. – Taki uroczy, choć nieco drogi skansen – dodaje Degnbol. Kończy się to tym, że za dorsza w mokatowskim sklepie płacimy dwa razy: najpierw jako konsumenci, potem jako podatnicy.

Tak liczną i rozdrobnioną flotę „konserwuje” również najpopularniejszy w Unii system podziału limitów połowowych między rybaków. Większość unijnych rządów zabrania swoim rybakom obrotu tymi limitami w obawie przed zbyt dużą ich koncentracją w rękach najbogatszych armatorów (zasada „miejsca pracy są ważniejsze od efektywności”). W efekcie rybacy nie mają żadnej motywacji, aby podnosić swoją efektywność – po co, jeśli nie mogą dokupić limitów, a to, co złowią ponad swój limit, muszą wyrzucić do morza?

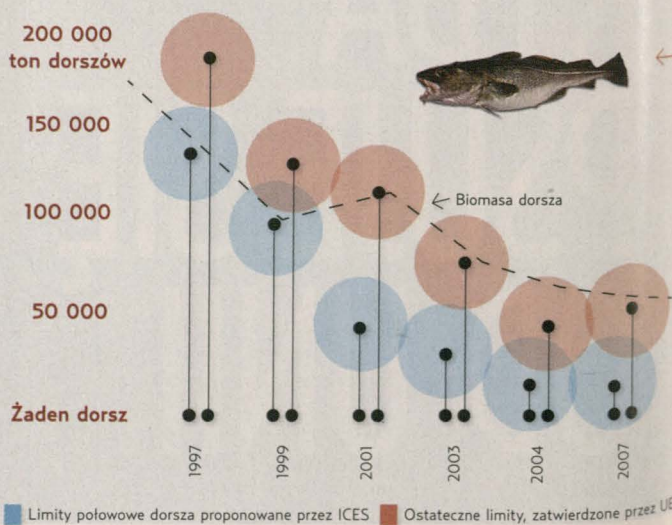
Ryby na własność

Radikalni krytycy unijnej polityki rybnej twierdzą, że państwo w ogóle nie powinno się mieszać w rybołówstwo. Do czego może doprowadzić takie podejście, równie radykalnie pokazuje przykład Somalii, gdzie od 1991 roku nie funkcjonuje praktycznie żaden rząd. Somalijskie wody terytorialne zostały dosłownie ogłoszone z ryb przez obce (między innymi hiszpańskie) kutry, więc biedni somalijscy rybacy przetrucili się na porywanie przepływających w pobliżu tankowców.

Ciekawą alternatywą dla Unii Europejskiej może okazać się polityka rybołówstwa od dziesięcioleci prowadzona przez ta-

Powolna anihilacja dorsza

Duńscy naukowcy z instytutu ICES twierdzą, że jeśli utrzyma się tempo spadku liczby europejskiego dorsza, pożegnamy się z nim pod koniec przyszłej dekady



kich rybnych potentatów jak Islandia czy Norwegia. Państwa te zezwoliły swoim rybakom na handel limitami połowowymi. – Nasz system preferuje bardziej wydajnych rybaków, którzy skupują limity od tych, którzy zamiast pływać po morzu, wolą łatwe pieniądze



Francuscy rybacy to jedna z najlepiej zakonserwowanych grup zawodowych w Unii

ze sprzedaży limitów i zmianę branży – twierdzi w rozmowie z „Przekrojem” profesor Thorolfur Matthiason, ekspert do spraw rybołówstwa z Uniwersytetu Islandzkiego w Reykjavíku. – To nie państwo płaci rybakom za porzucenie zawodu, ale inni rybacy.

Ostatecznie dochodzi oczywiście do koncentracji limitów przez kilku największych armatorów (czyli do znacznego zmniejszenia floty rybackiej), ale dzięki ich efektywności połów ryb staje się tańszy. – Taki system nie tylko nie potrzebuje subsydiowania przez podatników, ale również oferuje tym podatnikom tańsze ryby – tłumaczy Matthiason.

Kilka państw Unii, między innymi Wielka Brytania i Dania, już przejęło islandzkie i norweskie rozwiązania. – W Komisji Europejskiej pojawił się nawet pomysł, aby w przyszłości handel limitami stał się możliwy na terytorium całej Unii – mówi nam Hans Lassen, unijny konsultant z Międzynarodowej Rady Eksploracji Mórz. – Wpro-

wadzenie takiego wolnorynkowego rozwiązania jest nieuniknione.

W praktyce oznaczałoby to, że hiszpańscy rybacy mogliby wykupić wszystkie limity połowowe od Polaków. – Tak się stanie, jeśli Polska nie wzmocni swojego rybołówstwa. A to da się zrobić tylko poprzez wyeliminowanie z branży najmniej skutecznych rybaków i wzmocnienie tych najlepszych – kończy Lassen. Polski rząd zapowiada, że pozwoli polskim rybakom handlować limitami między sobą od 2012 roku.

Głupcy albo komuniści

Ale islandzko-norweski model ma jeszcze jedną zaletę, ściśle związaną ze wspomnianym sklepem rybnym na Mokotowie.

W latach 80. sklep ten był „państwowy”: obskurny, ryby pływały w wiaderkach, a zapach wewnątrz był nie do zniesienia. Dziś jest sterylny, doskonale zaopatrzony i panie za ladą się uśmiechają. Sklep zyskał właściciela, który o niego dba. Dlatego przynosi większe zyski i kiedyś będzie go można drożej sprzedać.

Tak samo jest z limitami dla rybaków. Jeśli dostają je z przydziału i nie mogą ich sprzedać, to nie mają interesu w dbaniu o swoje strefy połowowe – łowią tyle ryb, ile się da, bo bardziej zależy im na szybkim zysku niż na utrzymywaniu zdolnej do reprodukcji rybnej populacji w swoim akwenie. Dbaliby o akwen, gdyby mogli w przyszłości odsprzedać przypisane do niego limity. Bo kto by od nich kupił prawo do połowów w pustym akwenie?

Taki „własnościowy” system limitów połowowych na obszarze całej Unii Europejskiej to jednak wciąż daleka przyszłość. Zwłaszcza że na takie rozwiązanie nie zgadzają się Francuzi.

Dlatego jeszcze przez jakiś czas w sklepie rybnym będziemy musieli wybierać: kupujemy dorsza i wspieramy „najgłupszą politykę Unii Europejskiej” albo kupujemy pangę i wspieramy hormonalne wynalazki komunistycznego reżimu z Wietnamu.

Jakbyś tam był

muzyka.wp.pl



Wejdź na muzyka.wp.pl / czytaj relacje z koncertów / poczuj prawdziwe emocje / przeglądaj recenzje / daj się porwać koncertowej atmosferze / poczuj to, jakbyś tam był

Kat dodaje im skrzydeł

Istnieje na świecie roślina, która wprawdzie popsuje wam zęby, ale rozwiąże wszystkie inne problemy. To kat – siła napędowa piratów i gwarant społecznego zadowolenia

UŻYWKI LUKASZ WÓJCIK



Z lewej: Dwójka Jemeńczyków podczas katowej nasiadówki. Kobiety z takich krajów jak Jemen przez lata walczyły z małżonkami o ograniczenie bezproduktywnego ssania. **Groziły nawet rozwodami. Dziś same ssą, tyle że osobno. Władzom katy (poniżej) w USA może kosztować nawet sto dolarów**



Ten scenariusz zaczyna być już bezczelnie rutynowy. Gdzieś na wodach Zatoki Adeńskiej trzy szybkie łodzie motorowe podpływają do statku. Ktoś zaczyna sznurować drabinę o reling i pierwsi „piraci” wdrapują się na pokład. Zaraz potem lądują tam również kałasznikowy, ręczna wyrzutnia rakiet i kilka worków wypchanych gałązkami z małymi zielonymi liśćmi, które przypominają nieco bazylię. Wszyscy piraci wyglądają tak, jakby bolały ich zęby albo jakby trzymali w ustach piłkę tenisową. To dobrze przeżuta kula liści, takich samych jak te w workach. Niemal doskonałe źródło energii.

Te liście to kat (arab. *qāt*, po polsku: czuwaliczka jałalna), roślina powszechnie uprawiana i żuta na południu Półwyspu Arabskiego i we wschodniej Afryce. Jej liście zawierają katynon, silnie stymulującą substancję, dzięki której piraci mogą nie jeść i nie spać nawet przez cztery dni. Za to przydałby się im dentysta, bo doświadczony żuj ma zęby w stanie upadku.

Choć raczej nie żuj, tylko ssacz, bo kat się ssie. Po uprzednim delikatnym roznieceniu trzonowcami wytrawny ssacz nie tyka liści, tylko odkłada je sobie w policzku – stąd wkrótce w jego ustach pojawia się „piłeczka tenisowa”. Mniej więcej po dwóch godzinach liście puszcza sok i ssacz wpada

w błogi stan zachwyty nad swoją inteligencją, wiedzą i ogólną wspaniałością. Dlatego trudno się dziwić, że Aleksander Wielki (pierwszy znany nałogowy ssacz) podbił pół świata, a otoczona polami katy wyrocznia delficka była wszechwiedząca.

Roślina bojowa

Panowie piraci czują się zapewne jak połączenie Aleksandra z wyrocznią, co w zestawieniu z agresją daje przekonujący wizerunek desperata, któremu dla świętego spokoju lepiej wypłacić te kilka milionów dolarów okupu. Tak ujawnia się najważniejsza właściwość katy. – O ile zawsze wywołuje on błogość, o tyle reszta rezultatów zależna jest od samego ssacza – mówi „Przekroju” Nasir Warfa, antropolog z londyńskiego Queen Mary University. – Kat tylko potęguje nasze naturalne skłonno-

ści lub pomaga realizować cele, które postawiliśmy sobie „na trzeźwo”. Kat to używka wielofunkcyjna.

Ssacze z Somalii najczęściej wykorzystują kat w celach bojowych, bo też trudno o inne cele w kraju, w którym od 18 lat toczy się wojna domowa. Na początku kat dawał odwagę Somalijszykom, którzy w 1993 roku w pojazdach przypominających wozy z filmu „Mad Max” ścigali się po Mogadiszu z amerykańskimi marines. Dziś kat przydaje się, gdy trzeba pontonem zapłynąć drogę 300-metrowemu tankowcowi.

Somalia sprzed wojny domowej była jednym z największych producentów katy. Dziś ten kraj jest tak zniszczony, że niemal cały spożywany tam kat pochodzi z importu. A ma go kto spożywać, bo zaledwie co czwartym Somalijszyk nie ssie katy codziennie. Reszta ssalaby nieprzerwanie, gdyby nie przejściowe anomalie. Taką anomalią były w 2006 roku kilkumiesięczne rządy fundamentalistów

islamskich, którzy zakazali katy, twierdząc, że jako używka jest on w Koranie zakazany.

„Legalność” religijna katy jest tematem gorąco dyskutowanym wśród muzułmanów. Teoretycznie Koran zakazuje używek, nie wspominając już o narkotykach. Wszelki alkohol jest oczywiście w islamie zakazany, ale część konserwatywnie nastawionych duchownych twierdzi, że grzeszne jest również palenie papierosów czy właśnie ssanie katy. Na przykład w wahabickiej Arabii Saudyjskiej za posiadanie kilku gałązek tej rośliny grozi inny kat.

Ssanie i spanie

Każdy ssacz ma oczywiście przygotowaną regułkę, że przecież kat przez stulecia był dopaiaчем dla wielu sławnych uczonych w piśmie, którzy całe noce spędzali na lekturze Koranu. Tak najczęściej tłumaczą się Jemeńczycy, naród, z którym w ssaniu mogą się równać wyłącznie Somalijszykowie. Ale co najciekawsze, kat pełni w Jemenie zupełnie inną funkcję niż po drugiej stronie Zatoki Adeńskiej.

Jeszcze 50 lat temu kat był w Jemenie weekendową rozrywką najbogatszych. Dziś ssą wszyscy, łącznie z kobietami. Przeciętny obywatel Jemenu (jednego z najbiedniejszych krajów świata) wydaje ponad połowę swoich zarobków na tę roślinę i przeznaczają na ssanie od czterech do sześciu godzin dziennie. Najbardziej wyluzowani – nawet 10 godzin.

Jeśli chcesz coś załatwić w Jemenie, zrób to między godziną 11, kiedy otwierane są wszystkie urzędy i sklepy, a 13 – godziną zamknięcia, po której właściciele zaczynają tworzyć swoje „piłeczki”. I nic innego już się nie liczy, o czym przekonał się sam niżej podpisany, próbując przedłużyć wizę.

Urzędnik zainteresował się moim problemem dopiero wtedy, gdy przyniosłem ze sobą kilka gałązek katy, a gdy zgodziłem się ich spróbować (kat smakuje jak trawa, tylko jest nieco bardziej gorzki) wręcz wpadłem w euforię. Ponieważ zauważyłem, że mi nie smakowało, dookończyłem moją działkę i zacząłem snuć opowieści, chyba o swoim życiu. Chyba, bo nie rozumiałem z tego ani słowa.

Byłby tak mówił bez końca, gdyby nie ześlił się jego krewny, wszyscy z katem. Wówczas (to już wiem z tłumaczenia) rozpoczęły się rozmowy o pokoju na świecie, historii i polityce. – Po kacie mam wrażenie, że mogę rozwiązać wszystkie problemy tego świata – tłumaczył mi łamaną angielszczyzną jeden z przybyszów. – Wtedy zapominam o moich przyziemnych problemach.

Mokka bez kawy

A Jemeńczycy mają czym się martwić. Tamtejsza gospodarka wciąż nie może się podnieść po wojnie domowej zakończonej w 1990 roku. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu najbardziej dochodowym towarem eksportowym Jemenu była kawa. Paradoksalnie nazwa Mokka po-

chodzi od jemeńskiego miasta portowego nad Morzem Czerwonym, w którym dziś nie sposób napić się kawy. Niemal wszystkie najlepsze pola uprawne, których w górzystym Jemenie jest niewiele, zostały przeznaczone na pola katy. Ta niezwykle dochodowa uprawa pochłania tam 80 procent zużywanej wody.

I tu właśnie ujawnia się zbawienna (dla jemeńskiego rządu) funkcja katy jako stabilizatora społecznego. – Ludzie nie zniesliby na trzeźwo fatalnej sytuacji w kraju – mówiła mi kilka lat temu Raszida al-Hamdani, szefowa jemeńskiego Komitetu Kobiet. – Po kacie wszystkie problemy wydają się błahe i nikt nie pyta o to, co rząd robi z pieniędzmi zarobionymi na sprzedaży ropy naftowej.

Te pieniądze – niemałe, bo w 2007 roku było to około 500 milionów dolarów – znikają w rozbudowanej do granic absurdu administracji państwowej, która pracuje dwie godziny dziennie. Ale po kacie potencjalnym petentem jest już wszystko jedno. Dlatego wzrost cen katy w ostatnich miesiącach tak przeraził władze, że państwo zaczęło dopłacać do importu tej rośliny z Etiopii. Jednak nawet to nie wystarczyło – w Adenie, kiedyś stolicy dawnego socjalistycznego Jemenu Południowego, od kilku tygodni wybuchają zamieszki, a w prasie powrócił temat rozpadu państwa.

Dlatego trudno się dziwić, że Jemeńczycy w ślad za uciekającymi przed wojną domową Somalijszykami masowo emigrują do Europy i USA. Za nimi emigruje również kat. Na londyńskim lotnisku Heathrow cztery razy w tygodniu ląduje samolot załadowany świeżym katem z Kenii. Towar w mgnieniu oka rozchodzi się wśród 250-tysięcznej społeczności somalijskiej w Wielkiej Brytanii. Nie tylko ze względu na ogromny popyt. Liście katy za-

zakwalifikowaniem rośliny do narkotyków. Ale jest pewien problem. O ile Światowa Organizacja Zdrowia ma jak najgorsze zdanie o kacie, o tyle nie ma dowodów na to, że kat uzależnia w sensie chemicznym. Nie jest to oczywiście marchewka, bo oprócz wywołania stanu błogości i wszechmocy kat tłumi głód, wzbudza pragnienie, podwyższa ciśnienie, a wieloletnie jego spożywanie może wywołać raka jamy ustnej. Jednak to i tak nic w porównaniu z efektami równie intensywnego spożycia alkoholu, który przecież wciąż jest legalny.

Błogość i wszechmoc

Nie da się jednak ukryć, że kat to roślina silnie uzależniająca społecznie. Samotne ssanie jest jak picie do lustra – w Jemenie to czynność wręcz hańbiąca. Na emigracji wspólne ssanie zyskało zupełnie nowy wymiar. Katowe nasiadówki stały się w Londynie najważniejszą demonstracją tożsamości etnicznej. Te spotkania często są jedyną miłą chwilą dnia dla zdesperowanych, najczęściej bezrobotnych imigrantów.

Z drugiej jednak strony, mimo że coraz więcej Brytyjczyków poznaje uroki katowej wszechmocy, społeczne ssanie w zamkniętych gronach sprawia, że integracja imigrantów z brytyjskim otoczeniem staje się praktycznie niemożliwa.

Podczas jednej z katowych nasiadówek w Sanie, stolicy Jemenu, trafiałem na człowieka, który świetnie mówił po angielsku. Wykorzystałem to i zacząłem wypytywać go o politykę. Trzydziestoparoletni Jemeńczyk załaził się na prezydenta, rząd, duchownych, policję, teściową, wojskowych, kanalizację. Słowem – na wszystko. Ale zapytany, dlaczego nie emigruje, uśmiechnął się i odparł, wciąż plu-



Kto kontroluje handel katem w Somalii, kontroluje również samą Somalię. Ale największym marzeniem każdego somalijskiego kacyka jest opanowanie eksportu katy najpierw do Jemenu, a potem do Wielkiej Brytanii

czynają tracić swoje najbardziej chwalone zalety zaraz po zerwaniu z drzewa. Po dwóch-trzech dniach od zerwania kat ma już wyłącznie walory ozdobne.

Władze Wielkiej Brytanii, jedynego zachodniego kraju, w którym kat jest legalny, tak się ostatnio przejęły skalą ssania wśród mieszkających na wyspach Somalijszyków (ponad 80 procent), że zastanawiają się nad

jąc przemielonymi resztkami liści: „Przecież tu jest super”. Dopiero wtedy zainteresował się Polską i gdy mu powiedziałem, że nie mamy niczego takiego jak kat oraz że nad Wisłą spada spożycie alkoholu, a narkotyki są zakazane, zapytał z niedowierzaniem: „To jak wy w tym kraju wytrzymujecie?”

O innych uzależnieniach czytaj na s. 32.

Wszyscy jesteśmy uzależnieni

Ludzkość pije i narkotyzuje się od zarania, ale dopiero XX wiek nazwał to nałogiem. O uzależnieniach normalnych i nienormalnych mówi psycholog Andrew Tatarsky*

ROZMOWA MACIEJ JARKOWIEC

Pan jest od czegoś uzależniony?

– Od wielu rzeczy. Niedawno kupiłem nowy komputer i miałem problem z zainstalowaniem PowerPointa. Jak sobie zdałem sprawę, że na drugi dzień pójdę na konferencję bez PowerPointa, wpadłem w panikę, nie mogłem spać. Typowy syndrom odstawienia.

I co w takiej sytuacji? Leczenie?

– Konferencja jakoś poszła, a na drugi dzień zainstalowałem PowerPointa i poczułem się lepiej. Wróciłem do nałogu. Jestem też oczywiście uzależniony od kawy.

Jak większość. Czy codzienne picie kawy pasuje do definicji uzależnienia?

– Narkotyk, PowerPoint, kawa, seks, pieniądze, jedzenie, bieganie – wszystkie te aktywności mogą uzależniać. W tradycyjnym ujęciu uzależnienie to używanie substancji (lub wykonywanie czynności) mimo negatywnych konsekwencji. Konieczna jest terapia, w przeciwnym razie stan uzależnionego będzie się pogarszał. Ale badania przekonują, że sprawa jest bardziej skomplikowana. W teorii używamy kategorycznych definicji – zażywamy eksperymentalne, dla towarzystwa, potem nadużywamy, wreszcie uzależnienie. W praktyce ludzie poruszają się po całej tej osi. Uzależnienie nie musi być statyczne. Ludzie dość płynnie wchodzą w nałogi i z nich wychodzą.

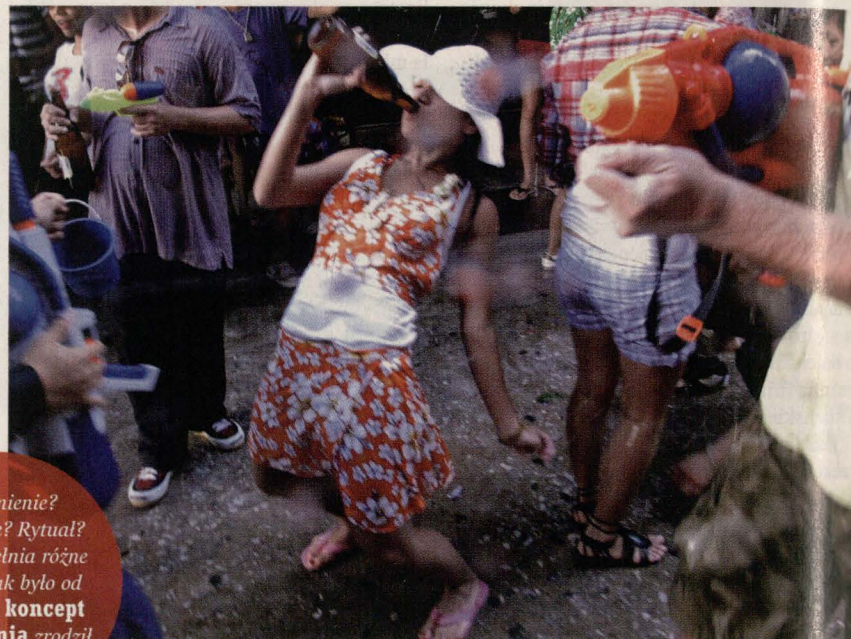
Ale niektórzy potrzebują leczenia.

– Zgoda, tylko nie wiemy kto, bo uzależnieni nie są jednolitą grupą. Część z nich wychodzi z uzależnienia bez jakiegokolwiek terapii. Przykładem jest tytoń – najbardziej śmiertelny nałóg świata, z którego tysiące ludzi wychodzi bez żadnego leczenia. Amerykański rządowy instytut badań nad alkoholem śledził grupę alkoholików. Po roku 15 procent z nich przestało pić – część bez żadnej terapii, a kolejne 15 procent piło dalej, ale o wiele bardziej umiarkowanie. Rząd zmienił definicję wyleczenia z alkoholizmu i teraz poza abstynencją obejmuje ona też odzyskanie kontroli nad umiarkowanym spożyciem.

Oczywiście są ludzie, którzy po uzależnieniu nie potrafią wrócić do umiarkowanego spożycia i potrzebują leczenia. Sęk w tym, że z góry nie wiemy, z jakim typem pacjenta mamy do czynienia. W nowoczesnym podejściu pacjent sam musi wybrać, jaki jest dla niego najbezpieczniejszy stosunek do substancji. Ja mu w tym tylko pomagam.

Jak pomoże pan takiej rodzinie: mąż po pracy wypija kilka piw, nieraz mocno

Zapomnienie? Odprężenie? Rytuał? Alkohol spełnia różne funkcje. Tak było od zawsze, ale **koncept uzależnienia** zrodził się w XX wieku



upija się w weekend. Z jego punktu widzenia rodzina funkcjonuje normalnie. Ale żona się skarży – twierdzi, że on nadużywa, a przez to zaniedbuje ją, dzieci, bywa agresywny.

– W tradycyjnym podejściu sprawa jest jasna: mamy alkoholika trwającego w zaprzeczeniu, który dla picia zaryzykuje nawet rozpad rodziny. Trzeba więc przebić się przez jego zaprzeczenie i zmusić go do terapii. Stop! Jeśli na starcie skupimy się na alkoholu, tak jak żona, nie dostrzeżemy, że jego picie może być wtórne wobec problemów, które ma z osobowością, ich związkiem czy nawet z nią samą.

Więc pozwala mu pan dalej pić i rozpoczyna śledztwo, które ustali, co jest nie tak?

– On mówi, że wcale nie ma problemu z alkoholem, tylko nie zgadza się z żoną co do roli ojca, męża. Nie ma między nimi komunikacji. Wtedy pytam: czy byłbyś zainteresowany terapią, która poprawi komunikację w waszym związku? Jeśli on powie „tak” – mam go na terapii. Nie walczę z nim, żeby zaakceptował punkt widzenia żony, tylko szukam punktu kontaktowego dającego start terapii. I dopiero wtedy pytam: dlaczego żona martwi się twoim pić, a ty nie? Odpowiedzi mogą być różne i w końcu może się okazać, że problem rzeczywiście tkwi w pić, ale nie musi. To samo dotyczy całych społeczności. Dlaczego nagle w miasteczku w Montanie 80 procent młodych ludzi uzależnia się od metaamfetaminy? Ktoś zrzucił to-

nę darmowego narkotyku? A może nie ma perspektyw, nie ma autorytetów, jest bieda i złość? W nowoczesnym ujęciu uzależnienie to proces psychobiospołeczny. Czynniki psychiczne, biologiczne i społeczne – unikalne dla każdej jednostki – współdziałają, tworząc podatność na niekontrolowane spożywanie substancji.

Skoro mówimy o społecznościach – czy epidemię otyłości w USA można rozpatrywać w kategoriach masowego uzależnienia od niezdrowego jedzenia?

– No właśnie: czy uzależnienia od narkotyków albo alkoholu są tak fundamentalnie różne od innych uzależnień, które uznajemy za normalne? Dlaczego wyodrębniamy uzależnienia od pewnych substancji, skoro można rozpatrywać uzależnienie od cukru czy przepracowania jako bardziej zgubne dla społeczeństwa? Ludzie już u progu cywilizacji używali substancji psychoaktywnych, ale nie nazywali tego uzależnieniem, tylko lekarstwem, jedzeniem, rytuałem religijnym. Społeczności postrzegały te substancje jako użyteczne, choć na pewno nie było to zdrowe. To się nie zmieniło – jest użyteczność: dobra zabawa, uśmierzanie bólu, w wielu kulturach nadal rytuał. Pozostała też problematyczność. Ale na początku XX wieku dodaliśmy do tego koncept uzależnienia, patologii czy – jak w wypadku narkotyków – przestępstwa. Obawiam się, że nie przez to nie zyskaliśmy. Skoro niektórzy ludzie w relacjach z rzeczywistością potrzebują pewnych

substancji, które są problematyczne, nie stygmatyzujemy tych ludzi, tylko tworzymy alternatywy dla samych substancji.

Jakie?

– Odpowiem tak: Byłem niedawno w Meksyku, w małym miasteczku. Burmistrz mnie oprowadza i widzę same otumanione kobiety, dzieci i starców. Większość mężczyzn między 15. a 40. rokiem życia wyjechała do USA. Miasteczko jest bez ojców, synów i braci. W reakcji na taką sytuację kobiety wpadły w coś w rodzaju zbiorowej depresji i zaczęły dużo pić, a co gorsza, dawać alkohol dzieciom. To przykład, gdzie czynnik społeczny (brak mężczyzn) wpłynął na czynnik emocjonalny (depresja) i w połączeniu z biologicznym (wpływ alkoholu na organizm) uzależnił całe miasteczko.

Ten model można odwrócić i stworzyć odporność na uzależnienie. Buduje się ją przez zwiększanie zdolności radzenia sobie z rzeczywistością, ze stresem, z depresją. Trzeba tworzyć w rodzinie i społeczeństwie warunki, które obniżają podatność ludzi na substancje. Rodzice muszą uznać, że ich dzieci będą wystawione na zagrożenie – stres, kontakt z użytkownikami i dilerami narkotyków. Powinni sami się edukować i mówić dzieciom o prawdziwym ryzyku, jakie niosą narkotyki. Ale nie straszyć, tylko dostarczyć im jak najwięcej informacji. Dzieciaki uwielbiają przyjmować informacje. Kluczowa jest otwarta relacja. Karalność i kategoryczny zakaz zamykają komunikację. Wyedukowani młodzi ludzie, którzy czują się dowartościowani, mają poczucie godności, będą bardziej odporni na uzależnienia. Tak

REKLAMA



Andrew Tatarsky, doktor psychologii klinicznej, specjalista psychoterapii uzależnień, współpracownik City University of New York i Washington Institute of Addictions. W dniach 13–15 maja gościł w Polsce na konferencji zorganizowanej przez Krajowe Biuro do spraw Przeciwdziałania Narkomanii

powinno się budować alternatywę dla problematycznych substancji w rodzinie i w społeczeństwie, bo tak osłabiamy dwa czynniki procesu uzależnienia: społeczny i psychologiczny.

Walce z uzależnieniami ma też pomagać prawo. W zachodnim świecie alkohol i tytoń są legalne, a narkotyki nielegalne. Czy taki model jest słuszny?

– Prohibicja narkotykowa nie ma sensu. Alkohol i nikotyna są o wiele bardziej zabójcze niż większość nielegalnych narkotyków. Nikotyna zabija na przykład 300 tysięcy Amerykanów rocznie.

To dlaczego dodatkowo mielibyśmy spuścić ze smyczy narkotyki?

– Ale one nie są na smyczy! Prohibicja nie blokuje dostępu do narkotyków ludziom, którzy chcą je zdobyć. Świetnie zorganizowane, wielonarodowe siatki przestępcze dostarczają na rynek coraz więcej substancji. Badania wśród nieletnich po-

kazują, że zdecydowana większość na pytanie: „Czy wiesz, gdzie w twoim mieście można zdobyć narkotyki?”, odpowiada albo „tak”, albo „znam kogoś, kto wie”. W Stanach nieletnim łatwiej jest zdobyć kokainę niż piwo, bo diler dowodu nie sprawdzi. Prohibicja nie chroni naszych dzieci. Uderzająca jest też hipokryzja: zgadzamy się, że uzależnienie to choroba, ale zapewniamy bardzo mało funduszy na leczenie, edukację i prewencję, a miliardy na kryminalizację narkomanów.

Skąd ten upór, by trwać przy systemie, który nie działa?

– Pozwolę sobie na wyjaśnienie filozoficzne. Dlaczego tak często cywilizacja *Homo sapiens* stygmatyzuje albo karze swoich najbiedniejszych, najsłabszych członków, którzy cierpią – tak jak narkomani – z powodów społecznych czy zdrowotnych? Może jest w nich coś, co rozpoznajemy podświadomie w nas samych? Boimy się tego i nie chcemy na to patrzeć. □

TYLKO DO 31 MAJA PRZY ZAKUPIE KILKU ELEMENTÓW WYPOSAŻENIA – PROMOCJA



URZĄDZAMY
PROMOCJĘ
I WNĘTRZA

1. Kler model Ballata (W 030). 2. wielki wybór stolików, stolów i krzeseł. 3. obszerna kolekcja dekoracji ceramicznych i drewnianych. 4. szeroka oferta lamp.

KLER
QUALITY HOME

Mądra reforma czasem musi boleć, ale tak, żeby to było do wytrzymania – oto recepta premiera **Donalda Tuska**

Rozmowa odbyła się 14 maja 2009 roku w Warszawie

W latach 70. mieliśmy propagandę sukcesu Gierka. Teraz mamy propagandę braku kłeski Tuska?

– To nieprawdziwa opinia.

Przecież ciągle pan mówi: kryzys u nich jest większy niż u nas.

– Staram się przeciwdziałać temu, do czego przyzwyczaili nas politycy i komentatorzy, do tego nieustannego malkontentstwa, czarnowidztwa i wieszczzenia katastrof. Z drugiej strony dziś trzeba być bardzo skoncentrowanym, bardzo ostrożnym w działaniu, rozsądnym, przewidywać kłopoty, które się tak czy inaczej pojawiają. Ale jeśli sytuacja Polski jest lepsza niż większości krajów Unii Europejskiej, to nie ma powodu, żeby to ukrywać.

Mówi pan „skoncentrowanym”, a czy to czasem nie znaczy tylko wyczekującym?

Unia wszczęła wobec Polski procedurę nadmiernego deficytu, przy okazji wytykając poprzedniemu rządowi, że w czasach prosperity niewiele zrobił, żeby zabezpieczyć się na przyszłość, nie zrestrukturyzował finansów publicznych, nie zreformował niektórych branż. I teraz nadal nic nie robimy w tych sprawach.

– Ależ robimy. Dzisiaj na przykład wrzawa organizowana przez związki zawodowe przesłania fakt, że po raz pierwszy racjonalnie ktoś się zabrał do przyszłości stoczni. Rozmawiamy w dzień rozstrzygnięć przetargowych i ja z wielką satysfakcją mogę powiedzieć, że jest jedna, bardzo poważna oferta nakierowana na wykorzystanie całego potencjału stocznioowego w Gdyni i po raz pierwszy...

Ale jako reakcja na katastrofę...

– Tak, wiem, że nic, co dobrego dzieje się w Polsce, nie wynika z naszego działania, a wszystko co złe, włącznie z pogodą, wynika z naszego zaniechania (*śmiech*).

Niech pan się tylko nie zamieni w pełnego pretensji do świata Jarosława Kaczyńskiego, z tą różnicą, że uśmiechniętego.

– Nawet jakbym się nie wiem jak napiął, to nie potrafiłbym. Wracając do naszej pracy – to, co jest możliwe, doprowadzamy do granicy ryzyka politycznego, ale ja tej granicy oczywiście nie będę przekraczał.

Z czym jesteście na tej granicy?

– Choćby z emeryturami pomostowymi i mundurowymi.

Rozstrzygnięcia w sprawie tych ostatnich się oddalają.

– Wręcz przeciwnie. Emerytury mundurowe będą zreformowane zgodnie z tym, co zapowiadaliśmy. A czy to będzie wersja łagodniejsza, rozciągnięta w czasie, będzie wynikało z tego, ile służby mundurowe, niezbędne z punktu widzenia funkcjonowania państwa, będą w stanie znieść. Bo nie mogę być głuchy na argumenty, że iluś policjantów, którzy przyszli do pracy, licząc na wcześniejsze emerytury, będzie gotowych odejść, jeśli ten przywilej zostanie z dnia na dzień odebrany. Nie jestem ortodoksyjny, nie uważam, że jakość reformy mierzy się jej bolesnością.

Jednak niektóre reformy muszą być bolesne.

– Dzisiaj zadaniem mądrej polityki jest zmieniać rzeczywistość za cenę czasami także bólu, ale dozowanego tak, żeby był do wytrzymania. Kto przesadzi, ten nie tylko niczego dobrego nie zrobi, lecz straci zaufanie ludzi, a przede wszystkim zada im ból niepotrzebnie.

Sprawdza pan poziom tego bólu sondażami?

– To bzdury. Ekipa, z którą pracuję, przez półtora roku przeprowadziła jeden sondaż. I to był sondaż, który badał opinię publiczną na temat prezydenta Sopotu. A po odczytaniu wyników tego sondażu wygłosiłem opinię z nimi sprzeczną. Nie chce się wierzyć niektórym, że można mieć albo dobrą intuicję, a nie sondaże, albo pewne zdolności perswazyjne. Opinii publicznej można wiele wytłumaczyć, nawet własne błędy czy zaniechania...



Najsztub
pyta



POPULISTA ODPOWIEDZIALNY

Premier Donald Tusk
podczas wizyty
w Opolskiem
po przejściu
trąby powietrznej,
16 sierpnia 2008 r.

Nie powiem o sobie czy o moim rządzie, że jesteśmy idealni, że robimy wszystko we właściwym tempie, że wszystkim się mądrze zajmujemy. Ale mam wrażenie, że ludzie widzą, że jest coś autentycznego w naszych staraniach, żeby wywiązać się z publicznych zobowiązań. Jeśli zamykam oczy i zastanawiam się, jaki typ więzi jest między moim rządem czy Platformą a istotną częścią opinii publicznej, to jest to krytyczna życzliwość i ona chyba wynika z zaufania.

Z czyjej strony?

– Ze strony ludzi dla rządu.

Ale wydaje mi się, że były takie momenty, kiedy może nie pod wpływem sondaży, ale pod wpływem zmasowanej, choć głupiej, krytyki uległ pan. To były dwie decyzje personalne, minister sprawiedliwości Cwiągalski i senator Misiak. Większość chciała głów obu tych polityków.

– I w jednej, i drugiej sprawie podjąłbym dzisiaj taką samą decyzję. W przypadku ministra Cwiągalskiego podjąłem decyzję o dymisji ministra bardzo popularnego, akceptowanego. Powodem – zrobiłbym to z każdym ministrem w każdej chwili – była niezdolność do przyjęcia na siebie odpowiedzialności za zdarzenie, które zasługiwało na natychmiastowe i energiczne działanie. Mówię tutaj o odpowiedzialności służb podległych ministrowi w sprawie kolejnego samobójstwa skazanego. Mieliśmy do czynienia z co najmniej zaskakującymi zbiegami okoliczności i z szokującą niefrasobliwością podwładnych ministra. A on nie potrafił odpowiednio zareagować w sprawie, która dla bardzo wielu Polaków – i słusznie – stała się problemem tego, czy władza reaguje szybko i czy jest zdeterminowana. Tłumaczył przez cały dzień, że nic się nie stało. Przyznaję, taki mam charakter, że działam impulsywnie, nie ma to nic wspólnego z kalkulacją polityczną, z nastrojami społecznymi. Ale czy nie działał pan wtedy według uproszczonej, tabloidalnej oceny sytuacji?

– Decyzję w sprawie Cwiągalskiego podjąłem, zanim tabloidy zdążyły cokolwiek napisać na ten temat. O czwartej czy o piątej rano.

Nie mówię, że pod ich wpływem, tylko że w ich schemacie.

– W jakimś sensie jestem człowiekiem schematu, w wielu sytuacjach wolę wybór czarno-biały, chociaż rozum podpowiada, że życie składa się z wielu odcieni. Ale władza jest od tego, żeby dawać ludziom poczucie pewnego ładu i zdecydowania.

A w sprawie wyrzucenia z PO senatora Misiaka?

– Konsekwencje, które poniósł senator Misiak, są konsekwencjami w mojej ocenie zbyt łagodnymi, a nie zbyt surowymi.

Dlaczego?

– Wykazał się daleko idącą interesownością.

Wie pan coś, czego my nie wiemy, czytając gazety? Oczywiście nie te, które miały na czołówkach nieprawdziwe tytuły, że zarobił 40 milionów dzięki ustawie, którą sam napisał.

– Z całą pewnością działaniem senatora Misiaka wyraźnie pokazywało, że mieszał rolę przedsiębiorcy związanego z konkretną firmą —



→ i rolę polityczną senatora. I nie mówię o pisaniu ustawy, bo te zarzuty były niemał i nie przeze mnie formułowane.

Natomiast był osobą, która wykazywała aktywność, powiedziałbym, dwuznaczną. Jeśli o mnie chodzi – wystarczającą, by poprosić go o rezygnację.

Podniosła się wrzawa, że to wylewanie dziecka z kąpielą, atak na polityków z sukcesem finansowym. A dziś mamy projekt ustawy antykorupcyjnej Julii Pitera, która aberracyjnie szeroko wymusza konieczność składania oświadczeń majątkowych, domaga się spowiedzi z majątku rodzin urzędników, obejmuje pod rygiem kary więzienia dziesiątki tysięcy ludzi. I obawiam się, że w obecnym, tabloidalnym nastroju ta ustawa przejdzie. Czy to już nie jest choroba podejrzliwości?

– Nad tą ustawą jeszcze będziemy pracowali, ona nie ma jeszcze kształtu ostatecznego. Czym innym jest decyzja wyrzucenia urzędnika czy wypowiedź publiczna premiera, bo te kategorie działań mogą być wynikiem emocji i straty z tego są niezbyt wielkie...

Ale tworzą nastroj, w którym mogą powstawać złe ustawy.

– Natomiast jeśli już mamy tworzyć prawo, to oczywiście trzeba się zastanowić, czy takie prawo, jakie przygotowuje pani minister Pitera, przyniesie efekt, o jaki nam chodzi, czyli maksymalnie transparentne życie publiczne. A przy okazji, żebyśmy nie padli ofiarami złudzenia, że ustawa może zmienić naturę człowieka, bo nie może.

Przypomnę, że PO przez lata postulowała ograniczenie uznaniowości decyzji urzędników jako skuteczny lek przeciw korupcji. A w tej sferze niewiele się dzieje, komisja Palikota, która miała o to walczyć, poległa. Za to będziemy mieli ustawę Pitera.

– Ale działania, które wcześniej stwarzały wrażenie przesadnych, przyniosły efekt. Atmosfera antykorupcyjna w Polsce osiągnęła poziom średniej europejskiej. Dziś polskiemu politykowi, urzędnikowi mniej wolno niż niemieckiemu czy włoskiemu. Bo wyobraźmy sobie sytuację, że minister w moim rządzie odpowiedzialny na przykład za energetykę dzień po zakończeniu urzędowania poszedłby do pracy do Gazpromu i miał tam ogromną pensję. Czy to jest w ogóle w Polsce wyobrażalne?

Nie może, ponieważ jest już ustawa, która zakazuje mu pracy dla tych, z którymi miał kontakty handlowe jako minister, przez rok.

– A po roku jesteśmy sobie w stanie taką sytuację wyobrazić? W Polsce nie akceptuje się takich zachowań.

Ale też wójt musi tyle oświadczeń majątkowych składać, ile poseł albo minister. A projekt pani Pitera proponuje taką skalę ustawicznej lustracji majątkowej, która właściwie paraliżuje.

– Niewykluczone, że projekt ustawy minister Pitera będzie musiał się zmienić, ale wolę sytuację, w której niektórzy z nas przesadzają, jeżeli chodzi o próbę walki z korupcją, nawet jeśli niektóre metody są naiwne. Składa się to bowiem na coraz lepszą atmosferę publiczną wokół tych spraw. Bądźmy więc czasami wyrozumiali wobec nadgorliwców. Oczywiście reagujemy wtedy, kiedy nadgorliwość może mieć zły efekt w postaci przerysowania czy wręcz karykatury prawa. **Możemy nie móc zareagować, bo atmosfera dla nadgorliwców w niektórych sprawach jest**

Pozwólcie mi być takim miękkim, odpowiedzialnym populistą tam, gdzie to nie naraża Polski i Polaków na poważne stresy

DONALD TUSK

bardzo dobra. Na przykład dziwię się, że nie zadrżała panu ręka przy głosowaniu nad zakazem kandydowania do parlamentu osób skazanych. To w przyszłości może być sposób na eliminowanie z polityki przeciwników.

– Jeśli do głosu dojdą ludzie, którzy tego typu rzeczy będą chcieli wykorzystywać do walki politycznej i będą panowali nad sądami, i będą uzyskiwali większość w parlamencie...

To co wtedy pan zrobi?

– To będą dużo większe kłopoty niż fakt, że ktoś nie może kandydować.

Nie, to będzie wtedy jeden z tych większych kłopotów, które się złożą na wypaczoną demokrację.

– Rozmawiamy o procesie, który jest próbą wyjścia z paroksyzmów. Te paroksyzmy to z jednej strony zachwyt wolnością, sam jestem piewą wolności, mam wrażenie od urodzenia...

Do niedawna?

– To tania złośliwość. Jak ktoś się raz zakochał w wolności, to się nie odkocha. Ale ta wolność wyradza się często w brak odpowiedzialności. I to jest istota dylematów liberalnej myśli politycznej. Budujemy ustrój, wychylając się czasem za bardzo w stronę wolności, a czasem za bardzo w stronę rygorysty. Teraz szukamy środka, ale wychylenia były niezbędne, po to żeby wolności towarzyszyła bardziej rygorystyczna odpowiedzialność za to, co się robi, niż na początku lat 90., chodzi głównie o kwestie na styku polityka, gospodarka, biznes.

Ale chciałbym boleśnie przypomnieć panu – piewcy wolności – że nie będzie pan rządził wiecznie.

– To nie jest powiedziane... Tylko proszę napisać, że tu się zaśmiałem!

Jest pewne. Po panu mogą przyjść mniejsi miłośnicy wolności i będą mieli w ręku te prawa o niekandydowaniu karanych, być może tysiące oświadczeń majątkowych i może jeszcze jakiś paroksyzm rygorysty. Zostawi pan – piewca wolności – narzędzia komuś, kto może nie będzie tak kochał demokrację.

– Pamiętajmy jednak, że mówimy o skazanych za przestępstwa kryminalne prawomocnym wyrokiem sądu. Mówimy o kategorii klasycznego przestępcy i mówimy...

...zniesławienie też jest takim przestępstwem.

– Przecież istnieje w prawie od lat taka kategoria jak pozbawienie praw obywatelskich czy publicznych. My w tym wypadku nakładamy łagodną sankcję na wszystkich przestępców w postaci ograniczenia praw obywatelskich, czyli utraty biernego prawa wyborczego. Nie mogą kandydować. Budujemy kulturę polityczną, ustrojową, reagując na coś, co nas dotyka. Za czasów Samoobrony w Sejmie, choć nie tylko, Polacy mieli prawo sądzić, że średnia przestępców w parlamencie jest wyraźnie większa niż w społeczeństwie. I to stało się źródłem poważnej choroby, czyli zaniku zaufania do tej instytucji. Dlatego, nawet jeśli ktoś uzna, że to przesada, wolę podjąć to ryzyko i zabronić przestępcom kandydowania.

Sam pan się boryka z konstytucją napisaną trochę przeciw ówczesnemu prezydentowi Lechowi Wałęsie. A teraz kolejne prawo powstało z powodu Andrzeja Leppera i Samoobrony. Czy to nie jest droga donikąd?

– Nie porównywałbym tych dwóch spraw. Poziom oczekiwań społecznych w kwestii takiego zakazu kandydowania pokazuje pozytywną ewolucję. Większość zrozumiała, że z wolności trzeba robić bardzo odpowiedzialny użytek. Zgadza się, wiele tych prób ustrojowych jest impulsywnych albo chaotycznych, albo właśnie „w reakcji na...”, ale to jest proces. To nasza droga do dojrzalej demokracji liberalnej. Gdybyśmy przypomnieli sobie ostatnie 20 lat, to zobaczylibyśmy najpierw dużo rozchlestantej wolności, potem zbyt wiele rygorystów, ale taka była droga polskiej, nie najgorszej wersji demokracji liberalnej.

Rozumiem, że pan się cieszy z sukcesów 20-lecia. Mniej rozumiem, że się pan nie martwi tym, że pod pana rządami pojawiają się te nierozsądne elementy rygorysty.

– Każdy rząd będzie miał swoich kilka zdań w podręczniku historii, jeden, dwa akapity...

I co będzie o rządzie Tuska?

– Rząd Tuska w żadnym podręczniku historii nie będzie rządem, o którym się napisze „bezwzględni rygorysty, którzy zniszczyli wolność w Polsce”. Pana obawy są obawami na wyrost, obawami człowieka zepsutego wolnością, smakosza wolności...

Na granicy anarchii, wiem.

– De facto anarchysty wewnętrzne. Wie pan, jak wyglądałaby Polska, gdyby tak myślała większość? Tu by się żyć nie dało!

Jak ładnie się pan nauczył używać demagogicznie przesadzonych argumentów... Nic nie mówiłem o „bezwzględnym rygorysty rządzie Tuska”, tylko o pewnych elementach, które mogą...

– Mój rząd i formacja polityczna są klasycznym, liberalnym środowiskiem przywracającym wolnościowy ład po dwóch latach zamętu przesadnie prawniczo-rygorystycznego. I – powiem brutalnie – w ogóle się nie przejmuję tym, co pan mówi.

A czy podniesie pan rękę za ograniczenie mojej swobody przebywania w przestrzeni publicznej i zakaże mi pan palenia w jakimkolwiek miejscu publicznym?

– Nie ma w tej sprawie żadnego projektu rządowego.

Jest sajmowy.

– Wnikliwie ocenię ten projekt, żadna przesada nie jest wskazana. I jedno mogę obiecać, rzucę palenie dziewięć lat temu, ale nie mam w sobie absolutnie gorliwości neofity i uważam, że można zawrzeć tu mądry kompromis. Czyli na pewno trzeba wyeliminować prawo do palenia papierosów wszędzie tam, gdzie niepalący też musi czy powinien być...

Ale może pozostawmy je tam, gdzie jest swoboda wyboru miejsca, tym bardziej że widać w całej Polsce, iż powstają przestrzenie dla niepalących, restauracje, puby.

– Na pewno uprę się, żeby ten projekt chronił ludzi niepalących, ale zarazem nie był idiotycznie rygorystyczny.

Skoczmy teraz na główkę w kryzys. Dwa sztandarowe rządowe projekty pomocowo-kryzysowe, czyli wsparcie działalności kredytowej dla małych i średnich przedsiębiorstw, które będzie realizowane przez Bank Gospodarstwa Krajowego, i projekt współpłacenia przez budżet kredytów hipotecznych ludzi, którzy stracą pracę – nie porywają. Pierwszy obwarowany jest 22 trudniami do spełnienia dla małej firmy warunkami wymyślonymi przez zachowawczych urzędników, a drugi nie może się wykluczyć... Czy to nie za mało jednak, w sytuacji kiedy kolejne tysiące tracą pracę?

– Czy pan wie, dlaczego te projekty dotyczące gwarancji i poręczeń przy użyciu BGK, kredytów hipotecznych, ale też mamy podobny problem z płatnym „postojowym”, tak długo powstają? Bo, po pierwsze, musimy ograniczyć pokusy nadużyć, wydajemy w końcu publiczne pieniądze, a po drugie, ponieważ każde tego rodzaju działanie rządu w kryzysie, którego domaga się część opinii publicznej, jest z reguły szkodliwe z punktu widzenia interesów gospodarczych kraju.

Bo?

– W końcu tu chodzi o większą redystrybucję pieniędzy podatników. W sytuacji kiedy wszystkim brakuje pieniędzy. Do każdego takiego pomysłu jestem bardzo sceptycznie nastawiony, bo jak się przyjrzeć, te pieniądze mają trafić do banków. I za każdym razem pytam, a gdzie jest wpisana dla nas gwarancja, że rząd da bankowi tylko tyle pieniędzy, ile on wcześniej da w postaci kredytów? Tu nic nie możemy zostawić przypadkowi lub dobrej woli banków i dlatego tyle to trwa. A poza tym, czy dobrym lekarstwem na kryzys jest wyciągnięcie z podatników jeszcze większej ilości pieniędzy? Mógłbym godzinami tłumaczyć, dlaczego nie można zwiększać deficytu.

Dlaczego?

– On sam się będzie zwiększał. Naszym problemem jest to, jak pohamować jego wzrost. Przez wiele lat rządy kształtowały wydatki wysoko, ludzie się do tego przyzwyczaili i my w kryzysie, utrzymując ten sam poziom wydatków, i tak poniekąd automatycznie zwiększamy deficyt, bo przychody są wyraźnie mniejsze. Więc jestem dosyć głuchy, kiedy słyszę: „dajcie pieniądze!”, a pierwszy był przemysł motoryzacyjny, który nam mówił: dajcie pieniądze, zobaczcie, co robią Niemcy i Francuzi!

Nie namawiam na dotowanie przemysłu. Widzę tylko, że fala bezrobotnych rośnie.

A żebyśmy w miarę suchą nogą przeszli kryzys, to nie tylko finanse muszą się zgadzać, zdecydować też o tym fala gniewu bezrobotnych. Jeśli będzie bardzo duża, to zmiecie resztki kryzysowego rozsądku.

– Nie musi pan kontynuować. Każdego dnia myślę sobie: nam łatwo tutaj decydować: tu damy, a tu nie damy, a jak ktoś traci pracę, to po kilku miesiącach żyć się odcieciewa. Kiedyś też byłem bezrobotny i wiem, co to znaczy, nikomu nie życzę takiego doświadczenia. Ale pamiętajmy, że jedynym prawdziwym lekarstwem na bezrobocie jest znalezienie pracy, wszystko inne jest protezą. Protezy muszą być przeznaczane tylko dla tych, którzy naprawdę nie mają żadnej szansy, i w ilości, na jaką nas stać. Każda pomoc socjalna ma z reguły sensowne uzasadnienie, ale później, kiedy przychodzi sama operacja, czyli zgromadzenie pieniędzy i roz-

Donald Tusk (52), premier RP, szef Platformy Obywatelskiej. Zanim powołano tę partię w 2001 roku, działał w Unii Demokratycznej i Kongresie Liberalno-Demokratycznym. W czasach PRL był opozycjonistą, za co pozbawiony pracy przez siedem lat utrzymywał się ze zleceń dorywczych. Imię nosi po ojcu, lecz na karierze politycznej zaważył jego dziadek Józef, Jacek Kurski (PiS) nazwał go „dziadkiem z Wehrmachtu”, choć był więźniem obozu Stutthof, a do armii niemieckiej został wcielony siłą. Poza polityką premier

interesuje się historią rodzinnego Gdańska (zbiera stare zdjęcia miasta, z których część znalazła się w albumie „Był sobie Gdańsk”) oraz piłką nożną. Gra w ataku, najchętniej w otrzymanej w prezencie koszulce AC Milan z podpisem piłkarza Kaki.



danie ich, to się okazuje, ile jest negatywnych i trudnych do przewidzenia skutków ubocznych. Muszę robić wszystko, żeby pomóc polskiej gospodarce utrzymać niski poziom deficytu, żeby móc pożyczać pieniądze na normalny procent, bo innego nie wytrzymamy. A dziś zaciągnięte długi będziemy spłacać, kiedy kryzys minie. Dlatego uważam, że mądre zachowanie to jest nieuleganie rozmaitym grupom nacisku. Jest moją pozytywną obsesją utrzymanie możliwie wysokiego poziomu akceptacji dla moich rządów i równoczesne niebudowanie tej akceptacji poprzez populistyczne decyzje. Populistyczne byłoby na przykład zapożyczenie się na sześć czy osiem miesięcy, po to żeby rozdać trochę pieniędzy. A za dwa lata się okaże, że jesteśmy bankrutami, tak jak w tej chwili sześć państw europejskich. Pozwólcie mi być takim miękkim, odpowiedzialnym populistą tam, gdzie to nie naraża Polski i Polaków na poważne stresy. Pozwólcie mi być skrajnie odpowiedzialnym tam, gdzie naprawdę rozgrywa się gra o przyszłość Polski, obliczona na najbliższe 5 czy 10 lat, a nie najbliższe 5 miesięcy. Utrzymuję poparcie dla swojej ekipy pewnym typem polityki, która nie wszystkim się podoba, bo czasami wygląda na „picerkę”, a tak naprawdę jest przemyślaną strategią polityczną takiego liberalnego, odpowiedzialnego populizmu.

Robiliśmy w „Przekroju” wywiady z premierami ostatnich 20 lat i rzecz zadziwiająca – wszyscy oni widzieli jako powód swojego odejścia z urzędu intrygi, spiski, fatalne zbiegi okoliczności. A jak będzie z panem?

– Mam nadzieję, że nie stracę władzy.

A rozum to kiedy pan stracił?

– W tym sensie nie stracę, że dość odpowiedzialnie, bez chorobliwego podniecenia władzą zaplanowaliśmy pewien cykl zdarzeń. Bardzo mi zależy na tym, żeby z moim – lub bez mojego udziału – w wyborach prezydenckich wygrał nasz kandydat. Będziemy mieli wtedy rok naprawdę poważnej siły politycznej, ten parlament plus nasz prezydent. I wtedy załatwimy kilka spraw, które mogą dostać przyspieszenia poprzez wzmocnienie ustawowe, na przykład przekształcenia szpitali. Tu na przykład brak ustawy mocno przeszkadza.

Premier zawsze ma pod górkę.

– Powiem tak... Kiedy patrzę w lustro, to bez entuzjazmu. Miało być pięknie, a dzisiaj te marzenia są trochę przyszarżałe... Ale mam na karku kryzys światowy i braci Kaczyńskich, i to nie są łatwe warunki. Mam opozycję nienawistną w swojej emocji, która ma „swojego” prezydenta, kontroluje bank centralny, media publiczne, jakkolwiek jest to tylko „resztówka” tej opozycji, Instytut Pamięci Narodowej i chyba, niestety, także związek zawodowy z piękną legendą i taką sobie terazniejszością.

I w takich warunkach zakłada pan to własne rządzenie na jak długo? Wasz kandydat wygra wybory prezydenckie i potem wygracie parlamentarne.

– Wierzę w to. I drżycie, kryzysie, i drżycie w PiS-ie.

I adoptujecie PSL. Przeklinające. Wstydi się pan za swoją minister, która kazała koledze ministrowi spier...?

– Byłbym hipokrytą, gdybym powiedział, że pierwszy raz usłyszałem to słowo.

Kłnie pan w pracy?

– Na posiedzeniu Rady Ministrów nie, jak jesteśmy w wąskim gronie, potrafię kłąć jak szewc. A przeklinam, bo jestem prowincjonalny z podwórka, prosty chłopak z boiska.



Barbara Matera
ma 27 lat i doświadczenie
pracy w telewizji.
Berlusconi wysłał
ją do Parlamentu
Europejskiego

Lara Comi, 26 lat, także
startuje w eurowyborach.
Żona premiera twierdzi,
że kandydatury
młodych piękności to
„bezwstydną tandeta”

Wizyta Berlusconi na osiemnastce Noemi Letizii przysięgła jego żonę. Letizia to koleżanka, córka czy kochanka?

Ale w tym momencie następuje cięcie. Z nocnego klubu przenosimy się do XVII-wiecznego pałacu w miejscowości Macherio pod Mediolanem. Tam, w 60-hektarowym parku otoczonym murem, od 19 lat mieszka Veronica Lario, druga żona Berlusconi i matka trojga jego dzieci. Kamera pokazuje zbliżenie twarzy noszącej ślady dawnej piękności. Lario jest wściekła. Tym razem nie odpuści. Ciąg dalszy nastąpi.

Odcinek, w którym Veronica poznaje Silvia

Dziewczyna w drżących dłoniach trzyma pistolet. Ma białą sukienkę i czarne loki, siedzi przy stole, za oknem burza. Nagle słychać dźwięk rozbijanej szyby. Cień siekiery. Dłoń trzymająca pistolet upada odcięta niczym gałąź. Krew z kikuta sika na ścianę i sukienkę. Dziewczyna pada na ziemię, cięsy siekiery tną teraz całe ciało...

Aktorka Veronica Lario występowała w produkcjach nie tyle ambitnych, ile ostrych i dających po głowie. Magnat telewizyjny Silvio Berlusconi znalazł ją z horroru „Tenebre” (1982 rok), ale zakochał się dwa lata wcześniej, gdy na scenie mediolańskiego teatru obnażyła imponujący biust. W 1984 roku urodziła mu córkę Barbarę. Rok później Berlusconi rozwiódł się z pierwszą żoną Carlą Dall'Oglio, porzucając dzieci Marinę i Piersilvia. To wtedy Lario dostała pałac w Macherio, a w berlusconoweli zaczął się drugi sezon.

Całe Włochy mogą śledzić serial dzięki prywatnej telewizji. Stacje należące do obecnego premiera ogląda dziś 45 pro-

cent widzów; zgarniają one 60 procent udziałów w reklamach. Berlusconi zaczynał od telewizji kablowej na zbudowanym przez siebie osiedlu w Mediolanie (do dziś nie wyjaśniono, skąd wziął pieniądze na inwestycję). Kabłówka szybko rozrosła się do rozmiarów lokalnej stacji Telemilano. Po niej przyszła pora na kolejne: Berlusconi zbudował sieć lokalnych telewizji, która pozwoliła obejść ówczesne prawo o monopolu państwowej RAI.

Gdy rozpoczął romans z Veronicą Lario, miał już do dyspozycji trzy ogólnokrajowe prywatne kanały (Canale 5, Italia 1 i Rete 4). Prężnie rozwijał się też koncern Fininvest. W jego skład oprócz telewizji wchodzi też wydawnictwo Mondadori, które dziś publikuje aż 40 prasowych tytułów – od gazetek z programem telewizyjnym, przez pisma kobiece i plotkarskie, po poważne magazyny opiniotwórcze czy ekonomiczne. Premier ma 40 procent udziałów we włoskim rynku prasowym. Berlusconoweli jest gdzie śledzić.

Odcinek, w którym Veronice puszczają nerwy

Pierwsza *velina* pojawiła się w telewizji Berlusconi w czasie, gdy poznał Vero-

Silvio Berlusconi i jego
druga żona Veronica
Lario. Ich drogi
rozeszły się wiele
lat temu, ale **rozwód**
to nowość w serialu



BERLUSCONOWELA

WŁOCHY JOANNA WOŹNICZKO-CZECZOTT

Jak to możliwe, że najdłużej rządzący zachodni lider, mający na koncie najwięcej gaf i wpadek, cieszy się największym społecznym poparciem spośród premierów Europy? Silvio Berlusconi ma na sobie prosty scenariusz – **uczynił z życia telenowelę, a główną rolę grają w niej kobiety**

Nie można powiedzieć, żeby Włosi kochali berlusconowelę. Często nie zostawiają na jej bohaterach suchej nitki. Czasem wręcz przełączają na inny kanał i pikantny serial o rodzinie B. zastępuje pożyteczny program „Gotuj w prodiżu”. Ale jak długo można znosić poprawne i nawet smaczne przepisy, skoro u Berlusconich tyle się dzieje? Seks, wielkie pieniądze, kontrowersyjne żarty, znów seks, społeczne oburzenie sztywniaków, święte oburzenie Watykanu, seks, długonogie blondynki, cysate brunetki, zdrady, pieniądze, władza, seks, seks i jeszcze raz seks. Ot, próbka z poprzedniego odcinka: 73-let-

ni premier Włoch odwiedza nocny klub w Neapolu. Trwa przyjęcie urodzinowe Noemi Letizii – dziewczę kończy 18 lat, a jest blond modelką znaną ze zdjęć eksponujących pośladki. Berlusconi przynosi w darze złoty naszyjnik z brylantami za prawie 10 tysięcy euro i jest gościem numer jeden.

Ta wizyta niesie wiele intrygujących pytań. Czy to nowy romans? Letizia zwraca się do premiera per „Papi” (tataś) – to gierka czy może nastolatka jest nieślubną córką Berlusconi? Podobno Silvio przyjaźni się z jej rodzicami (były kierowca i właścicielka perfumerii) – co to za relacja? Media należące do Berlusconi już cieszą się z kolejnego dowodu na to, że premier nie boi się ciepłych relacji z ludem.

cent widzów; zgarniają one 60 procent udziałów w reklamach. Berlusconi zaczynał od telewizji kablowej na zbudowanym przez siebie osiedlu w Mediolanie (do dziś nie wyjaśniono, skąd wziął pieniądze na inwestycję). Kabłówka szybko rozrosła się do rozmiarów lokalnej stacji Telemilano. Po niej przyszła pora na kolejne: Berlusconi zbudował sieć lokalnych telewizji, która pozwoliła obejść ówczesne prawo o monopolu państwowej RAI.

Gdy rozpoczął romans z Veronicą Lario, miał już do dyspozycji trzy ogólnokrajowe prywatne kanały (Canale 5, Italia 1

nicę. W Polsce *velinę* nazwalibyśmy hostesą, ale we Włoszech to instytucja. Pięknie zbudowana i obficie wyposażona dziewczyna zagościła na stałe w telewizyjnych show: jako ozdoba, towarzysząca prowadzącemu, a wreszcie potencjalna faworyta premiera.

Berlusconowela, odcinek z 1986 roku. Sylwester. Młoda żona Veronica Lario jest w pologu po urodzeniu drugiego dziecka, gdy na jaw wychodzi nagranie rozmowy telefonicznej Berlusconi z jednym z jego doradców. Silvio żali się, że jego i ówczesnego przyjaciela premiera →

→ Bettina Craxiego wystawiły do wiatru dwie *veliny*. – To znaczy, że nie będzie dziś seksu. A jeśli tak zaczyna się ten rok, to chyba już w ogóle nie będzie seksu – narzeka Silvio.

Veronica znosi *veliny* w spokoju, ale z czasem zaczynają się one panoszyć. Mąż z ich pomocą buduje wizerunek siebie jako ognistego macho. A to wyznaje, że wystarczy mu trzy godziny snu, aby potem trzy godziny uprawiać seks. A to oświadcza, że „miał tyle dziewczyn, że aż wyłył”. A to daje się nakryć paparazziemu w swojej willi na Sardinii w towarzystwie aż pięciu *velin*. Gdy wreszcie w styczniu 2007 roku wyznaje publicznie jednej z nich: „Gdybym nie był żonaty, poślubiłbym ciebie” – Lario pęka. Na pierwszej stronie gazety „La Repubblica” (nie należy do koncernu Silvia) publikuje list z wyrazami oburzenia i żądaniem przeprosin. „Wybacz mi, błagam. I potraktuj jako dowód miłości to, że składam własną dumę w ofierze twojej wściekłości” – odpowiada w pięknym stylu jej mąż, a jego publiczne oświadczenie nazajutrz drukują niemal wszystkie gazety.

Ten odcinek berlusconoweli bije rekordy popularności. Nudny rząd Romana Prodiego wszystkim już się wtedy przejadł – wraz z kłopotami małżeńskimi uwaga znowu skupiła się na Silvii. Berlusconi łapie wiatr w żagle. Przemianowuje swoją partię na Lud Wolności i zaczyna kampanię zmierzającą do rozpisania przedterminowych wyborów. W kilka miesięcy zbierze pod wnioskiem do prezydenta Giorgia Napolitana siedem milionów podpisów. W styczniu 2008 roku rząd Prodiego upada, a Berlusconi wraca do władzy.

Ostatnia scena w tym odcinku: feralną *veliną*, której Silvio proponował ślub, jest prawniczka, modelka i bywalczyni konkursów piękności Mara Carfagna. W nowym rządzie zostaje ministrem do spraw równego statusu kobiet i mężczyzn, a media Berlusconię ogłaszają ją najpiękniejszą panią minister na świecie.

Odcinek, w którym Veronica walczy o imperium

Pierwsze osiedle Berlusconi zbudował pod koniec lat 60. Pierwszą telewizję założył w latach 70. Koncern Fininvest rozkwitł w latach 80., pierwszy raz szefem rządu Silvio został w po-



Powyżej: Veronica Lario i jej córka Barbara (blondynka). Poniżej: Marina Berlusconi, córka z pierwszego małżeństwa. To ona zarządza imperium mediowym premiera

łowie lat 90. Włosi, którzy mają dziś po 20–30 lat, wychowali się we Włoszech Berlusconi. Mieszkają w domach postawionych przez niego, kupują w jego supermarketach, oglądają jego telewizję, czytają jego gazety, trzymają pieniądze w jego bankach, zbierają na emeryturę w jego funduszach i cieszą się z sukcesów jego piłkarzy. Silvio zbudował imperium. I o nie zaczyna się walka.

Veronica Lario najpierw zaatakowała *veliny*. Odgrywały coraz większą rolę w życiu publicznym – po tym, jak jedna z nich została ministrem, o karierze *veliny* marzy niejedna nastolatka z Noemi Letizią na czele.

27-letnia Barbara Matera (sama zaprzecza, że była hostessa), prezenterka telewizyjna, aktorka i uczestniczka konkursu Miss Italia, została właśnie kandydatką z ramienia partii Berlusconi do europarlamentu. Na liście znalazły się dwie inne młode piękności z nikłym doświadczeniem politycznym (prasa ukuła nawet termin „*euroveliny*”). „To bezwstydną tandetą – skomentowała w oświadczeniu rozesłanym do prasy Veronica Lario.

– Ktoś napisał, że to wszystko ma służyć rozrywce cesarza. Zgadza się?”

Gdy Berlusconi i jego prasa zaczęli bronić młodych kandydatek (rozsądniej: „to, że są piękne, nie znaczy, że nie są też mądre”), Lario zadawała następny cios. Tym razem w sprawie urodzin Noemi Letizii.

– Nie mogę dłużej żyć z człowiekiem, który spotyka się z nieletnimi – oświadczyła. I zażądała rozwodu.

Dotychczas gniew Lario wychodził Berlusconiemu na dobre. Podkreślał wizerunek niezależnego macho. Tym razem może być ina-

czej. Za Lario wstawili się Watykan (jeden z kardynałów stwierdził, że szef rządu powinien żyć w trzeźwości i powadze), opozycja (w Turynie ktoś rozwiesił fałszywe plakaty przedstawiające Lario jako kandydatkę Partii Demokratycznej do europarlamentu), a przede wszystkim kobiety. Czy Silvio może stracić ich poparcie? Aby tak się nie stało, ruszył do kontrataku. Spędził dwie godziny na wizji, tłumacząc, że z Noemi Letizią łączy go przyjaźń, jaką żywi do jej rodziców. Zażądał też przeprosin od żony za szkalowanie pięknych kandydatek. Poparcie społeczne z 56 procent spadło mu do 53 mimo kryzysu gospodarczego. Niejeden szef rządu marzy o takim wyniku.

Ale dla Lario okoliczności polityczne to tylko pretekst w rozgrywce o Fininvest. Berlusconi ma w nim 63 procent udziałów, reszta należy do piątki jego dzieci (każde ma po siedem procent z kawalkiem). Ale już rozdział funkcji nie jest sprawiedliwy. Imperium medialno-finansowym, jednym z 10 największych prywatnych przedsiębiorstw we Włoszech, zarządza dziś (jako wiceprezes) córka premiera z pierwszego małżeństwa, 43-letnia Marina Berlusconi. Ona też kieruje domem wydawniczym Mondadori. W zarządzie Fininvestu zasiada z kolei jej brat Piersilvio, który jest też wiceszefem grupy telewizyjnej Mediaset. Choć pierwsza żona Silvia dawno odeszła w zapomnienie, to na razie jej dzieci są następcami tronu imperium. Troje latorośli Lario ma w sumie ponad 21 procent udziałów w Fininvest, ale żadnych kluczowych stanowisk. Najstarsza córka ma dziś 24 lata, jej rodzeństwo wchodzi w dorosłość. Czy zechcą zdetronizować starsze przyrodnie rodzeństwo?

Rozwód Silvia może go sporo kosztować, ale na pewno zapewni mu stałą uwagę telewizorów – i to tuż przed wyborami. Takie dramatyczne zwroty w akcji – jak tu przełączać na inny kanał? Berlusconi trwa. Oglądajcie następne odcinki.

FOT. BOGDAN KRZEL

KOBIETA Z SERCEM MILENA RACHID CHEHAB

Starsza pani pomaga tysiącom

W tej historii telefon zadzwonił 19 razy. Prawie za każdym razem wydarzy się coś dobrego

Godzina 12.58. Wysłużony czerwony telefon w przedpokoju 86-letniej Jadwigi Sobol na warszawskim Tarchominie dziś dzwoni po raz 13. Tym razem to pani Bożena. Stoi na środku ulicy tuż za miastem, w Wesołej, ob juczona sześcioma walizkami. Mężczyzna, który zaproponował jej pracę z mieszkaniem, po przyjeździe kobiety rozmyślił się i kazał jej się wynosić. – Pani Bożena ma 61 lat. Pewnie uznał, że jest za stara – mówi pani Jadwiga i wykręca numer zaprzyjaźnionego domu samotnej matki. Ważne, by przez najbliższy tydzień pani Bożena miała dach nad głową, potem zacznie pracę. Pani Jadwiga dzwoni do kobiety, która kilka dni wcześniej szukała kogoś do opieki nad domem w Falenicy za dwa tysiące, plus mieszkanie. Bożena, długoletnia podopieczna pani Jadwigi, byłaby idealna.

Potem pani Jadwiga wyjmuje ze sterty zeszytów granatowy skoroszyt, do którego od 12 lat wpisuje wolontariuszy. Piszze charakterystycznym gotykiem, bo szkołę kończyła przed wojną. Dzwoni do pana Mariana, który odkąd owdowiał, ma więcej czasu. Zabierze kobietę autem do domu samotnej matki w centrum Warszawy. Pani Jadwiga oddycha z ulgą. Jeszcze tylko uspokajający telefon do pani Bożeny i po 20 minutach może się zacząć następna historia.

Wypłynęła na powodzi

Choć rodzina pani Jadwigi przed wojną była zamożna, w czasie kampanii wrześniowej z matką mieszkali u znajomych i żywiły się kilkoma ziemniakami dziennie. – Gdy po dwóch tygodniach sąsiadka dała mi sucharkę, po prostu się rozplakałam. Stąd wiem, jak smakuje głód – mówi. Gdy zaczęła organizować pomoc potrzebującym, sięgnęła do tych wspomnień.

Od 12 lat pani Jadwiga prowadzi Akcję Bezpośredniej Pomocy Głodującym, która zrzesza około 500 wolontariuszy i 10 razy więcej potrzebujących. Pani Jadwiga współpracuje z 13 szkołami, które na każde święto przygotowują paczki dla podopiecznych. Prawdopodobnie Akcja (działająca pod patronatem Caritasu diecezji warszawsko-praskiej) byłaby małą inicjatywą, gdyby nie powódź w 1997 roku i Radio Maryja. Katolicki głos regularnie podawał namiary na panią Sobol. Telefon dzwonił od rana do wie-



Jeśli chcesz włączyć się w pomoc, skontaktuj się z panią Jadwigą Sobol: 022 670 35 71

czora, a pani Jadwiga siedziała przy okrągłym stole, na którym królowały stara maszyna do pisania oraz stopy notatek. Sama też dzwoniła, gdzie się da. Pomogła wtedy kilkuset osobom. Ilu dokładnie? Na statystyki nie było czasu.

W podobnych warunkach pracuje do dziś, rośnie tylko stos zeszytów, a na półce pojawia się coraz więcej nagród (w tym statuetka Zwyczajni Niezwyczajni). Pani Jadwiga nie ma komputera, pisze na starym luczniku, a telefon ustawia w pobliżu – od czasu powstania warszawskiego, gdy biegła jako sanitariuszka, minęło trochę lat, więc nogi już nie te.

Pani Jadwiga zajmuje się Akcją BPG, głównie zanim wróć do szkoły jej wnukowie. Grzegorz ma 26 lat, Piotr 21. – Starszy lepiej sobie radzi, ale młodszemu nawet ręce myje, bo nie umie. Za to pięknie gra na pianinie. Obaj cierpią na autyzm – mówi pani Jadwiga.

Akcja BPG różni się od innych inicjatyw tym, że wolontariusze pomagają potrzebującym bezpośrednio. Akcja nie ma nawet konta bankowego. Gdy ktoś jest zagrożony eksmisją, to wolontariusz pieniądze na czynsz przesyła wprost na konto spółdzielni, a pieniądze czy paczki – od razu do potrzebujących. Każdego podopiecznego pani Jadwiga dokładnie opi-

sała w zeszytach – namiary, sytuacja rodzinna, nieszczęścia, które go dotknęły, a nawet wzrost i numery butów członków rodziny. – Gdy ktoś zwraca się o pomoc, musi udokumentować swoją sytuację. Niezbędne jest zaświadczenie z opieki społecznej. Tak unikamy naciągaczy – tłumaczy pani Jadwiga.

Włączany Olbrychski

Oprócz codziennej pomocy prowadzi też większe akcje. W marcu zorganizowała w dzielnicy Nowy Jerozolimski koncert charytatywny. Mieli wystąpić studenci Akademii Teatralnej, ale nie wyszło. Po dwóch telefonach na zastępstwo pani Jadwiga miała zespół taneczny i grupę cyrkową. Wystąpili za darmo, bo cel był szczytny – spłata zaległych rachunków kobiety, która wszystko wydała na opiekę nad niepełnosprawnymi wnukami, a teraz grozi jej eksmisja. Podczas imprezy sala była wypełniona po brzegi. Zabrakło Daniela Olbrychskiego, który jest w USA. Wcześniej włączał się w Akcję po starej znajomości – jako nastolatek uczęszczał na zajęcia w domu kultury, a pani Jadwiga, laureatka ogólnopolskiego konkursu recytatorskiego, była tam gwiazdą. Potem studiowała prawo, urodziła szóstkę dzieci, pracowała w Polskim Radiu.

Obecnie, po 12 latach pomagania, żałuje jednego: – Nie udało mi się znaleźć nikogo, kto przejąłby kierowanie Akcją. Boję się, że gdy zachoruję albo umrę, nikt nie zainteresuje się ludźmi, których mam w zeszytach. Teraz chciałabym im pomóc jak najwięcej.

SYLWETKA KAROLINA PASTERNAK

Żadna rola (go) nie hańbi

Wychowany w przemysłowym Benton wyrósł na arystokratę, najsłynniejszego ekranowego casanowę i genialnego aktora, który ma w dorobku całą masę filmowych gniotów. Poznajcie Johna Malkovicha

Johnowi Malkovichowi upływa właśnie 56. wiosna, ale w przeciwieństwie do swojego rówieśnika, bohatera, w którego wcielił się w „Tajne przez poufne”, nie zamierza jeszcze pisać pamiętników. Za to coraz intensywniej zapisuje się na kartach historii kina. Tylko w ubiegłym roku zagrał w dziewięciu filmach, przygotował do produkcji dwa kolejne, a teraz szykuje się, by stanąć po drugiej stronie kamery. Pracowitość – by nie powiedzieć pracoholizm – całkowicie zrozumiała u człowieka, którego z górniczego Benton, siedmiotysięcznej miejsciny w stanie Illinois, udało się wypłynąć na szkielety wody, zadziałała jak obosieczny miecz. Gdyby mniej zachłannie przyjmował role, zapewne uniknąłby kilku spektakularnych wpadek: „Akademii tajemniczych sztuk pięknych”, „Rozpustnika”, „Con Air”, „Portretu damy” czy „Hazardzistów”. Słabych filmów, z których pamięta się jedno – kreacje Malkovicha.

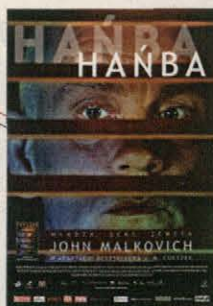
Jeden na milion

O jego ściszym głosie, mówieniu z charakterystyczną opadającą intonacją, irytująco długich pauzach i innych dziwactwach powstały już legendy. Poczynając od tych tworzonych przez dziennikarzy (na przykład, że każde osobie pytającej czekać kilka minut na odpowiedź), na anegdotach jego autorstwa kończąc. Choćby tej o kierowcy ciężarówki, który niegroźnie potrafił aktora. Dopiero gdy Malkovich się odezwał, kierowca uświadomił sobie, z kim ma do czynienia.

Sukces Malkovicha polega na tym, że wnosząc w świat kina teatralną manierę, chyba jako jedyny aktor filmowy jakimś cudem przystosował ją do potrzeb ekranu. Jako jedyny hollywoodzki gwiazdor doczekał się też za życia filmu o nim samym – zwiariowanej komedii „Być jak John Malkovich”, której bohater odnajduje drzwi prowadzące wprost do głowy aktora.

Nawet gdy wchodzi w skórę dziwaków, niepełnosprawnych czy złodziei i morderców, pozostaje wciąż tym samym piekielnie inteligentnym i tajemniczym facetem, którego myśli i motywów nigdy do końca nie jesteśmy pewni. Nie daje się ślepo reżyserować. Pewnie dlatego wyszedł ze współpracy z tłumem kiepskich filmowców (odpowiedzialnych za porażki wymienione wyżej) bez większych szkód na talencie.

Profesor Lurie z ekranizacji „Hańby” to najlepsza od lat kreacja Malkovicha



John jest aktorem z ogromnym doświadczeniem, bardzo kreatywnym, interpretującym na swój sposób. Na szczęście jest montaż, można wybrać te duble, które były najbliższe wizji reżysera – mówi „Przekroju” Steve Jacobs, reżyser wchodzący właśnie na polskie ekrany „Hańby”.

Z odpornością Malkovicha na sugestie reżysera bodaj najboleśniej zderzył się Stephen Frears, kręcąc „Niebezpieczne związki” (1988). – Nie chciał „drobić” kroku. Wygłaszając dłuższe frazy, właściwie nie wiedział, gdzie ma zaczerpnąć oddech. Nie reagował na uwagi o tym, że się garbi – wspomina reżyser. Nieco zgarbiony, z zadyszką, w dodatku poruszając się pewnym krokiem, wyszedł mimo wszystko z „Niebezpiecznych związków” spektakularnie zwycięsko. Rola podrywała i manipulowała wicehrabiego de Valmonta przyniosła mu nie tylko międzynarodową rozpoznawalność, ale także jakże mile dla aktora płci męskiej miano symbolu seksu.

O ile uwodzicielski wizerunek amanta dla widzów, którzy znali go z wcześniejszych ról (głównie dziwaków), mógł być zaskoczeniem, o tyle dla znajomych Malkovicha z czasów liceum był z pewnością wizualnym szokiem porównywalnym z tym, który przeżyliście, wchodząc na stronę serwisu Nasza-klasa.pl.

Broadway, galaretki i Michelle Pfeiffer

16-letni John, ponad sto kilogramów żywej wagi, w grach zespołowych, szczególnie w futbolu, był nie do pokonania – zwyczajnie taranował współzawodników. Nic więc dziwnego, że do ostatniej klasy liceum wszyscy sądzili, że zostanie futbolistą. Wszyscy poza Johnem. Znudzony nadwagą rozpoczął dwumiesięczną dietę cud, podczas której jadł wyłącznie galaretkę.

Uszczuplony do normalnych rozmiarów John zamiast na treningi zaczął wreszcie biegać na randki, z których jedna, ta najbardziej pamiętna,

skończyła się na teatralnej próbie jego dziewczyny. Owszem, czytelniku, było dokładnie tak, jak się spodziewasz – to był moment, w którym Malkovich złapał bakcyła teatru. Zamiast o pracę w kopalni w Benton zaczął się starać o przyjęcie na aktorstwo na Uniwersytecie Stanowym Illinois. Później poszło jak z płatka. Studia, założenie ze znajomymi grupy teatralnej Steppenwolf, której sława szybko wybiegła poza Chicago i dotarła na Broadway.

Aktor zdobył sympatię krytyki, która od tej pory przez ćwierć wieku prawie nigdy się na jego grze nie zawiodła. Notoryczny zawód sprawiał za to prasie brukowej. Ekranowy de Valmont w prawdziwym życiu dopuścił się ledwie jednego romansu: z grającą jego filmową miłość – Madame de Tourvel – Michelle Pfeiffer. Po paru miesiącach było po sprawie, ale niestety także po pierwszym małżeństwie Malkovicha.

Kolejną i jak dotąd ostatnią (sami widzicie, jaka nuda) wybrankę, pół Włoszkę, pół Francuzkę Nicolettę Peyran, poznał na planie „Pod osłoną nieba” Bernarda Bertolucciego.

Polityka i podatki

Nicoletta otworzyła nie tylko nowy okres w jego życiu uczuciowym, ale także w jego życiu w ogóle. To za nią przyjechał do Europy, na 15 lat oddalając się od filmowego epicentrum – Hollywood. – Gdy nie jesteś na miejscu, ludzie po prostu o tobie zapominają. „Kim, do cholery, jest John Malkovich?” – pytali niejednokrotnie producenci – tłumaczy aktor.

Nie da się ukryć, że dokładnie od trzech lat, kiedy to porzucił posiadłość w Prowansji na rzecz Cambridge w stanie Massachusetts, gra w Stanach coraz więcej. Ale z pewnością nie ma powodów żałować europejskich lat. To w Europie pracował bodaj z największymi reżyserami, których spotkał w karierze: Wimem Wendersem, Michelangelo Antonionim, Volkerem Schlöndorffem.

Dlaczego zostawił Francję? Dziennikarze ogłosili, że ta decyzja była gestem sprzeciwu wobec polityki Jacques'a Chiraca.

Chirac nie poparł Busha). Sam Malkovich zaprzecza. – Chodziło o podatki – tłumaczy. Urząd skarbowy wsiadł na dzieci Malkovicha i Peyran, bo nie są małżeństwem. Zamiast długiego procesu wybrał emigrację.

Czy wersja dziennikarzy była aż tak nieprawdopodobna? Malkovich miał od zawsze zdeklarowane poglądy polityczne. – John jest konserwatystą. Zawsze droczy się ze mną o to, że żyję w tym „niechlujnym, brudnym, lewackim Notting Hill” – opisywał Malkovich kilka lat temu aktor William Hootkins. – Dla niego Anglia to Chelsea. On autentycznie uwielbia to, że mamy arystokrację!

Zresztą wizerunek arystokraty: elegancja (projektuje sobie ubrania), inteligencja (niektórzy twierdzą, że wracając do USA, wybrał Cambridge, by być blisko Harvardu) i kosmopolityzm (zna kilka języków), pasuje do Malkovicha jak ulał.

Także pobyt w posiadłości w Prowansji sprzyjał holdowniu arystokratycznemu, wyniesionemu nad doczesne problemy modelowi życia. Co innego rzeczywistość Ameryki A.D. 2009.

Czy to właśnie powrót do ogarniętego kryzysem kraju spowodował, że w konserwatyście obudził się działacz i sympatyzujący z biedakami aktywista? A może przyczyną była zbliżająca się wielkimi krokami starość, sentymentalne powroty do czasów dzieciństwa, gdy emigranckiej rodzinie Malkovichów (dziadkowie aktora pochodzą z Jugosławii) żyło się znacznie gorzej niż jemu dziś?

Tak czy inaczej, stając ponownie za kamerą (debiutował jako reżyser w 2002 roku „Tancerzem”), nie tylko sięga po bardzo upolityczniony gatunek – dokument, ale także po drażliwy dla administracji temat – dzieci emigrujące nielegalnie z Meksyku do Ameryki. W Hollywood ten akt zostanie odczytany jednoznacznie jako przejście na stronę zaangażowanych.

Tym bardziej że do pracy przy „Triple Crossing” zaprosił firmę producencką Diega Lunny i Gabrieli Garcii Bernala, dwóch najbardziej aktywnych na arenie politycznej latynoskich aktorów.

Hańba nie Oscary

Zwrot w karierze Malkovicha – jak często w życiu aktora bywa – zaskakująco współgra z jego najświeższą rolą w ekranizacji „Hańby” Johna Maxwella Coetzego. Starzenie się, chęć pozostawienia po sobie świata czegoś wielkiego, zderzenie wydumanych ideałów z brutalną rzeczywistością – oto przed czym zostaje postawiony grany przez niego profesor Lurie. – To była trudna rola – mówi nam reżyser Steve Jacobs. – Bardzo niewielu

Gdy nie jesteś na miejscu – w Hollywood – ludzie po prostu o tobie zapominają. Kim, do cholery, jest John Malkovich? – pytali niejednokrotnie producenci

JOHN MALKOVICH

aktorów potrafiloby zagrać tę tak pełną sprzeczności, przegraną, odrzucającą postać.

Lurie w wykonaniu Malkovicha to mistrzowskie studium odwiecznej wojny kultury z naturą. Świadomość konsekwencji ściera się z erotycznym pożądaniem, żądza zemsty z poszanowaniem decyzji drugiego człowieka.

Ta kreacja powinna przynieść mu

na przyszlórocznej ceremonii rozdania Oscarów statuetkę. Gdyby tak się stało, byłby to – choć trudno w to uwierzyć – pierwszy Oscar w jego życiu.

Jak dotąd Akademia konsekwentnie Malkovicha ignorowała, nie uwzględniając go nawet wśród nominowanych – ani za rolę de Valmonta, ani złodziejka Basiego w „Imperium słońca”, ani tragicznego Alana Conwaya w „Być jak Stanley Kubrick”. Szanse na Oscara miał tylko dwukrotnie – przy okazji „Miejsc w sercu” i „Na linii ognia”.

Od premiery tego drugiego, czyli od 1993 roku, Akademia w sprawie Malkovicha milczy. Czy to przypadkiem nie sposób na swoiste ukaranie outsidersa? Nie raz i nie dwa Malkovich publicznie beszał przeciw kino za brak głębi („Chodzi mi oczywiście o to, że ekran jest płaski” – prostował później z cudowną ironią), lekcewał publiczność („To, co sądzą o mnie inni, naprawdę mnie nie obchodzi”). I choć na pierwszy rzut oka te pełne ignorancji zdania brzmią jak jakieś wyświechtane frazesy, to Malkovich ma na nie całkiem logiczną obronę. – Biznes, w którym pracuję – tłumaczy – gwarantuje mi robienie rzeczy, które kocham. Za jeden film zarabiam pieniądze, na które inni muszą pracować 10–15 lat. Ludzie na całym świecie oglądają efekt mojej pracy. Jeśli ktoś, będąc na moim miejscu, mimo wszystko by się umartwiał, oznaczałoby to, że jest kompletnym kretynem. □

Elegant Malkovich niebawem zakasze rękawy – wyreżyseruje dokument o meksykańskich emigrantach „Triple Crossing”

W tym tygodniu:
SPĘDZAMY CZAS W LABORATORIUM
KRYMINALISTYCZNYM, A POTEM
MÓWIMY CI TO, CZEGO NIE WIESZ
O ANTYMATERII



Ślady są wszędzie

Nawet Sherlock nie miałby szans w rywalizacji z policyjnymi naukowcami uzbrojonymi w najnowsze narzędzia badawcze

Policyjny ekspert znajdzie ślady wszędzie: ślady broni na łusce naboju albo niewidoczne gołym okiem ślady linii papilarnych na puszcze. Potem analiza i próba powiązania śladu z osobą lub zdarzeniem. To żmudna praca wymagająca analizy najdrobniejszych szczegółów. Nic dziwnego, że na odznacze ekspertów kryminalistyki widnieje mikroskop



KRYMINALISTYKA TEKST PIOTR KOSSOBUDZKI
ZDJĘCIA KUBA DĄBROWSKI

Czy ten proszek zawiera narkotyki? Z jakiego samochodu może pochodzić ten odprysk lakieru? Czy ta plamka krwi należy do sprawcy? Na takie pytania codziennie odpowiadają eksperci z laboratoriów kryminalistycznych. Korzystając z nowoczesnych metod badawczych i zaawansowanego sprzętu, potrafią znaleźć i zidentyfikować najdrobniejszy ślad. I zrobić to z pewnością, która nada ich opinii moc sądowego dowodu.

DNA: dowód idealny?

To właśnie precyzja i wiarygodność uczyniły z badania DNA potężne narzędzie będące na usługach śledczych. Kiedyś rękojeść noża pokryta porowatą gumą nie dawała nadziei na zdżięcie śladów w formie odcisków palców. Dziś jest świetnym miejscem do szukania śladów DNA. Genetyka pomaga na przykład znaleźć autorów anonimowych listów, które wcześniej badano tylko grafologicznie i daktyloskopię.

– Ekspertyzy genetyczne zaczęliśmy robić w początkach lat 90. – mówi Grażyna Rycerska z Wydziału Biologii Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego (CLK) Komendy Głównej Policji. – Obecnie przygotowujemy około 400 ekspertyz rocznie, niektóre dotyczące jednego śladu, inne 100 lub 200. Zabezpieczenie śladów DNA i badania DNA stosuje się już rutynowo, nawet przy drobnych przestępstwach, jak włamania do kiosków czy atak na działkach. Nie słyszałam, żeby sądy odrzuciły opinię eksperta bazującą na analizie genetycznej – wyjaśnia policyjny biolog.

Dlaczego możliwa jest taka analiza? DNA wszystkich ludzi jest w ogromnej części identyczne – w końcu jesteśmy jednym gatunkiem. Jednak w naszym genomie są miejsca, gdzie występują znaczące różnice między poszczególnymi ludźmi, więc jeśli chcemy kogoś zidentyfikować, nie musimy badać całego jego DNA. Wystarczy sprawdzić kilka takich charakterystycznych rejonów z części genomu, która nie koduje cech wyglądu czy stanu zdrowia.

W Polskich laboratoriach standardowo bada się ich 10. Prawdopodobieństwo, że wśród przedstawicieli rasy białej (kaukaskiej) znajdzie się drugi człowiek o identycznym profilu genetycznym (czyli identycznej budowie tych 10 rejonów), jest mniejsze niż jeden do miliarda. W Polsce od kilku lat funkcjonuje baza danych DNA. Obecnie znajduje się w niej około 22,5 tysiąca profili genetycznych osób podejrzanych i niezidentyfikowa-

nych śladów znalezionych na miejscach zdarzeń. – Mamy już pierwsze trafienia – podkreśla Grażyna Rycerska. – Potrafimy połączyć nowo nadesłane ślady z danymi z bazy.

Procedura badań w CLK wygląda następująco: jeśli mamy podejrzanego, można pobrać od niego DNA (zwykle przez wymaz komórek nabłonka z wewnętrznej strony policzka) i sprawdzić, czy w bazie danych nie ma jego profilu. Być może na miejscu jakiegoś przestępstwa zostawił kiedyś swój „genetyczny odcisk palca”. Ale częściej bywa odwrotnie – do laboratorium trafia próbka materiału biologicznego z wnioskiem o analizę DNA i sprawdzenie, do kogo on należy.

– Najczęściej badamy DNA z krwi, śliny i ze spermy. Rozbudowujemy też pracownię do analizy DNA z kości – wyjaśnia policyjny specjalista. – Coraz częściej zajmujemy się też tak zwanymi śladami kontaktowymi, czyli tym, co pozostało po kontakcie ciała z otoczeniem. Mogą to być odrobiny złuszczonego naskórka, w miejscu gdzie podejrzany dotykał przedmiotów ręką, albo komórki nabłonka z ust zostawione na przykład na sztućcach. Często trafiają do nas całe przedmioty, a my musimy na nich odnaleźć ślady i wyizolować z nich DNA. To najtrudniejszy, najbardziej żmudny i najbardziej odpowiedzialny etap. Doświadczenia w tym zakresie nabywa się przez lata pracy – podkreśla Rycerska.

Metoda ma oczywiście swoje ograniczenia. Trudno bada się na przykład materiał pobrany z... dzinsów, bo barwnik indygo hamuje reakcję namnażania DNA przed analizą. Podobnie jak substancje humusowe (produkty rozkładu materii roślinnej) w glebie. Stąd problemy z analizą genetyczną zwłok długo leżących w ziemi. Nie mówiąc o tym, że szukanie śladów na odzieży takich donatów zdecydowanie nie należy do przyjemności.

Na tropie mikrośladów

Przyzwyczailiśmy się już, że DNA to skarbnica wiedzy. Ale co zrobić, gdy na miejscu zdarzenia nie ma śladów biologicznych? Są za to co najwyżej kawałki szkła, strzępy materiału lub resztki farby? Okazuje się, że z nich także można wycisnąć mnóstwo informacji. Eksperci od kryminalistyki nazywają je mikrośladami.

Najpierw oglądają je gołym okiem, jeśli jeszcze się widać, by następnie umieścić je pod mikroskopem. – Mamy tu na przykład mikroskop, w którym można położyć obok siebie materiał dowodowy i porównawczy i na ekranie zobaczyć, czy pasują do siebie pod względem struktury – tłumaczy Marek Wachowicz z Wydziału Fizykochemii CLK. – To bardzo

Dziś eksperci potrafią wykryć nie tylko to, z jakiej broni pocisk został wystrzelony. Kula to prawdziwy zbiór dowodów



przydatne zwłaszcza przy sporządzaniu opinii dla sądów, gdzie jeden obraz przemawia bardziej niż tysiąc słów.

– Inny mikroskop, a dokładniej mikrospektrofotometr, służy nam do porównywania barwy włókien i powłok malarskich. Jest cenny szczególnie dla mężczyzn, bo wiadomo, że mają oni kłopoty z porównywaniem i nazywaniem kolorów – żartuje ekspert. Tymczasem dokładna ocena odprysku samochodowej powłoki malarskiej i dostęp do europejskich baz danych mogą pozwolić na określenie marki pojazdu, a nawet jego rocznika!

– Niestety, z tym jest coraz trudniej – narzeka podinspektor Wachowicz. – Zazwyczaj na miejscu zdarzenia znajdujemy małe odpryski jednej, dwóch warstw powłoki. Rzadko zdarzają się piękne, duże kawałki. Tym bardziej że nowoczesne powłoki malarskie są elastyczne i mają zewnętrzną warstwę ochronną. Nowe technologie, nowe metody malowania utrudniają nam pracę. Kiedyś, jak się puknęło w malucha, to spadało pół samochodu.

Gdy już obejrzeliliśmy wszystko pod mikroskopem, pora na badanie składu pierwiastkowego mikrośladu. Dzięki spektrometrom fluorescencji rentgenowskiej można to zrobić, nie niszcząc próbki. W urządzeniu lampy rentgenowskie wzbudza w atomach próbki elektrony, które później, wracając na niższe orbity atomowe, oddają energię w postaci promieniowania charakterystycznego dla poszczególnych pierwiastków. Pomiar trwa niecałą minutę. Po nim już wiemy, z jakimi pierwiastkami mamy do czynienia. Jeśli próbka jest bardzo mała, można w tym samym celu posłużyć się mikroskopem elektronowym sprzężonym ze spektrometrem rentgenowskim z dyspersją energii.

– Różne metody i urządzenia mają różne zakresy czułości, więc te techniki dobrze się uzupełniają – wyjaśnia ekspert z Wydziału Fizykochemii. – Okruchy szkła okiennego czy butelek można na przykład rozpoznać po sygnale informującym o zawartości sodu i wapnia. A szkło z samochodowych reflektorów – po obecności baru.

W stwierdzeniu podobieństw i różnic między szklami pomaga także pomiar →

→ współczynnika załamania światła. Można go zmierzyć nawet w próbce o średnicy jednej czwartej ziarenka piasku. A takie właśnie fragmenty można znaleźć wbite w ubranie nawet po dłuższym czasie od wypadku czy włamania.

Substancje rozszyfrowane

Mimo że Wydział Fizykochemii bada także materiały wybuchowe i ich pozostałości czy próby fałszowania sztabek złota, to od połowy lat 90. większość badanych tu spraw dotyczy narkotyków.

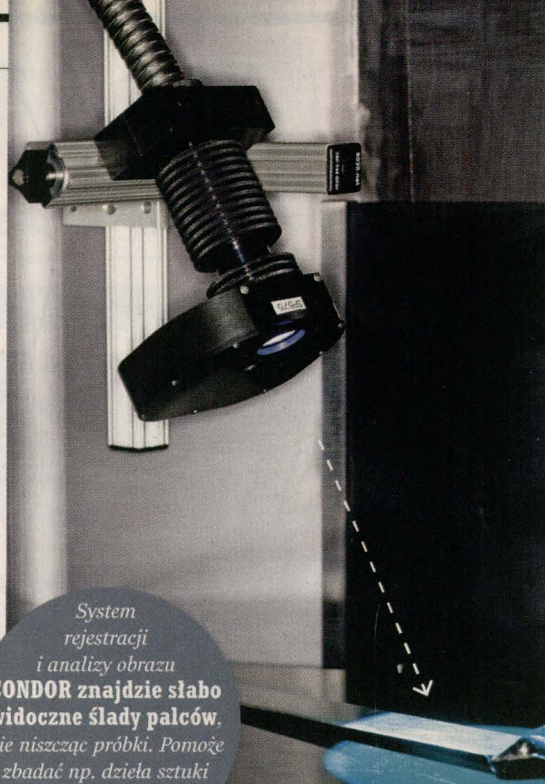
– Najczęściej trafiają do nas amfetamina (to taka polska specjalność), marihuana i tabletki ecstasy – mówi Anna Duszyńska z Zespołu Badań Narkotyków CLK. – Zazwyczaj analizę zaczynamy od szybkich testów mających potwierdzić obecność narkotyku w próbce i umożliwić jego wstępną kwalifikację do określonej grupy substancji. Potrafimy to zrobić niezależnie od tego, w jakiej formie jest badany materiał: czy jest to proszek, ciecz czy na przykład suz.

Później, po odpowiednim przygotowaniu jednolitej próbki, zaczynają się szczegółowe badania z użyciem takich metod, jak chromatografia gazowa i cieczowa chromatografia gazowa z detekcją masową, dyfrakcja rentgenowska czy spektrofotometria w podczerwieni. Ich łączne zastosowanie pozwala na precyzyjne stwierdzenie, jakie substancje występują w badanych materiałach.

– Metody, którymi dysponujemy, są tak czułe, że możemy wykryć nawet nanogramowe ilości substancji aktywnych – zaznacza nadkomisarz Duszyńska. – Możemy pobrać próbki z odzieży czy samochodów, gdzie gołym okiem nie widać narkotyków. Jesteśmy w stanie stwierdzić, czy w badanym mieszkaniu kilka lat wcześniej odbywała się produkcja narkotyków. Bez problemu zbadamy, czy w przesłanej do analizy fice była kiedyś palona marihuana.

W Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym KGP prowadzi się także profilowanie amfetaminy i BMK – substancji używanej do produkcji tego narkotyku. Na podstawie kompleksowej analizy składu próbek narkotyku zabezpieczonych w różnym czasie i w różnych miejscach można stwierdzić, czy pochodzą z tego samego źródła. – Profilowanie pomaga powiązać narkotyk z producentem, producenta z dilerem i większe grupy przestępcze ze sobą – wyjaśnia Anna Duszyńska.

Czasem do laboratorium trafiają sprawy mniej typowe. Przykład? – W lutym tego roku otrzymaliśmy informację, że w Szwecji lub Holandii pojawiła się substancja o nazwie IWH018, która działa podobnie jak psychoaktywny składnik marihuany – opowiada nadkomisarz – i że w Polsce może wchodzić w skład



System rejestracji i analizy obrazu **CONDOR** znajduje słabo widoczne ślady palców, nie niszcząc próbki. Pomaga zbadać np. dzieła sztuki i inne cenne przedmioty

mieszanek sprzedawanych jako tak zwane dopalacze. Sprawdziliśmy i okazało się, że rzeczywiście tam była. W rezultacie od 8 maja tego roku została wciągnięta na listę substancji narkotycznych.

Zdradliwe dotknięcia

A co z klasyczną daktyloskopią? Co z policyjnymi technikami kryminalistyki, którzy z namaszczeniem posypują odciski palców tajemniczym proszkiem? To oczywiście nadal powszechnie stosowana metoda. Tyle że dziś wspomagają ją wyrafinowane sposoby uwiadczenia śladów daktyloskopijnych. Najczulszą z nich jest wywołanie ich świecenia, czyli luminescencja. Odzworowania linii papilarnych na zabezpieczonym materiale pokrywa się substancjami, które świecą w odpowiednim dla danej substancji zakresie promieniowania oświetlacza kryminalistycznego lub lasera. Wówczas ujawnione ślady rejestruje się za pomocą nowoczesnego systemu Condor, Poliview lub aparatem cyfrowym. Śladom robi się zdjęcia, poddaje się je analizie i archiwizuje. – Ekspert Wydziału Daktyloskopii opracowali

system ujawniania i rejestracji śladów linii papilarnych na trudnych podłożach, takich jak obrazy, bezcenne dokumenty czy wartościowe przedmioty – mówi z dumą podinspektor Paweł Rybicki, dyrektor Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego KGP. – Polega on na rejestrowaniu obrazów linii papilarnych przy różnych długościach fali, bez użycia tradycyjnych filtrów.

Problem pojawia się wtedy, gdy odciski palców pozostawiono na przedmiotach o połyskliwej powierzchni, które odbijają światło (np. puszkę, folia aluminiowa). Wtedy wykorzystuje się zjawisko luminescencji opóźnionej. Badany dowód rzeczowy pokrywany jest substancją, którą następnie naświetla się promieniami UV. Dzięki temu ujawniony ślad linii papilarnych emituje własne światło – dłużej niż podłoże, na którym go pozostawiono. Światło nie jest dostrzegane gołym okiem, ale „widzi je” sterowany komputerowy zestaw. Działa on według następującego schematu: naświetlenie, wyczekanie do momentu, gdy zanika luminescencja podłoża, włączenie czujnika kamery, wykonywanie zdjęcia aż do momentu, gdy zanika luminescencja śladu, i wyłączenie kamery. Wszystko z dokładnością do mikrosekundy (jedna milionowa część sekundy). Efekty są po prostu zdumiewające – wyraźne linie papilarne tam, gdzie wcześniej można się ich było ledwie domyślać. Jakże to ułatwienie, możecie się przekonać sami. Na 13. Pikniku Naukowym w Warszawie eksperci z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego pokażą wam, jak pobierać ślady linii papilarnych z różnych podłoży. Ale nie tylko – zobaczycie, jak robi się silikonowe odlewy różnych śladów i jak działa wariograf, czyli wykrywacz kłamstw. Choć przez chwilę będziecie mogli się poczuć jak współczesny Sherlock Holmes.

EKSPERYMENTUJ NA PIKNIKU NAUKOWYM!

Znowu możecie wcielić się w rolę fizyka, chemika czy archeologa

Na 13. Pikniku Naukowym Polskiego Radia i Centrum Nauki „Kopernik” spotkacie nie tylko speców od kryminalistyki. 250 instytucji z Polski i z zagranicy przygotowało pasjonujące doświadczenia i pokazy naukowe. Wywołaj trzęsienie ziemi, sprawdź sprawność swych oczu i uszu, znajdź prawdziwe meteoryty i pokieruj robotem. Spytaj naukowców – wszystko ci wyjaśnią. Przyjdź ze znajomymi lub z rodziną w sobotę 30 maja między 11 a 20 na Rynek Nowego Miasta i Podzamcze w Warszawie. Szczegóły na: www.pikniknaukowy.pl



WOJCIECH MIKOLUSZKO

Wyrzucić dziecko z domu, bo inaczej wszyscy będziemy mieć kłopoty

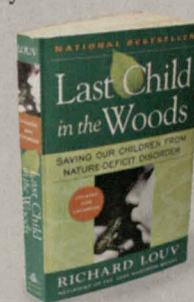
DO STU TYSIĘCY PIORUNÓW, NIECH-że wreszcie ktoś się tym zajmie! Sprawa jest poważna, a winą leży nie tylko po stronie „antyekologów”, ale także głęboko zaangażowanych ekologów. Dzieci kompletnie tracą kontakt z naturą. Konsekwencje zaczynają być dramatyczne – i dla ludzi, i dla przyrody. O tym właśnie pisze Richard Louv w książce „Last Child in the Woods” („Ostatnie dziecko w lesie”), która w USA doczekała się już drugiego wydania (uaktualnionego i rozszerzonego), ruchu wielbiciele „Leave No Child Inside” – „Nie zostawiaj dziecka w domu”), a nawet zmian w prawie federalnym. Do nas jakoś te alarmujące wieści docierają stępione, nie zyskują zainteresowania i nie dają początku żadnym akcjom ratunkowym. A szkoda, bo wkrótce będziemy się zmagać z tym samym problemem co Amerykanie.

No ale przejdźmy do konkretów. Dzisiaj większość dzieci większość czasu spędzają w domach, przed ekranami komputerów i telewizorów. W czasie jazdy samochodem lub po-

ciągami gapią się w przenośne DVD, a nie na migający za oknem krajobraz. Nie znają nazw zwierząt i roślin z okolicy. W szkole więcej uczą się o dziurze ozonowej, globalnym ociepleniu czy wycinie lasów równikowych niż o przyrodzie za domem. Nie bawią się w lesie, nie taplają się w błocie, nie budują domków na drzewach. Wycieczkę do pobliskiego lasu uważają za groźną. Gdy wysyła się je do parku narodowego, zabrania im się dotykać czegośkolwiek i nakazuje chodzić wyłącznie po wyznaczonych ścieżkach. Czują się tam jak w staromodnym muzeum, w którym wszystkie ekspozycje tkwią za grubą szybą, a na nogi trzeba wkładać ochronne kapcie. Nie mają pojęcia, skąd tak naprawdę bierze się ich jedzenie. Nigdy nie sadziły rzodkiewek w ogródku i nie widziały żywej kury. Świat zwierząt i roślin jest dla nich nieznany, niebezpieczny i jednocześnie nudny. Roz-

wija się u nich coś, co Richard Louv określił jako *nature-deficit disorder* (zespół deficytu przyrody). Dzieci, które nań cierpią, stają się nerwowe i nadpobudliwe, mają kłopoty z koncentracją i częściej chorują na ADHD. Nierzadko też są otyłe i chorowite, a ich zmysły gorzej się rozwijają. Gdy dorosną, nie będą wykazywać żadnego zainteresowania przyrodą.

Jej ochrona będzie im się kojarzyła wyłącznie z jakimiś absurdalnymi zakazami i nakazami, do których nawołują nawiedzeni ekoterrorysty. Oczywiście idea, że człowiek nie jest w stanie przetrwać bez zdrowej przyrody, wyda im się abstrakcyjna, niezrozumiała i nieprawdziwa. Ten proces „oddzielania się od natury” postępuje i trzeba go jak najszybciej zatrzymać. I w Ameryce, i w Polsce. Zamiast więc włączać dziecku kolejną grę komputerową czy bajkę na DVD, wyrzucmy je z domu! Niech nie będzie „ostatnim dzieckiem w lesie”! Proszę...



Richard Louv „Last Child in the Woods”, Algonquin Books, Nowy Jork 2008, 14,95 dol.



HISTORIE NATURALNE

www.radiokolor.pl



103 FM
dla pewnych kobiet

RADIO
KOLOR

O rzeczach, których nie wiesz o antymaterii

FIZYKA PIOTR STANISŁAWSKI

Niewiarygodnie droga, potencjalnie ogromnie niebezpieczna, choć niemal dziś nieobecna pozostałość po początkach Wszechświata. Antymateria

NA EKRANACH KIN WŁAŚNIE PANOSZĄ SIĘ „ANIOŁY i demony”. Poza rozgrzebywaniem watykańskich brudów akcja obraca się wokół odrobiny antymaterii. Choć wiedza Dana Browna o fizyce jest jeszcze mniejsza niż o Watykanie, to Europejska Organizacja Badań Jądrowych CERN postanowiła skorzystać z okazji i poedukować nas nieco w kwestiach związanych z antymaterią. Zachęceni przez CERN naukowcy z polskiego Instytutu Problemów Jądrowych w Świerku przygotowali pakiet antymaterialnych informacji, z których my wyssaliśmy to, co naszym zdaniem najciekawsze.

1. ANTYMATERIA JEST WŚRÓD NAS

Antymateria nie jest wcale bytem fikcyjnym czy choćby odległym od nas. „Przeciwnieństwa” elektronów – pozytony – oraz kwarków – antykwarki – bez przerwy powstają zarówno nad, jak i pod nami. Czy chcemy, czy nie, antymateria nas otacza.

W atmosferze, na wysokości około 15 kilometrów, antycząstki tworzą się w wyniku ciągłego ostrzału jąder atomów gazu przez promieniowanie kosmiczne. Jądra trafione takim wysokoenergetycznym kosmicznym pociskiem rozpadają się, tworząc czasami mezony, czyli cząstki złożone z kwarków i antykwarków. Choć nie żyją one zbyt długo, bo zaledwie od 10^{-17} do 10^{-8} sekundy, to czasami udaje im

się dolecieć do powierzchni Ziemi. Dzieje się tak, ponieważ mezony poruszają się bardzo szybko, z prędkością zbliżoną do prędkości światła. A jak wiadomo, dla obiektów tak pędzących czas płynie znacznie wolniej niż dla nas. Sprawia to, że „wewnętrzny zegar” mezonu tyka bardzo wolno i cząstka zdąży pokonać te kilkanaście kilometrów, zanim anihiluje.

Antymateria rodzi się także pod naszymi stopami. W skorupie ziemskiej sporo jest pierwiastków radioaktywnych, a niektóre rodzaje rozpadów promieniotwórczych prowadzą do powstawania antyelektronów, czyli pozytonów.

Antycząstki różnią się od swoich materialnych partnerów wszystkimi tak zwanymi liczbami kwantowymi – ładunkiem, dziwnością czy izospinem.

Tu powstała antymateria. Lewy wąs to ślad pozytonu, prawy – elektronu. Pozyton szybko znika, anihilując

13,7 miliarda lat temu Wszechświat pełen był antymaterii. Dziś zostały jej smętne resztki

2. CENNIJSZA NIŻ ZŁOTO

Antymateria jest cenna. Bardzo cenna. Jakies kilkaset bilionów razy cenniejsza od złota. Wszystko dlatego, że jej wytwarzanie wymaga potężnych konstrukcji wykorzystujących ogromne ilości energii potrzebne do rozpędzenia i zderzania cząstek zwykłej materii do gigantycznych prędkości, a potem wyłapywania nielicznych powstających kawałków antymaterialnych.

Szacuje się, że wytworzenie grama antymaterii to koszt rzędu miliardów dolarów. Co więcej, nie zapowiada się tu nagły spadek cen. Choć od kiedy w 1955 roku udało się wytworzyć pierwszą antycząstkę – antyproton – ilość wytwarzanej antymaterii co roku rośnie w tempie geometrycznym. To nadal jesteśmy na etapie wytwarzania ledwie kilku nanogramów (10^{-9} g) antymaterii rocznie. Jeśli więc odziedziczyłeś choć odrobinę mezonów czy pozytonów, trzymaj je – to doskonała lokata pieniędzy.

3. NIE ZAWSZE NIEBEZPIECZNA

W filmach i książkach antymateria przedstawiana jest jako idealny materiał wybuchowy – faktycznie – lepszego materiału nie sposób znaleźć, bo podczas zetknięcia antymaterii z materią następuje anihilacja, czyli zamiana masy w energię. Ilość tej energii łatwo obliczyć z popularnego i lubianego wzoru $E=mc^2$, czyli energia równa się masie pomnożonej przez prędkość światła podniesioną do kwadratu. Jako że prędkość światła jest niemała, energia również wyjdzie nam całkiem spora. Kilogram materii zmieszany z kilogramem antymaterii da jej tyle, ile wybuch 47 milionów ton trotylu.

Jednak nie zawsze antymateria jest tak niebezpieczna. Właściwie tylko niektóre jej rodzaje mogłyby narobić zamieszania w naszym świecie. Każda cząstka materii ma bowiem swój antymaterialny odpowiednik i tylko w spotkaniu z nim może ulec anihilacji. Cały nasz świat składa się w większości z zaledwie kilku rodzajów cząstek – protonów, neutronów, elektronów i fotonów. By nastąpiła anihilacja, proton, neutron lub elektron muszą trafić na swoje przeciwieństwo. Nie dotyczy to fotonu, który – jakkolwiek dziwnie brzmi – jest sam dla siebie antycząstką i żadne anihilacje go nie interesują.

Tymczasem wszystkie fragmenty antymaterii, które nie są antypartnerami naszych cząstek, mogłyby sobie istnieć bez żadnego ryzyka anihilacji.

4. UCZESTNICZY W LECZENIU

Choć trudno to sobie wyobrazić, antymateria wykorzystywana jest w jednej z najnowocześniejszych technik diagnostycznych. To pozytonowa emisyjna tomografia komputerowa zwana w skrócie PET. Pozwala ona śledzić działanie poszczególnych organów w ciele człowieka.

By przeprowadzić PET, w pobliże badanego organu podaje się substancję zawierającą promieniotwórczy pierwiastek o krótkim czasie półrozpadu. Musi być on dobrany tak, by uległ rozpadowi typu beta plus, którego efektem jest emisja pozytonów, czyli antyelektronów. Pozytony żyją tylko przez krótki moment i po przebyciu najwyżej kilku milimetrów trafiają na elektron i ulegają anihilacji. W tym momencie powstają dwa fotony, które zawsze lecą w dwóch dokładnie przeciwnych kierunkach. Trafiają one do umieszczonych wokół ciała badanego detektorów, które odnotowują dokładnie czasy dotarcia każdej

pary fotonów. Porównując te czasy, komputer oblicza, w którym miejscu nastąpiła anihilacja, i na tej podstawie tworzy obraz pokazujący rozkład podanego izotopu wewnątrz ciała.

Lekarzom daje to mnóstwo informacji, bo tkanki różnie metabolizują substancje – zależnie od tego, w jakim stanie się znajdują. Obserwując oznakowany radioaktywnym fluorem odpowiednik glukozy – fluorodeoksyglukozę – można na przykład wykryć ogniska nowotworowe czy śledzić działanie układu nerwowego. Dawki promieniowania pochodzące z podanego izotopu są bardzo małe i nie przekraczają tych, jakie otrzymuje się podczas badania rentgenowskiego. Obecnie w Polsce wykonuje się co roku około 15 tysięcy badań PET.

Ale diagnostyka to niejedyny zastosowanie antymaterii w medycynie. Od sześciu lat w ośrodku CERN prowadzone są badania zwane Antiproton Cell Experiment. Ich celem jest wykorzystanie precyzyjnie skierowanej wiązki antyprotonów do niszczenia nowotworów. Okazuje się, że antyprotony działają skuteczniej niż wiązka zwykłej materii, dzięki czemu można używać ich znacznie mniej, ograniczając w ten sposób uszkodzenia zdrowych tkanek.

5. KIEDYŚ TO DOPIERO BYŁA ANTYMATERIA!

Dzisiejszy Wszechświat zawiera ledwie smętne resztki antymaterii. Trzeba jednak pamiętać, że całkiem niedawno, jakieś 13,7 miliarda lat temu, antymateria była niemal tak powszechna jak materia. Fakt, nie trwało to długo, bo tylko 15 sekund.

W chwilę po Wielkim Wybuchu Wszechświat wypełniony był samym promieniowaniem. Natychmiast jego kwanty zaczęły przekształcać się w pary cząstek i antycząstek. Gdy tylko temperatura nieco spadła, rozpoczęła się wielka anihilacja – pary zniżały, zamieniając się znowu w promieniowanie. Gdyby wszystko przebiegło w całkowitym porządku, dziś nie byłoby niczego poza czystym promieniowaniem, bo cała materia w ciągu pierwszych 15 sekund istnienia Wszechświata zmieniałaby się w energię.

Nastąpiło jednak coś zupełnie dziwnego – oto mniej więcej jedna na miliard cząstek materii nie miała swojej antymaterialnej pary. Gdy inne radośnie anihilowały, ta pozostała samotna i smutna. Na koniec wielkiej anihilacji zostało więc mnóstwo energii i jedna miliardowa wcześniejszej materii. Spójrz teraz na swoją rękę. To właśnie część tej jednej miliardowej. To z niej składa się cały Wszechświat.

Z pulsara znajdującego się w Mgławicy Krab rozchodzi się koncentryczna fala uderzeniowa niosąca materię i antymaterię. Gdybyśmy tak mogli trochę jej uszczknąć...

Dlaczego tak się stało? To jedna z największych zagadek fizyki. Być może odrobinę zbliżyliśmy się do niej, gdy ruszy ponownie uszkodzony Wielki Zderzacz Hadronów – największe tego typu urządzenie świata zbudowane w CERN. Jeden z eksperymentów, które mają być dzięki niemu prowadzone, nazwany LHCb, został opracowany po to, by rejestrować różnice między materią a antymaterią.

6. WCIAŻ JEJ ZA MAŁO

Antymateria ma ogromny potencjał energetyczny. Byłaby doskonałym paliwem. Dosłownie doskonałym, bo przetwarzającym całą masę w energię. Jej efektywność byłaby 10 miliardów razy wyższa niż efektywność benzyny. Szacuje się, że jedna milionowa grama wystarczyłaby do zasilenia trwającej rok podróży na Marsa.

Wszystko pięknie, ale wciąż nie umiemy wytwarzać antymaterii inaczej, jak mozolnie strzelając w siebie rozpędzonymi do ogromnych prędkości atomami. Takie antymaterialne fabryki są okropnie drogie i rozpaczliwie mało efektywne. Gdyby tak zebrać i zanihilować całą antymaterię wytworzoną dotąd w największej antyfabryce – CERN, energii wystarczyłoby do zasilenia jednej żarówki przez ledwie kilka minut.

Na dodatek to, co wytworzyliśmy, trudno przechowywać. Wykorzystuje się do tego tak zwane pułapki Penninga, urządzenia wytwarzające silne i odpowiednio ukształtowane pole elektryczne i magnetyczne, w którym można uwięzić antycząstki. Problem w tym, że mieścić się ich tam mało, bo przy zbyt dużym tłoku zaczynają się od siebie coraz mocniej odpychać i wreszcie uciekają. W tej chwili radzimy sobie z przetrzymaniem ledwie przez parę godzin nie więcej niż 10^{12} antycząstek, czyli ledwie pikogramów, bilionowych części grama.

KORZYSTAJ

KAWA
NAWIGACJA
ODTWARZACZ
TŁUSZCZ
INTERNET

MAŁA CZARNA

Chroń woń

Myślisz, że wystarczy wsypać ją do puszki i postawić na półce? Nic podobnego – kawa to delikatny byt

Kawa to przede wszystkim aromat. Jeśli kiedykolwiek miałeś pecha napić się kawy zwiędziałej, to zapewne pamiętasz ten paskudny gorzki smak pozabawionej zapachu lury. I na pewno nie chcesz jej już więcej próbować.

A jest co chronić. W ustach odczuwamy tylko cztery smaki, ciepło oraz zimno. Reszta dzieje się w nosie. Za doznania węchowe przy picu kawy odpowiada ponad 150 substancji, z których wiele łatwo ulega rozpadowi pod wpływem wilgoci, ciepła, światła czy tlenu. Dlatego tak ważne jest odpowiednie przechowywanie kawy. To, jak ją należy traktować, zależy od tego, w jakiej znajduje się postaci. Najdłużej można przechowywać kawę

zieloną, niepaloną, która zachowuje swoje właściwości nawet przez rok. My zwykle mamy do czynienia z kawą paloną, a ta wymaga ostrożnego traktowania.



➤ **Kawę ziarnistą** najlepiej przechowywać hermetycznie zapakowaną i zamrożoną. Przed mieleniem nie trzeba jej nawet rozmrażać

➤ **Kawa rozpuszczalna** jest mało podatna na wietrzenie, choć i ją trzeba trzymać w szczelnie zamkniętym opakowaniu – na przykład słoiku



Uwaga
NA OBCE
ZAPACHY!

KAWA, zwłaszcza zmielona, niezwykle silnie chłonie obce zapachy. Dlatego koniecznie trzeba przechowywać ją zamkniętą i z dala od substancji wydzielających silne wonie. Lodówka (choć nie zamrażalnik) to jedno z najgorszych miejsc

➤ **Kawa po paleniu** wydzielą mnóstwo gazu. By mógł się wydostawać, w niektórych opakowaniach instaluje się zaworki wypuszczające dwutlenek węgla, ale niewpuszczające tlenu



➤ **Metalowe puszki** mimo niewątpliwego uroku nie są najlepsze, ponieważ kawa może nabrać w nich obcego, nieprzyjemnego zapachu. Lepiej będzie ceramicznych lub ciemnych szklanych

➤ **Przed mieleniem** palona kawa może być przechowywana przez nie więcej niż dwa tygodnie. Jeśli ma stać dłużej, to trzeba ją zamrozić



W tym tygodniu:

PRZECHEWUJEMY KAWĘ, PRÓBUJEMY RÓŻNYMI DROGAMI POZBYĆ SIĘ TŁUSZCZU ORAZ OGLĄDAMY TROCHĘ PODRĘCZNEJ ELEKTRONIKI

Arabica Exclus

CARTE
NOIRE
Un café nommé désir

Arôme
PROJET SOURCE AVEC VALVE CASHER
VOLUME

Zamiast podawać adres w rodzaju: http://maps.google.pl/maps?f=q&source=s_q&hl=pl&geocode=&q=wiejska+19,+warszawa&sll=52.02... itd., lepiej wejdź na stronę Tinyurl.com i zmień go na coś tak prostego, jak www.tinyurl.com/redakcja-przekroj

ELEKTRONIKA

Już prawie go nie ma

Nowy iPod shuffle jest już nieprzyzwoicie mały. Ciekawe, czy kolejny model będzie jeszcze widać

Appl od czterech lat konsekwentnie stara się zbudować odtwarzacz muzyczny, którego nie będzie widać. Najnowszy iPod shuffle 3. generacji zbliża się do tego ideału. W pudełeczku mającym 45 milimetrów długości, 17 szerokości, 8 grubości i ważącym niecałe 11 gramów upakowano aż cztery gigabajty pamięci i akumulator wystarczający na 10 godzin słuchania muzyki. Nie zmieścił się tam za to żadne przyciski – jedyny ruchomy element to maleńki przełącznik pozwalający na wyłączenie urządzenia bądź wybór trybu odtwarzania – po kolei lub losowo.

Użytkownicy nowego iPod'a nierzadko przed wszystkim na sterowanie – przyciski przeniesiono na kabel słuchawkowy, tuż pod prawe ucho. Rozwiązanie, przyznaję, trafione częściowo. Wszystko jest w porządku, jeśli chcesz po prostu włączyć muzykę i spokojnie jej słuchać. Gorzej, gdy najdzie cię potrzeba przeskakiwania

piosenek, wyboru konkretnego utworu czy innych ambitnych działań. Wszystko wykonujemy jednym przyciskiem, bo dwa pozostałe służą tylko do regulacji głośności. Odpowiada on aż 9 funkcji, więc obsługa przypomina pisanie alfabetem Morse'a. Jedno naciśnięcie – odtwarzaj. Dwa naciśnięcia i przytrzymanie – szybkie przewijanie. Naciśnięcie i przytrzymanie – nazwa artysty i utworu. No właśnie, to jedna z najciekawszych funkcji nowego shuffle'a. Dane o piosence można usłyszeć w słuchawkach. Krótka, konkretna informacja brzmi naprawdę dobrze i nieźle zastępuje wyświetlacz. Szkoda tylko, że sterowanie wymusza użycie firmowych słuchawek, które jak zwykle nie są najwyższej jakości. Ponoć mają pojawić się wkrótce odpowiednie słuchawki przygotowane przez firmę zewnętrzną. Oby.



➤ **Małe zgrubienie** na kablu słuchawkowym to główny element sterowania iPodem. Efektowne, choć nie zawsze wygodne

Na koniec warto jeszcze przypomnieć, że iPody shuffle służą tak naprawdę do losowego przesłuchiwanie całej zawartości pamięci, a funkcję skakania między utworami należy traktować raczej jako dodatek niż stały element zabawy.

Bo TomTom nie wiedział

Nowe TomTomy z funkcją, która nie całkiem działa

WALKA O POLSKI RYNEK NAWIGACJI satelitarnych trwa. Toczy ją wielcy zachodni producenci, których mocną stroną są świetnie dopracowane urządzenia, oraz polskie firmy, które mogą pochwalić się zaawansowanymi, dokładnymi mapami. Przedstawiciel tej pierwszej grupy, holenderski TomTom, wprowadził właśnie na rynek nowe wersje dwóch ze swoich tańszych modeli – TomTom ONE i IQ Routes i TomTom XL i IQ Routes.



➤ **TomTom** to zawsze doskonałe wykonanie i wygodny interfejs.

Owo IQ Routes to główna nowość. Celem tej funkcji jest przewidywanie korków. Wiadomo, że o 8.30 w poniedziałek rano wjazd do Warszawy to przeżycie ekstremalne, a ta sama trasa w sobotnie przedpołudnie to przyjemność. Teraz to samo ma wiedzieć nawigacja i tak zaplanować przejazd, by ominąć drogowe piekielka.

Na razie w Polsce funkcja ta to raczej ciekawostka – nietrudno przewidzieć, że trasa między Krakowem a Warszawą wieczorem 3 maja będzie nieprzejezdna. Nawigacja jednak sama na to nie wpadła. Dobrze, że jej nie posłuchałem.



ZARADNIK

Zrób to.
Sam

PIOTR STANISŁAWSKI

Reklamom dziękujemy

Wytnij internetowe reklamy. Tylko ostrożnie!

UWIELBIASZ INTERNETOWE reklamy, migające banery i śmiecie zasłaniające całe strony? Jeśli tak, to dalej nie czytaj. Jeśli nie, to uprzejmie informujemy, że użytkownicy Firefoksa, czyli niemal połowa polskich internautów, mogą ściągnąć bezpłatny dodatek Adblock Plus.



Podczas jego instalacji wybieramy bazę serwerów reklamowych (polecamy którąś z niemieckich), które zostają zablokowane. Emitowane przez nie śmiecie po prostu przestają pojawiać się na stronach. Ale uwaga – strona, na której zablokowaliśmy reklamy, przestaje zarabiać na ich emisji. Dlatego warto wspomóc mniejsze serwisy i zezwolić Adblockowi na wyświetlanie na nich reklam. Dodatek znajdziesz tu: www.adblockplus.org lub tu: www.tinyurl.com/bezreklam.

BEZ RECEPTY

Waga lekka

Chcesz schudnąć? Oto kilka specyfików, które ci w tym pomogą. Uwaga! Nie działają na silną wolę

ALLI.
Najnowszy produkt bez recepty wymierzony w złogi tłuszczu. Alli zmniejsza przyswajanie tłuszczów przez organizm. By działało, musisz stosować dietę niskotłuszczową. Nie zrobisz tego – pożałujesz! Skutki uboczne obżarstwa to intensywne ruchy jelit i puszczanie oleistych wiatrów.



ZIELONA HERBATA.
Wspomaga walkę z cellulitem. Poprawia pracę wątroby, która oczyszcza organizm z toksyn, świetnie radzi sobie ze złogami cholesterolu.



LIŚCIE SENESU
wchodzą w skład rozmaitych herbat na odchudzanie. Działają, bo przeczyszczają. Raczej wspomagająco niż naprawdę odchudzająco.



KARNITYNA.
Głównym źródłem karnityny w żywności są mięso i przetwory mleczne. Kłopot polega na tym, że aby karnityna zaczęła działać, trzeba intensywnie ćwiczyć.



GREJPFRUT.

Im bardziej gorzki, tym lepszy. Za gorycz tego owocu odpowiada bowiem naryngina. Związek ten ma działanie lekko przeczyszczające, wspomagające przemianę materii, dlatego grejpfruty świetnie wspomagają odchudzanie. Do tego same w sobie są niskokaloryczne.



Plusssz Up Hydrowitaminy

Trzy smaki, trzy kolory, trzy zestawy witamin i minerałów

WLEWAMY W SIEBIE ROZMAITE dziwne płyny, czemu więc nie spróbować płynu dziwnego, ale pożytecznego. Napoje Plusssz Up Hydrowitaminy to mocna dawka dziewięciu witamin wymieszanych z minerałami. Jedna butelka pokrywa 85 proc. dziennego zapotrzebowania na witaminy. Plusssz Up można kupić w trzech smakach i kolorach – czerwony granat, różowy grejpfrut oraz żółta cytryna. Każdy ma inny skład i działanie.



Czekolady Côte d'Or

Hmm... Z czym by tu wymieszać czekoladę, by smakowała jeszcze bardziej niezwykle?



PRÓBOWAŁEŚ KIEDYŚ CZEKOLADY z kawą? Pewnie tak. A z winem? Piwem? Koniakiem? Takie połączenia trunków ze słodyczami proponuje Côte d'Or – nowa marka czekolady pojawiająca się na polskim rynku. Połączenie gorzkiej czekolady ze smakiem malin czy pomarańczy albo czekolady mlecznej z karmelizowanymi migdałami lub figami brzmi bardzo zachęcająco.

Open GSM

Pomoc w zawiłym świecie komórkowych ofert, abonamentów i prepaidów

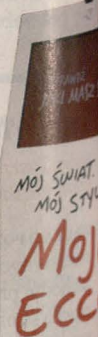
PODOBNO MAMY KRYZYS, warto więc przyjrzeć się swoim wydatkom. Za komórkę płaci dziś niemal każdy i często przy tym sporo przepłaca. Serwis Opengsm.pl pozwala porównywać i wybierać oferty operatorów komórkowych, tak by każdy mógł znaleźć najmocniejsze i najsłabsze punkty każdej z nich. Sprawdź, bo może się okazać, że trochę zaoszczędzisz.



Moje Ecco

Internetowe kioski Ecco pozwalają tworzyć użytkownikom internetowe profile

W 11 WYBRANYCH CENTRACH handlowych w całej Polsce firma Ecco umieściła internetowe kioski, dzięki którym każdy może stworzyć swój sieciowy profil w serwisie o nazwie „Mój Styl Moje Ecco”. Możliwa jest późniejsza edycja zgromadzonych informacji, a za ich przekazanie każdy użytkownik dostaje możliwość odebrania w sklepie Ecco specjalnego prezentu. Najciekawsze profile zostaną nagrodzone.



ROZSTRZYGNIECIE PLEBISCYTU NA ARCYPÓLSKI GEST!

Najwięcej – bo aż 45% głosów czytelników „Przekroju” – otrzymał **gest Kozakiewicza**. Zwycięzca, którego nazwisko opublikujemy w kolejnym numerze, odbierze następujące nagrody:



WSZYSTKIE GESTY ZNAJDZIESZ NA WWW.PRZEKROJ.PL



Nowość! KULTOWE KOMEDIE Stanisława Barei na DVD VIDEO

TYLKO Z DWUTYGODNIKIEM **przyjaciółka** - w kioskach od 14 maja!

4 filmy do wyboru - możesz zebrać kolekcję:



Kolejne filmy z kolekcji:

- „Małżeństwo z rozsądku”
- „Żona dla Australijczyka”
- „Mąż swojej żony”



Tylko z Przyjaciółką nr 17/09 - w kioskach od 28 maja.



W spektaklu
Warlikowskiego
muzyka
gra jedną
z głównych ról

NIELUDZKIE OFIAROWANIE

TEATR ŁUKASZ DREWNIAK

ZAISTĘ PIĘKNA JEST WIOSNA TEGO ROKU. CO miesiąc pojawia się spektakl gigant. Duszy, niewygodny, stawiający kluczowe pytania. Najpierw w „Trylogii” zobaczyliśmy Naród w poszukiwaniu formy i sensu istnienia, potem w „Teoremacie” był Bóg niepojęty i zachłanny zarazem, a w „Marilyn” opisano paradoks artysty uwięzionego w sztuce i w życiu. Linie narysowane przez Klatę (spojrzenie w przeszłość), Jarzynę (ruch ku górze) i Lupę (do wewnątrz) przecinają wszystkie obszary tematyczne, którymi naprawdę warto się w teatrze zajmować. Warlikowski wykreślił teatralną spiralę. Uruchomił sceniczną maszynę, która startuje z jednego punktu, potem wiruje w nieskończoność, coraz dalej od centrum, i przywiera do niej wszystko, co najważniejsze. Mit i historia, rodzina i los, wojna i Holocaust, miłość i śmierć, ofiarowanie i tchórzostwo.

„(A)pollonia” to próba zdefiniowania progu człowieczeństwa. Osobista obsesja reżysera jest jednocześnie czymś najtrudniejszym do objęcia we współczesnej kulturze. Zaczyna się od niezdarniej, pół granej, pół animowanej z pomocą dziecięcych manekinów, sceny z teatryku Korczaka w getcie. A potem śledzimy losy trzech kobiet, które złożyły siebie w dobrowolnej ofierze: Ifigenii, Alkestis, Apolonii Machczyńskiej. Dzięki śmierci pierwszej grecka flota wyruszyła pod Troję. Druga oddała swoje życie w zamian za życie męża. Trzecia została zabita za ukrywanie 25 Żydów. Za każdym razem obok nich był ktoś bliski – zdrajca tchórz, który nie zrobił nic, żeby je powstrzymać.

Genialną intuicją Warlikowskiego jest ustawienie opowiadań Hanny Krall w jednym rzędzie z tragediami greckimi. I tak jak Orestesja była opowieścią o micie założycielskim demokracji, tak Holocaust jest kluczem do współczesności. Mity greckie zostają oświetlone luną Zagłady, Holocaust zostaje przeczytany przez figury mityczne, którymi stają się prawdziwi bohaterowie prozy Krall.

Przestrzeń gry nie tworzy miejsca. To rodzaj stelażu do grania. Białą korytarz z me-

talowymi rampami oświetleniowymi jak na koncercie. Aktorzy i techniczni przeciągają po scenie składany ruchomy moduł łazienki. Drugi obiekt, początkowo skryty po przeciwległej stronie, to moduł mieszkalny. Zrazu przestrzeń gry nie jest miejscem akcji. Są tylko jakieś szkice, punkty podparcia dla aktora – stół, manekin, metalowe rusztowanie. Prawie cały czas gra zespół rockowy, Renate Jett śpiewa po angielsku utwory w klimacie Björk i Sigur Rós. Aktorzy są uwięzieni w konwencji występu, każe im się mówić do mikrofonu, bardziej opowiadać swojego bohatera, niż go grać. A potem kolejne postacie przynoszą ze sobą dawny, zimny, piękny świat Warlikowskiego. Reżyser tworzy coś w rodzaju przestrzennego kolażu, przenikania się planów gry, ekranów i muzyki. Akcja dzieje się we wszystkich czasach naraz. Podczas wojny, w micie i we współczesności. W prawdziwym czasie teraźniejszym Warlikowskiego.



★★★★★
„(A)pollonia”
według
różnych
autorów,
reżyseria
Krzysztof
Warlikowski,
scenografia
i kostiumy
Małgorzata
Szczęśniak,
światło
Felice Ross,
Nowy Teatr
w Warszawie

„(A)pollonia” jest studium wojennego strachu, rozpacz i powojennej zgryzoty. Ale nikt nie wskazuje palcem – to było zło absolutne. Dobro również nie zostaje podważone, podobnie jak sens ofiary trzech kobiet. Warlikowski zawsze bada dwie strony medalu. W ofierze z czystego dobra szuka ziarenek nieoczywistości: egoizmu, depresji, braku wyobraźni, ucieczki przed życiem. Ifigenia, Alkestis i Apollonia są tak samo bezradne wobec tego, co się dzieje, jak ci, z których się poświęcają. Trudno uznać je za kozły ofiarne, niewinne ofiary zbiorowej nienawiści. Bo są świadome, podejrzanie racjonalne, rozumieją konsekwencje, choć stają przed decyzjami, które ich bliskich przerastają. Warlikowski wie, że ofiara z życia niszczy nie tylko samą ofiarę, ale także jej rodzinę. Złości go robienie show z ocalenia, z wojny, z Zagłady. To nie były żadne mistrzostwa świata w przeżyciu w ekstremalnych warunkach, Holocaust survival. Sensem życia nie zawsze jest przeżycie. Może cza-

„(A)POLLONIA”
KRZYSZTOFA
WARLIKOWSKIEGO
PRZYGOTOWANA NA
INAUGURACJĘ NOWEGO
TEATRU TO OPOWIEŚĆ
O TYM, ŻE SENSEM
ŻYCIA NIE ZAWSZE
JEST PRZEŻYCIE. MOŻE
CZASEM PO PROSTU
GODNA ŚMIERĆ



Maciej Stuhr i Małgorzata Hajewska

sem po prostu godna śmierć. Jak tych dzieci od Korczaka, które „czwórkami do Auschwitzu szły”.

W funkcji komentatorów pojawiają się Coetzee i Littell. Z książki „Elisabeth Costello” weszła do przedstawienia idea zrównania zagłady Żydów z odbywającym się wciąż holocaustem na zwierzętach. To metafora stosunku człowieka niszczyciela do świata. Nie chodzi już o jedno konkretne zło, które się zdarzyło, ale o całą strategię ludzkości.

Ostatnia scena ma charakter karkoteczny. Postaci z antycznych i nazistowskich rzezi rodzinnych przychodzą do wnętrza pokoju. Zespół Renate Jett gra w środku ostatnią piosenkę. Aktorzy kołyszają się w rytm muzyki. To ostateczny azyl i arka ocalenia na scenie. Można odpocząć, zrzucić postać z siebie. Zapomnieć o piekle, które odegrano przed nami. Muzyka zawsze trwa dłużej niż koszmara.

PS O aktorach nie piszę, wszystkie role są genialne.

ROZMOWA LUKASZ DREWNIAK

Moi Grecy, moi Żydzi

Teatr ma rolę do spełnienia właśnie wtedy, kiedy wokół jest dużo niedomówień – przekonuje Krzysztof Warlikowski

Powiedziałeś niedawno, że „Holocaust to największy polski temat”. Dlaczego polski? Przecież nie tylko nas powinno to dotyczyć.

– On się stał „polski”, bo do tej pory nie mieliśmy szansy dojrzeć do tego problemu. Funkcjonował w naszych głowach w zafałszowanej postaci. Stawiano akcent na to, że plan Zagłady obejmował także Polaków i Rosjan. Były tematy zastępcze, jak śmierć Maksymiliana Kolbego. Do mnie dopiero po jakimś czasie dotarło, że nikogo poza Żydami naziści nie palili w piecach i nie gazowali. I to jest polski temat jeszcze z jednego powodu – „bo byliśmy najbliżej”.

Kiedy zrozumiałeś, że to „twój” temat?

– Dzieciństwo spędziłem w Szczecinie, mieszkaliśmy na obrzeżach miasta, w dzielnicy robotniczej. Domyślasz się, jak tam funkcjonowało słowo „Żyd”. Mój brat był „Żydem”, bo miał ciemniejszą karnację. W naszej okolicy małżeństwo Gutmacherów prowadziło małą wytwórnię oranżady. Kupując u nich, kupowało się „u Żyda”. Poszedłem pewnego dnia po jakąś butelkę, wracam, oddaję mamie resztę, a mama mówi: Źle ci wydali. Wracam i mówię: Oszukałście mnie. Pani Gutmacherowa, wielka, ciepła kobieta, nie ochrzaniła mnie, tylko przez pół godziny wszystko mi tłumaczyła. Nic nie rozumiałem. Przecież mama powiedziała, że „Żyd mnie oszukał”, a ta pani poświęca mi tyle czasu. Na długo został we mnie wstyd. Byłem bardzo skrytym i nieśmiałym chłopcem, a tu wobec „Żyda” nagle zrobiłem się taki odważny.

Twoim przewodnikiem po Holocaustie jest Hanna Krall. Dlaczego robisz teatr z jej opowiadań, a nie ze świadectwa Borowskiego, raportu Nałkowskiej, syntez Grossa?

– Najbardziej w niej szanuję to, że została w Polsce po wojnie. Odnajdywała ludzi, spisywała historie. To, że ocalała, dało jej siłę na całe życie. I sama musiała dokopać się do swojej przeszłości. Ja też zapytałem siebie: Co jest moją przeszłością? Niczego nie odziedziczyłem, musiałem sobie swoje dzieciństwo wytworzyć. Dlatego był mi potrzebny Miłosz, Gombrowicz, Szekspir, antyk. Pokazywanie Zagłady na scenie zawsze niesie ryzyko banału. Że będzie to albo apel poległych, albo tragedia z przyspiewkami. Czy teatr w ogóle ma język na taki temat?

– Oczywiście najgorsze, co może się zdarzyć, to jakaś sentymentalna wieczernica, która w niczym nie pomaga, ale usypia, w okropny

sposób osłaja ze złem. Sztuka może zmierzyć się z Holocaustem tylko wtedy, kiedy jest naprawdę wysokich lotów. Hanna Krall wspaniale zapisuje losy ludzi w czasie Zagłady, ale to nie jest jeszcze teatr. W teatrze jej prawdziwi bohaterowie stają się fikcyjni. My musimy się do nich przedrzeć, na nowo wypełnić ich wnętrza. Nie możemy posłużyć się jej formą literacką do opisywania grozy, musimy szukać własnych sposobów na opowiedzenie tych historii. Kiedy zaczynałem próby do „(A)pollonii”, zastanawiałem się, gdzie się zdradzić jako artysta, a gdzie nie zdradzić. Chciałem dać sobie wolność, jakiej nie miałem przy „Krumie” czy „Aniołach”. Scenariusz pisaliśmy w Grecji, to była praca zbiorowa niemająca wiele wspólnego z teatrem. Dyskusje, wspólne myślenie, przebywanie wewnątrz pewnych historii. Kiedy weszliśmy na scenę, nagle poczułem lęk, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia, a już nie mogę się cofnąć. Dotąd w punkcie wyjścia miewałem gotowy dramat, w którym można coś po-przestawiać, nawet zniszczyć. Tu nie miałem nic. Pomogła mi sama robota. Teatr zaczął wszystko we mnie otwierać.

Znowu powracają u ciebie motywy ofiary i tchórzostwa. Czy patrząc na życiowe wybory bohaterów opowiadań Krall, a i zderzone z wojną i Zagładą postaci z tragedii greckiej, mamy w ogóle prawo je oceniać?

– Nie. Bo oni zaprzeczają swemu człowieczeństwu w stanie barbarzyńskiego strachu. To strach, w którym przestajesz być człowiekiem. Żadna świadomość tu nie pomoże. Potem udajesz, że nic się nie stało. Nie umiem ich za to ani potępić, ani rozgrzeszyć. Bo co ja wiem o takim strachu? Czym są przy tym nasze lęki?

Nie wierzysz w te piękne słowa, że Polacy i Żydzi umierali razem?

– Owszem, to jest nasz wspólny węzeł. Jesteśmy podobni do siebie, tworzymy zwią-

zek wypełniony miłością i nienawiścią. Zauważyłem, że największe wrażenie robią na mnie historie Żydów polskich, a nie holenderskich, francuskich, niemieckich. Bo to są „moi Żydzi”. Długo nie uświadamiałem sobie tego, co stało się po wojnie. Dlatego po wyzoleniu Żydom było prawie tak samo ciężko przeżyć jak za okupacji. Słyszałem o szukaniu Żydów po pociągach, ale nie wiedziałem, że nie można było u nas przyznać się, że jest się Żydem. Że naród polski dał sobie pozwolenie polowania na Żydów.

Elisabeth Costello, tytułowa bohaterka powieści J.M. Coetzee, mówi w twoim spektaklu, oskarżając ludzkość: „Maj-gorsze, że nie ma żadnej kary”.

– Myślę, że kary rzeczywiście nie ma. I nie wiem, czy



Osiem wcieleń i jedna marynarka Krzysztofa Warlikowskiego

powinna być. Może już sama świadomość, że się zrobiło coś złego, jest karą. Można tę świadomość odrzucić, ale można też na niej zbudować coś ważnego.

A może teatr powinien raczej pomóc nam godnie zapomnieć o tym, co się zdarzyło? Żebyśmy mogli zacząć jeszcze raz od punktu zero?

– Zagłada nie powinna być złem niechcianym. Z punktu widzenia sztuki zło cenniejsze niż dobro. Kiedy wszystko zostanie już ponaprawiane, teatr właściwie traci legitymację do zajmowania się tymi sprawami. Kiedy kilka lat temu zaczynałem próby w Holandii, opowiedziałem aktorom, o czym chciałbym zrobić spektakl. Zaproponowałem, żebyśmy drążyli takie a takie tematy. A oni, że to nie ma sensu, bo już sobie rozwiązali te problemy. – No to powinniście zamknąć teatry! – odpowiedziałem. Teatr ma swoją rolę do spełnienia właśnie wtedy, kiedy wokół jest dużo niedomówień, można grzebać w duszy. Przy czym temat Holocaustu każdy z nas musi przepracować indywidualnie. □

Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

Clubbing, „Trainspotting” i marketing zabijają nam dresing, dobro narodowe niszczą!

200 METRÓW OD BLOKU POSTAWILI mi billboard. Stalowy słup wbity w ziemię ogródków działkowych. I gigantyczna tablica ustawiona frontem do popularnego centrum handlowego. Na samotnym billboardzie długo nic nie wisiało, aż pojawiły się reklamy. Na jednej z nich Szyca, cztery aktorki i napis „Wojna polsko-ruska”. Pomyślałem tylko, że Masłowska – sądząc z zapatrywań wyrażanych w jej książkach i felietonach – nie byłaby dumna z lokalizacji. Ale coś mi ten plakat przypominał.

Następnego dnia zobaczyłem okładkę płyty z muzyką do filmu według Masłowskiej. A ponieważ okładki płyt łatwiej przychodzi mi skojarzyć, sięgnąłem na półkę. „Trainspotting”! Słowo, które z siebie wydusiłem, było jedynym elementem scenariusza idealnie łączącym „Wojnę polsko-ruska” i „Trainspotting”. Ktoś popisał się takim wyczuciem jak przy plakacie „Popiełuszki” wzorowanym na „Casino Royale”, który na jakimś angielskim forum uznano za gejowską parodię Bonda. Zachodni autorzy plakatów rzną na wszystkie strony (polecam przy okazji blog Plakaty.blox.pl – „Popiełuszkę”

autor zmienił paroma ruchami myszki w reklamę kozucha z koziej skóry za 149,99 złotego), ale w tym wypadku – przypomnę Nike, paszporty, te sprawy – mamy do czynienia z dobrem narodowym. Poza tym zobacz ten film – a przy okazji dowiedzą się o plakacie – dziennikarze i zwykli widzowie ze świata. I każ-



„Wojna...” ma też drugi plakat – bardziej oryginalny, ale z błędem w tytule

dy pomyśli, że to polska podróbka „Trainspotting”. Poza tymi, rzecz jasna, którzy pomyślą, że to podróbka rosyjska. Taki film dużo kosztuje. Częściowo za niego płacę za pośrednictwem Instytutu Sztuki Filmowej, nie buntując się, bo chcę, żeby nasza kinematografia brylowała w świecie. Ale tu wszystko wydano na światła, kamery i zmianę wizerunku Borysa Szycy. Na plakat zabrakło. Dlate-

go pewnie wianuszek kilkunastu sponsorów i patronów oraz resztki honoru polskiego kina doklejoną do chałupniczo zmontowanej wersji plakatu „Trainspotting”. Chciałem w to wierzyć, ale Tomasz Józefowicz z Film Media, producenta filmu, ogłosił w „Dzienniku”, że ta zbieżność to rzecz zamierzona, bo „Wojna...” jest – cytuję

– „dedykowana grupie, którą opanował »Trainspotting«”, a zatem twórcy „zastosowali podobne chwyt marketingowe”. Pewnie. Wejherowo to taki polski Edynburg. Dżem to muzyka polskich dresiarzy. Silny ma pewnie dużo z Harry’ego Pottera. A ponieważ bohaterowie są zagubieni, jest to także polskie „Lost”. I tak dalej.

Parę lat temu ukazała się jakaś marna podróbka Masłowskiej. „Dobrym pociąganiem marketingowym mogło być ukrywanie jej przede mną” – napisała wtedy autorka „Wojny...”. Teraz ignorowanie tego, co robią z jej książką, nie jest dobrym pomysłem. Bo za chwilę wyjdzie powtórnie z okładką wzorowaną na plakacie filmowym i cytatem: „Intrygująca polska wersja »Trainspotting« – »The Guardian«”. A potem trzeba „za-dedykować projekt innej grupie docelowej” i zmienić tytuł z „Wojny polsko-ruskiej” na „Wojnę PR”. □

POTOK



RYS. MARCIN MACIEJOWSKI



Droga do zatracenia

A skoro
o Afryce mowa
– jest już nowa,
ugandyjska książka
Jagielskiego.
Traktuje ona
głównie o dzieciach
żołnierzach
z szalonej Bożej
Armii Josepha
Kony'ego
i w warstwie
faktograficznej jest
porażająca, choć
styl czasem autora
zawodzi – m

Warszawa 2009,
s. 336. 39.90 zł

THE GREAT WALL OF CHINA
MICHAEL ONDAATJE
THE CANADIAN PRESS
ALFRED A. KNOPF

Brinkbauer pelen jest współczucia i zrozumienia dla Afrykanów, którzy każdego dnia odbijają się od coraz wyższych murów Ceuty czy Melilli, nie boi się emocjonalnego tonu zdradzającego zaangażowanie: zachowuje jednak proporcje między emocjami, obserwacją a faktami (za mistraza ma Ryszarda Kapuścińskiego, a swoją wyprawę do Afryki poprzedza wizytą w Warszawie u schorowanego już wówczas reportera). Dziennikarz podaje więc fakty, przytacza liczby (czy wiecie, że w 2005 roku na świecie było aż 191 milionów emigrantów, podczas gdy w 1970 roku 82 miliony?), choć jeszcze skuteczniej przemawiają do wyobraźni historie, takie jak ta o żonie jednego z dyktatorów, która zmarła w hiszpańskiej klinice po operacji odsysania tłuszczu. Taką śmierć w Afryce to nie tragedia, to czysta perwersja. Autor „Afrykańskiej odysei” dostrzega całą złożoność sytuacji, doskonale wie, że za rozpad i ubóstwo oraz korupcję w najbardziej ubogich regionach świata odpowiadają też ich mieszkańcy i nienasyчени władcy, wie, że nie każdy uchodźca to bohater. Mimo to uporczywie wraca do swoich pytań. Bo „kto decyduje o tym, że miejsce urodzenia ma być miejscem zamieszkania?”.

odczytają i podpiszą swoje liczne dzieła. Z zagranicy – a jednak! – przyjedzie mocna dwójka pisarzy, a będą to Claudio Magris (mocno od lat lansowany jako kandydat do Nobla) oraz świetny Czech Jiří Gruša, który jest przy okazji obecnym prezesem światowego Pen Clubu. Zjawi się także sławny (całkiem zasłużenie) amerykański autor kryminałów Jeffery Deaver. Wszystkie terminy i szczegóły na Arsopolona.eactive.pl. – *ms*

KOLEJNE MIĘDZY-
narodowe Targi Książki
w Warszawie zaczną się
w czwartek 21 maja (tradycyj-
ny dzień branżowy – zamknięty
dla publiczności) – między in-
nymi ogłoszeniem nominacji
do Nike i nagrody gdyńskiej
– a skończą w niedzielę
24 maja. Impreza odbędzie
się zasadniczo w Pałacu Kul-
tury, ale jej odnogi rozpełzna

REKLAMA

AUTOR W POLSCE!

PRZYJDŹ NA TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE
23 I 24 MAJA I ZDOBĄDŹ AUTOGRAF



Bez harf i trąbek

Jest w tej cholernej Ameryce coś takiego, czego nigdzie indziej nie ma – mówi Jakub Czubak, basista i wokalista grupy The Car Is On Fire, o nagrywaniu nowej płyty „Ombarrrops!”

ROZMOWA MARIUSZ HERMA

Jak to się stało, że wylądowaliście w Chicago w studiu Johna McEntire'a*?

Jakub Czubak: Rok temu nasz menedżer spytał: dlaczego by nie nagrać nowej płyty w Stanach? Wtedy nas olśniło. Słuchamy amerykań-

– Na nowej płycie jest surowo, lecz treściwie
– przekonują muzycy z The Car Is On Fire, gasząc nieco swój ogień

skiej muzyki i stamtąd wywodzi się większość naszych idoli. Siłą rzeczy ten kierunek wydał nam się naturalny. Pozostało tylko zdecydować gdzie i z kim.

Jak to rozstrzygnęliście?

– Przygotowaliśmy listę wszystkich producentów, którzy przyszli nam do głowy – od

Briana Eno po Maksa Tundrę. Później były rozmowy z nimi i okrajanie listy. Ostatecznie padło na Johna, którego cenimy i jako muzyka, i jako producenta. Wszystkie kawałki i aranże przygotowaliśmy już wcześniej, podczas wypadu w góry. Potrzebowaliśmy tylko człowieka, który pomoże nam je odtworzyć. W studiu nie było żadnej twórczej improwizacji, jedynie realizacja założeń.

Do czego był wam więc potrzebny McEntire poza ustawieniem mikrofonów?

– Dał nam nieograniczoną swobodę decydowania. Wszystko w studiu zależało od

nas, co oznaczało wielką odpowiedzialność, ale działało mobilizująco. Klawesyn i sitar, a może zwykła gitara i wibrafon? – decyzja należała do nas. John służył opinią, ale tylko wtedy, gdy o nią poprosiliśmy. Poza tym gdy zaczęliśmy nagrywać gitary na archaicznych fenderach, zrozumieliśmy, że w tej cholernej Ameryce jest coś takiego, co trudno nazwać, a czego nie ma gdzie indziej. Amerykański producent nie ogląda się na nikogo, sam jest dla siebie punktem odniesienia.

„Ombarrrops!” – skąd ten tytuł?

– Tytuł jest magicznym słowem. W języku Indian z Ameryki Południowej oznacza jaguara, który przed chwilą wyszedł z rzeki i jest dosyć wkurzony, jak to mokry kot. Podobno lepiej zostać ukąszonym przez jadłowatego węży, niż stanąć na drodze ombarrropsa... □



The Car Is On Fire „Ombarrrops!”, EMI, 34,49 zł

PRZY „OMBARROPS!” ZA SPRAWĄ takich refrenów, jak: „Don't Be Afraid”, „We're Doing Fine” czy „Let's Be Friends”, na pewno nabierzecie optymizmu. Trzyosobowe dziś TCIOF porzuciło wyrafinowane aranżacje i piętrowe chórki na rzecz siły bezpośredniego przekazu, zaś producent John McEntire, guru amerykańskiej alternatywy, odebrał im resztki polskości. Co w kontekście światowych ambicji zespołu (oprócz języka angielskiego pojawia się... włoski) wypada uznać za przysługę. – mh

Krem brzoskwiniowy Peaches i Tiga, sieroty po electroclashu, nie schodzą z parkietu

BARTEK WINCZEWSKI

Choć electroclash skończył się, zanim na dobre zdążył się rozkręcić, pionierzy gatunku trzymają się mocno. Najmocniej zaś rezydująca w Berlinie kanadyjska skandalistka Peaches, która z płyty na płytę konsekwentnie łagodnieje, mniej rzuca mięsem, gra coraz bardziej

Ta dziewczyna daleko zajędzie! Peaches do twarzy w błyszczących szatach królowej dyskoteki



TIGA „Ciao!”, PIAS, 70 zł



Peaches „I Feel Cream”, XL Recordings, 57,50 zł

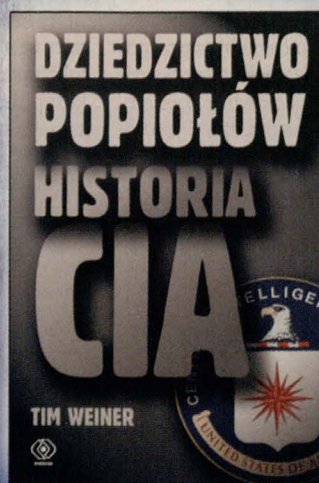
REKLAMA



Przemoc, brutalna walka, gwałt, bezwzględność – tak smakuje piekło! Zamieszki w więzieniu Green River stają się koszmarem nie tylko dla osadzonych. Najlepsza powieść o więzieniu, jaką kiedykolwiek napisano!

Zbrodnia w Bibliotece WP.PL

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. skr. poczt. 107, 60-959 Poznań 2, tel. 061 860 48 72, rebis@rebis.com.pl, www.rebis.com.pl



Pierwsza tak dobrze udokumentowana historia CIA. Prowadzi nas od powstania CIA w latach czterdziestych, przez okres zimnej wojny i upadku komunizmu, aż do 11 września, kiedy to po wieżach WTC o mało nie runęła i agencja.

Historia i literatura

MARIANNE J. LEGATO

DLACZEGO MĘŻCZYŹNI UMIERAJĄ PIERWSI



JAK PRZEDŁUŻYĆ SOBIE ŻYCIE

Korzystając z wyników najnowszych badań i doświadczeń trzydziestoletniej praktyki lekarskiej, autorka stawia czoło rozmaitym problemom zdrowotnym, które prowadzą do przedwczesnej śmierci mężczyzn.

MensHealth Charaktery INTERIA.PL

Trzeci Elvis

W kategorii **pieśni folkowych** „Elvis Perkins in Dearland” powalczy o tytuł płyty roku

TRZEBA MIEĆ TUPET, ŻEBY nagrywać płyty, posługując się imieniem Elvis – choćby i własnym. Perkins na szczęście jest nie tylko beczelny, ale i utalentowany. No i znacznie więcej niż wielkim imiennikiem (Presley i Costello) zawdzięcza

Bobowi Dylanowi oraz – nie da się nie iść tym tropem – własnej pokreśnionej biografii. Jest bowiem synem Anthony'ego Perkinsa, zmarłego na AIDS gwiazdora Hitchcockowskiej „Psychozy”, i Berry Berenson, fotografa, która zginęła w boeingu, który wbił się w jedną z wież WTC. Trudno o bardziej amerykański rodowód.

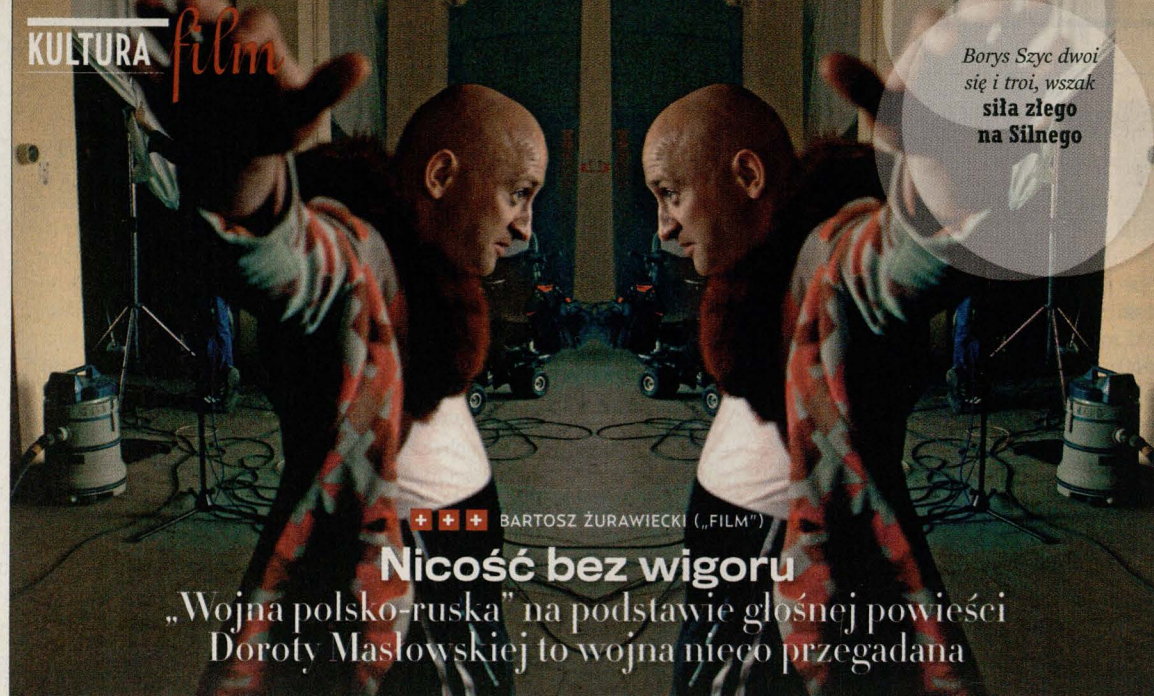
Skoro już o rodzinie mowa, nie mogą oprzeć się wrażeniu, że Elvis Perkins to brat bliźniak Devendry Banharta, który

– w odróżnieniu od twórcy „Cripple Crow” – prowadzi rodzinną farmę. Zgodnie z rytmem natury, ciężko tyrając od świtu do nocy. I tylko czasami tęskni za czymś, czego nie umie nazwać, więc upija się na smutno. Skrzykuje wtedy kumpli i grają. Zwykle ballady prowadzone przez gitarę i nieśmiało tętniącą w tle sekcję rytmiczną. Czasem odzywają się organy, to znów skrzypce.

Elvis Perkins „Elvis Perkins in Dearland”, XL Recordings, 58 zł

A kiedy ponosi ich fantazja, ryczą dęciaki i klimat robi się jak w Nowym Orleanie na pogrzebie. Albo na weselu, kto by to odróżnił. – js





Borys Szybczyński
się i troi, wszak
siła złego
na Silnego

+++ BARTOSZ ŻURAWIECKI („FILM”)

Nicość bez wigoru

„Wojna polsko-ruska” na podstawie głośnej powieści Doroty Masłowskiej to wojna nieco przegadana

Po obejrzeniu „Wojny polsko-ruskiej” wypada powtórzyć za Hamletem: „Słowa, słowa, słowa...”. Literatura zdominowała kino, które nie umiało zrzucić jej ciężaru i wybić się na niepodległość. Charakterystyczna dla książki Doroty Masłowskiej gra językowymi i myślowymi kliszami to jednocześnie za dużo i za mało, by zbudować z tego film.

Za dużo, bo bohaterowie głównie gadają. A nawet gędzą. Dojmujące jest to zwłaszcza w pierwszej, statycznej, przyciężkiej i właśnie przegadanej części „Wojny...” dziejącej się w domu dresiarza Silnego (Borys Szybczyński). Potyczki nadwiślańskiego macho z kolejnymi dziewczynami, emodzieńców Andżelą (Maria Strzelecka) i ostrą Nataszą, wielbicielek wciągania zupek w proszku (Sonia Bohosiewicz), utrzymane są w grepsarskiej konwencji telewizyjnych kabaretów, a aktorzy grają tak, jakby występowali w sitcomie o współczesnej młodzieży.

Film nieco rusza z kopyta, gdy Silny wreszcie opuszcza swoje lokum. Nadal jednak dynamiczne filmowo fragmenty (choćby walki bohatera z uczestnikami festynu czy Lewym) przeplatają się z kolejnymi odsłonami szkolnego teatryku absurdu (np. sekwencja z cnotliwą lubieżnicą Olą).

Stanowczo natomiast za mało jest w filmie... fabuły. Tak, opowieści, która wciągnęłaby widza w świat przedstawiony na ekranie. Trudno za taką uznać zapis cierpień Silnego porzuczonego przez dziewczynę Magdę (Roma Gąsiorowska). Skoro plakat „Wojny...” tak nachalnie nawiązuje do filmu „Trainspotting”, to chciałbym przypomnieć, że u Boyle’a mieliśmy sensacyjną historię, a i za głównego bohatera ćpuna trzymało się kciuki. Tymczasem Silny mimo aktorskiego impetu Szybczyńskiego nie może po prostu przelonić faktu, że zwyczajnie brakuje temu filmowi energii i wigoru. □

stolatki Doroty (w tej roli sama Masłowska). Kto by się tam przejmował zwiadami?!

Oczywiście wszystko już było, więc nic nie ma. Jesteśmy tylko pojemnikiem na klisze, szablon i inne śmieci. Powtarzamy zasłyszane hasła, wyuczone gesty, przeżuujemy cudze myśli. Polska – kraina ludzi nieautentycznych, z napompowanymi mięśniami i nadmuchiwanym ego. Zgoda. Ale nicość też trzeba umieć sugestywnie pokazać. Zwłaszcza nicość. Tymczasem w „Wojnie polsko-ruskiej” bije po oczach i głowie jedynie kilka ujęć, niektóre sceny (moja ulubiona to ta ze spadającymi panelami). Wielkość zastosowanych sztuczek (efekty komputerowe, subiektywna kamera, migające kolory, ludzie fruujący jak w „Matriksie” itd.) nie jest w stanie przesłonić faktu, że zwyczajnie brakuje temu filmowi energii i wigoru. □

„Wojna polsko-ruska”,
reż. Ksawery Żulawski, Polska 2009,
ITI-Cinema, 108', premiera 22 maja

warp, tym razem goniąc iluminatów. Bractwo chce zniszczyć Watykan, używając do tego antymaterii (czym jest antymateria i dlaczego jest taka droga – czytaj na s. 48). Właściwie iluminacji i Langdon to koledzy po fachu – ich religią jest nauka, przez

co są na wojennej ścieżce z Kościołem katolickim. Dlatego ich starcie przypomina grę w podchody członków jednego koła naukowego. Nie szkodzi – teoria jest klawrownie wyłożona, możemy biec razem z nimi i przy okazji poznać Rzym i Watykan. Choć władze tego ostatniego

nie wpuszcili ekipy, niechętnie tezom z książek Browna (film obszedł się z Kościołem łagodniej), twórcy ominęli zakaz, udając turystów. Tak zebrany materiał przetworzyli cyfrowo na potrzeby scen, na przykład na placu Świętego Piotra. Nauka versus religia: 1:0. – sol

„Anioły i demony”,
reż. Ron Howard, UIP,
138', premiera 15 maja

Langdon
(Tom Hanks)
triumfuje

Siedź i patrz

JAKIE MADRAŁY

Kujony w akcji!

Zabawny sitcom
o genialnych fizykach

Policzą w pamięci złożone równanie, zamrozą strumieniem ciekłego azotu banana, którego nie mogą inaczej rozdrobnić, a w świecie powieści fantastycznej i science fiction poruszają się zwinnie jak pantery. Oni, zupełnie osobny gatunek człowieka, homo kujonus – Leonard i Sheldon.

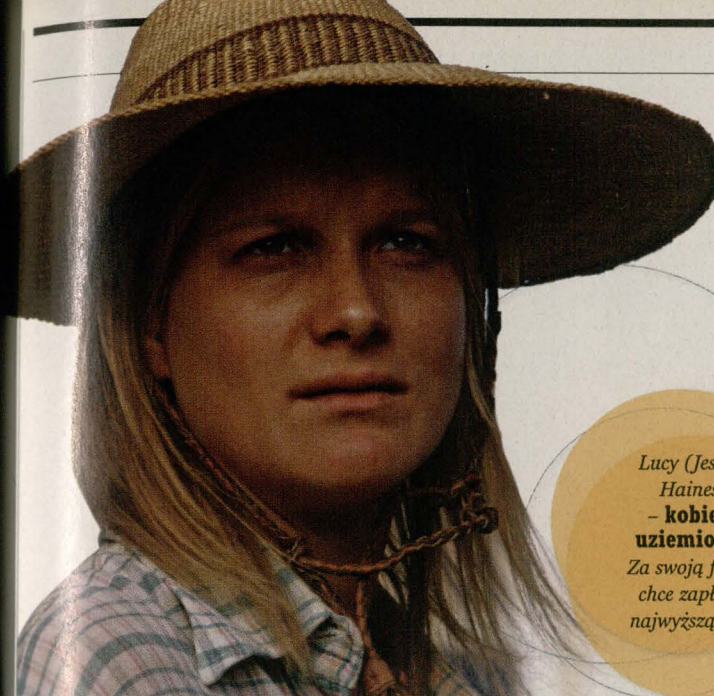


Z teorii ich nie zagrzebie. Gorzej z praktyką. Umówienie się na randkę z pewną blondynką okazuje się bardziej skomplikowane niż budowa zderzacza hadronów. Przez całą serię źródło komizmu jest w zasadzie jedno – zderzenie kujonów ze światem ludzi przeciętnie inteligentnych. I wydaje się ono niewyczerpane. No i pora na największą zaletę serialu: mimo wysiłków wielu nauczycieli dopiero tych dwóch panów od fizyki przekonało mnie, że naukowcy mogą być zabawni. – sol

„Teoria wielkiego podrywu”, reż. Mark Cendrowski, Galapagos, 401', 102,99 zł

Chilli ZET

Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl



„Hańba”,
reż. Steve Jacobs,
Australia/
RPA 2008, 119',
premiery 22 maja

Lucy (Jessica
Haines)
– kobieta
uziemiona?
Za swoją farmę
chce zapłacić
najwyższą cenę

+++ MAŁGORZATA SADOWSKA

Gwałt, co się gwałtem odcisnął

„Hańba” jest filmem, którego tajemnice można odkrywać jeszcze długo po wyjściu z kina

Wstyd wywołany niegodziwym czynem – tak słowo „hańba” definiuje słownik. Cóż, niegodziwych czynów w filmie Steve’a Jacoba nie brakuje, choć ze wstydem bywa różnie. Ekranizacja książki noblisty J.M. Coetzee’go niewiele ustępuje literackiemu pierwowzorowi, co stwierdzam z ulgą, bo „Hańba” to rzecz

piekielnie trudna do sfilmowania. Choć na pozór konwencjonalna.

Jej głównym bohaterem jest 52-letni profesor uniwersytetu w Kapsztadzie David Lurie (kapitałny John Malkovich, o którym piszemy na s. 42), znawca poezji romantycznej, który w sposób odległy od poetycznego uwodzi swoją studentkę. Sprawa wychodzi na jaw, upoko-

rzony mężczyzna opuszcza uczelnię i wyjeżdża w głąb interioru do córki, lesbijki Lucy (Jessica Haines), która uporczywie trzyma się kawałka spalonej słońcem ziemi. Wkrótce zostanie tu nadpnięta – i co wielu wyda się zupełnie niepojęte – nadal nie będzie chciała wyjechać.

Jacobowski udało się ocalić obecną w książce atmosferę tajemnicy. Nienachalnie i nigdy do końca (to już robota dla widzów!) odsłania kolejne warstwy opowieści, a może tylko je sugeruje. Rzecz dzieje się przecież w RPA, której mieszkańcy doświadczyli od białych wielu cierpień. Może więc Lucy gotowa jest zapłacić za tamte krzywdy? Za Coetzee’em australijski reżyser obnaża mechanizm gwałtu, który jest narzędziem męskiej władzy i kontroli – może więc wyrafinowany Lurie niczym nie różni się od czarnoskórych bandytów? „Hańba” to rzecz o dzieciach płacących za grzechy ojców. Ale też o nieprzeniknionych i nieprzekraczalnych kulturowych różnicach. O winie, wstydzie, starości, ale przede wszystkim o współczuciu. Bo tylko ono może uratować nas od hańby. □

„Nazywam się Moore. Roger Moore” to tytuł autobiografii byłego Bonda i Świętego. Nie licząc jednak na ekscytującą lekturę – to bezbarwne sprawozdanie z kariery. „Fajnie być sławnym” – pisze Moore. I to cała refleksja nad życiem i aktorstwem, na jaką go stać.



REKLAMA



Zosia Klepacka
Mistrzyni Świata Windsurfingu

Wyspa na cały rok



Love Cyprus



Arthur Doyle pochodził z ubogiej szlacheckiej rodziny. Jego ojciec był alkoholikiem, pracował jako rysownik w sądzie. Doyle był bardzo związany z matką. „Conan”, które pisarz dodał do swojego nazwiska, pochodzi od nazwiska stryjecznego dziadka, który trzymał go do chrztu

KRYMINAŁ OLGA WOŹNIAK

CONAN NIEWOLNIK

MARZYŁ O ZOSTANIU POLITYKIEM, SZUKAŁ SENSU ŻYCIA (I ŚMIERCI) W KONTAKTACH Z ZAŚWIATAMI I ŻYŁ W TRUDNYM ZWIĄZKU Z GENIALNYM EKSCENTRYKIEM, KTÓRY WYSZEDŁ Z JEGO GŁOWY – ARTHUR CONAN DOYLE

Sala londyńskiego Albert Hall pękała w szwach. Na ceremonii pożegnania znanego pisarza Arthura Conan Doyle’a zjawili się blisko 10 tysięcy żywych i Bóg wie ilu umarłych. Ba, jak okazało się później, przybył na nie nawet sam Conan Doyle. Było to bowiem – według relacji obecnego tam reportera „Time’a” – spotkanie dość osobliwe.

„Śmierć Arthura Conan Doyle’a, która nastąpiła dwa tygodnie temu – pisał dziennikarz „Time’a” w lipcu 1930 roku – dla wielu osób stała się testem wiary – głoszonej przez spirytystów, których sir Doyle był zagorzałym orędownikiem – w życie po śmierci. Jakkolwiek za życia pisarz nie obiecał przesłać żadnej wiadomości z zaświatów, jego rodzina i inni spirytyści oczekują, że to uczyni”.

Jednak mimo że media w Europie i Stanach Zjednoczonych zaczęły raportować otrzymanie wiadomości od słynnego zmarłego pisarza, rodzina podchodziła do tych rewelacji ostrożnie. Lady Doyle wysłała nawet stosowny komunikat do prasy, w którym informowała, że jakkolwiek wiadomość pochodząca rzekomo od jej męża nie jest prawdziwa i żadna nie może być publikowana bez jej osobistej zgody.

Trudno zatem się dziwić, że gdy rodzina postanowiła urządzić oficjalne pożegnanie Arthura Conan

Doyle’a, przybyły na nie tłumy. W Albert Hall zasiedli fani Sherlocka Holmesa, przyjaciele, sceptycy i kwiat brytyjskiego spirytyzmu.

Znany fizyk sir Oliver Lodge (pionier komunikacji bezprzewodowej, wynalazł głośnik z membraną, który opisał jako krzyżący telefon, a do tego był zapoznanym spirytystą), który z powodu kłopotów ze zdrowiem nie mógł osobiście przybyć na spotkanie, wysłał telegram: „Wierzę, że nasz brat wielkiego serca będzie wciąż toczył swą kampanię po drugiej Stronie zasłony większą wiedzą i mądrością. Sursus Corda!”.

Profesor Moriarty i Sherlock Holmes w śmiertelnej walce. Za chwilę obaj wpadną do wodospadu



Na scenie zasiadła rodzina zmarłego – Lady Doyle w otoczeniu dzieci: dwóch synów i dwóch córek. Przed nimi oznaczone nazwiskiem pisarza stało puste krzesło. Po licznych przemowach i owacjach na scenie pojawiła się Estelle Roberts, jasnowidzka. Szybko weszła w trans, twierdząc, że chce z nią rozmawiać pięć duchów. Nagle spojrzała na puste krzesło Doyle’a i krzyknęła: – On tu jest! Ubrany w wieczorowy strój.

Lady Doyle podeszła do niej, a medium powiedziało: – Zdradził mi, że dziś rano ktoś wszedł do szopy w naszej posiadłości. Czy to prawda?

– Tak – szepnęła lady. Na sali zapanował hałas. Niektórzy wstali i oburzeni zmierzali w stronę drzwi.

Estelle Roberts kontynuowała: – Przekaz jest taki: powiedz Mary... – jej głos przeszedł w szept słyszalny tylko przez najbliższe zgromadzonych. Tłum nie dowiedział się niczego więcej.

Adrian Doyle komentował później w jednej z gazet: – Duch przeszedł test. Jednak wiadomość była bardzo intymna i nie może zostać upubliczniona.

Nikt nie zdawał sobie wtedy sprawy, że Conan Doyle’a życie po życiu dopiero nabiera rozpędu.

(Morderstwo dla ambicji)

Dziś, w 150. rocznicę urodzin pisarza, on sam i jego literacki bohater Sherlock Holmes są prawdziwymi ikonami popkultury. Trudno zliczyć dzieła, które czerpały inspirację z przygód londyńskiego detektywa (jedno z ostatnich to kultowy serial „Doktor House”, którego fani prześcigają się w odnajdywaniu licznych analogii pomiędzy Holmesem a House’em). Trudno wyliczyć książki czy filmy, w których pojawia się postać samego pisarza. Dość stwierdzić, że gdyby rzeczywiście mógł on przemówić z zaświatów, uznałby to niechybnie za totalną porażkę. Ostatnią rzeczą bowiem, z której chciał zasłynąć wśród potomnych Arthur Conan Doyle, jest cykl o Holmesie. →



Arthur Conan Doyle z medium **spowity ektoplazmą**. Zdjęcie z modnego w owych czasach seansu spirytystycznego

→ Pisarz miał o wiele większe ambicje. Chciał pisać o historii, polityce, chciał się dostać do parlamentu (to ostatnie mimo trzech prób kandydowania nigdy mu się nie udało). Dla tych planów gotów był nawet popełnić morderstwo.

Miejsce zbrodni obmyślił podczas wycieczki do Szwajcarii. Wybrał na nie wodospad Reichenbach. To tutaj z pomocą geniusza świata przestępczego profesora Moriarty'ego utopił Sherlocka Holmesa. Całą historię opisał w wydany w grudniu 1893 roku opowiadaniu „Ostatnia zagadka”.

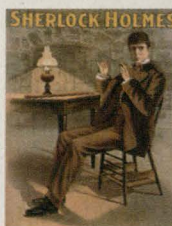
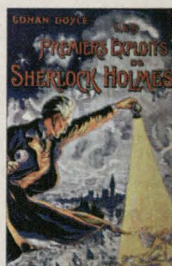
(Rozpętało się piekło)

20 tysięcy osób na znak protestu zrezygnowało z prenumeraty „The Strand Magazine”, pisma, które drukowało opowiadania Conan Doyle'a. Wielu fanów ekscentrycznego detektywa założyło na rękawy czarne żałobne opaski.

Pisarz był nieugięty. W owym czasie mógł sobie na to pozwolić. Był już naprawdę zamożnym człowiekiem. Bez żalu porzucił praktykę lekarską, która w zasadzie nie przynosiła mu dochodu, i pogodził się z myślą, że swą rodzinę będzie utrzymywał z pisarstwa. A trzeba przyznać, że wydatki miał spore: dwoje dzieci i żona, u której zdiagnozowano gruźlicę. W czasach, w których o antybiotykach nikt jeszcze nie słyszał, zabrzmiało to jak wyrok śmierci.

Conan Doyle nie zamierzał się poddawać. Dzięki troskliwej opiece przedłużył życie swojej żony (która stała się przez to dla niego raczej pacjentką niż partnerką) o dobrych kilka lat. Mniej więcej w tym właśnie czasie zaczyna się także jego wielki romans ze spirytyzmem, który przybierze na sile po I wojnie światowej, podczas której pisarz utracił wiele bliskich osób.

Czy to nie traci absurdem, że umysł, w którym narodził się racjonalny, zimny intelektualista Sherlock Holmes, urzędkowała wiara w zjawiska paranormalne? Z dzisiejszego punktu widzenia na pewno tak.



Wizerunek Sherlocka Holmesa stworzył rysownik Sydney Paget. Jako **modela wykorzystał swego brata Waltera**



Sir Doyle interesował się nowinkami technicznymi. Podczas wizyty w USA **zapoznał się z radiem**. Tu razem z F.D. Wallerem, wiceszefem John Firth & Company Radio Corporation of New York

By jednak właściwie to zrozumieć, trzeba zdać sobie sprawę, czym był spirytyzm pod koniec XIX wieku – w czasach pozytywistycznej pochwały rozumu i prężnego rozwoju nauk ścisłych.

(Naukowy mistycyzm)

Był to okres rozwoju technologii, budowy maszyn. Filozofowie i etycy widzieli w tym jednak zagrożenie. Obawiali się, że ludzkość, idąc tą drogą, utraci swą duchowość. Ludzie zaczęli przypominać maszyny – ostrzegali. Uważali, że nie wolno zaniedbywać rozwoju duchowego. Byli też i tacy, którzy usiłowali znaleźć równowagę między duchem a materią, próbując metodą naukową pojąć naturę zjawisk mentalnych. Ta idea porwała naprawdę światłe umysły. Spirytyzmem pasjonowali się między innymi Piotr Curie, psycholog William James, ewolucjonista Alfred Russel

Wallace. Założyciel ruchu spirytystycznego Allan Kardec (wykładał matematykę, fizykę, chemię, astronomię, fizjologię, anatomię porównawczą i język francuski) deklarował nawet stanowczo, że „spirytyzm będzie naukowy albo nie będzie go wcale”.

Trudno się więc dziwić, że Conan Doyle – z zamiłowania naukowiec – dał się uwieść tej idei. Ba, jego koledzy od wirujących talerzyków i ektoplazmy okrzyknęli go wręcz świętym Pawłem spirytyzmu – tak wiele zrobił i napisał w tej dziedzinie. Jego druga żona Jean Elizabeth (z którą łączyło go gorące uczucie jeszcze za życia Louise, jednak dopóki ona żyła – przez dziewięć lat – związek ów był jedynie platoniczny) okazała się nawet zupełnie zdolnym medium.

Doyle wsiąkł w mistykę. Nie pomogły próby przekonywania go przez słynnego iluzjonistę Harry'ego Houdiniego, który poświęcił się de-



Conan Doyle sam był niezwykle aktywnym sportowcem. **Grał w golfa, krykieta, uprawiał boks**. W tym maratonie jednak nie biegł, tylko go obserwował (to ten pan po prawej)

maskowaniu spirytystycznych oszustów i naciągaczy. Conan Doyle próbował go nawet nawrócić. W seansie z Jean Elizabeth postanowił przywołać zmarłą matkę Houdiniego. Medium mówiło, że widzi zmarłą, która błogosławi wszystkich znakiem krzyża świętego.

Houdini bardzo się wzburzył: „Moja matka była żydówką!” – wykrzyknął i tak skończyła się jego przyjaźń z Doyle'em. Tego drugiego to jednak nie zniechęciło.

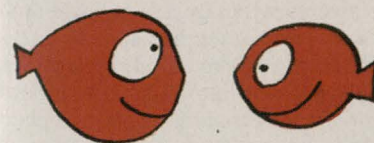
Spirytyzm nie był zresztą jego jedyną rozrywką intelektualną.

Conan Doyle interesował się także niezwykle wówczas modną i świeżą teorią ewolucji. Mówi się nawet, że miał swój udział w stworzeniu jednego z najgłośniejszych fałszerstw naukowych wszech czasów – szczątków człowieka z Piltown.

Odnalezione w 1912 roku przez Charlesa Dawsona – archeologa amatora – szczątki opisywano wówczas w literaturze fachowej jako „brakujące ogniwo” między małpą a człowiekiem. Jak ulał pasowały do dominującej wtedy teorii, że gatunek taki powinien mieć czaszkę podobną do ludzkiej i małpią szczękę.

Dopiero w 1953 roku ostatecznie udowodniono fałszerstwo, choć jedno się zgadzało: „człowiek z Piltown” faktycznie był pół człowiekiem, pół małpą. Trudno, by było inaczej, skoro górna część czaszki należała do średniowiecznego mieszkańca Ziemi Ognistej – jak najbardziej człowieka – żuchwa zaś pochodziła od anonimowego orangutana z Borneo. Ozdobiono ją zaś kopalnym zębem szympansa. Znaleźisko wyglądało na stare →

REKLAMA



JUŻ W SPRZEDAŻY
WYDANIE SPECJALNE DLA NAJMŁODSZYCH
„GRY I ZABAWY DLA DZIECI”

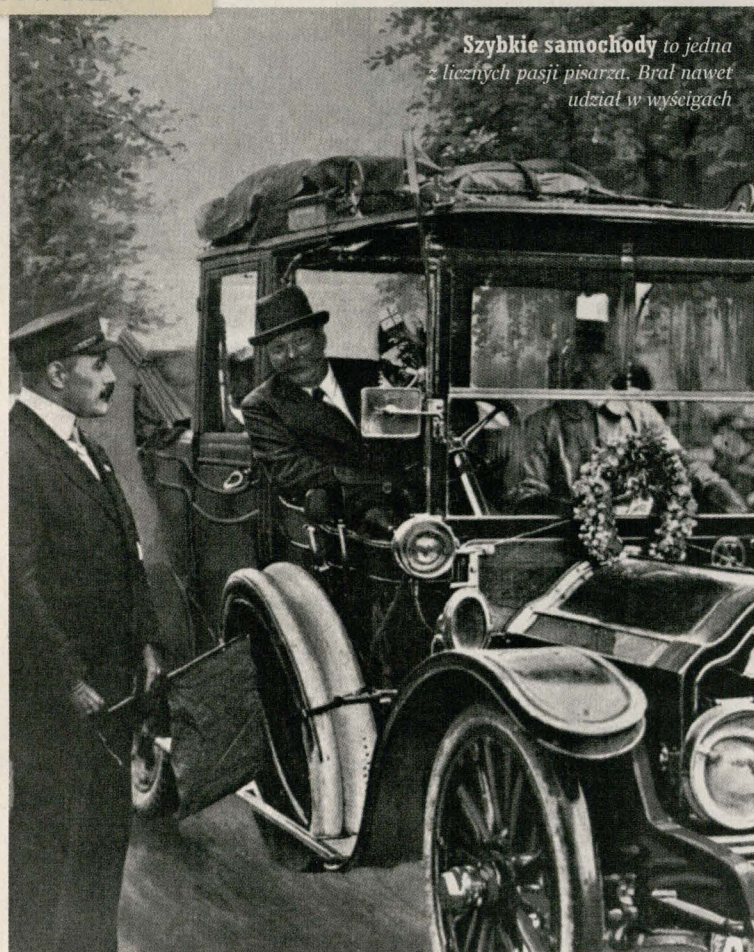
a w nim: zgadywanki, rebusy, krzyżówki, wyteż wzrok, kolorowanki, wierszyki.

Wydania
„GRY I ZABAWY DLA DZIECI”
szukaj we wszystkich punktach sprzedaży
na terenie całej Polski.



www.przekroj.pl



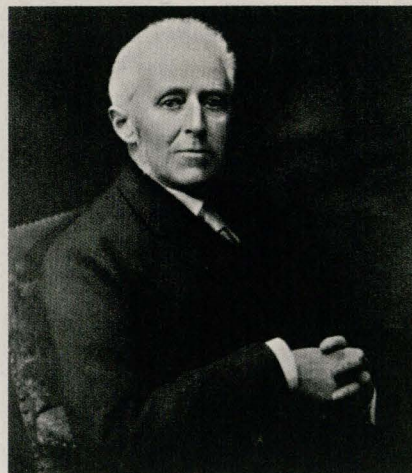


Szybkie samochody to jedna z licznych pasji pisarza. Brał nawet udział w wyścigach

KRÓL EDWARD VII UMIEŚCIŁ CONAN DOYLE'A NA LIŚCIE **NOMINOWANYCH DO SZLACHECTWA**, BY NAMÓWIC GO DO OPISANIA DALSZYCH PRZYGÓD SHERLOCKA HOLMESA



W 1912 roku nieopodal miejsca, w którym mieszkał Conan Doyle, odkryto szczątki tak zwanego człowieka z Piltown. **To mistyfikacja złożona z kości ludzkich i małpich.** Pisarz był podejrzany o udział w oszustwie



Joseph Bell był nauczycielem Doyle'a w akademii medycznej w Edynburgu. **Pierwowzór Sherlocka Holmesa** zaskiwał wszystkich zmysłem obserwacji i umiejętnością dedukcji. Potrafił postawić trafną diagnozę, zanim pacjent w ogóle otworzył usta

→ dzięki kąpeli w roztworze żelaza i kwasu chromowego.

Arthur Conan Doyle był jednym z podejrzanych o wykonanie tej podróbki. Dowodzić tego miały rozmaite fragmenty wydanej w 1912 roku słynnej książki Doyle'a „Zaginiony świat” – powieści przedstawiającej całkowicie odizolowany od świata płaskowyż, na którym przetrwały żywe prehistoryczne istoty: dinozaury i małpolidy (jako żywo przypominające człowieka z Piltown).

(Holmes powraca)

Mimo rozmaitych prób oderwania się pisarza od Sherlocka Holmesa ten nie pozwolił o sobie zapomnieć. Pod naciskiem fanów, jak również z powodów czysto merkantylnych, w 1901 roku Doyle „ożywia” detektywa.

Rok później król Edward VII nadaje Conan Doyle'owi tytuł szlachecki. Oficjalnym uzasadnieniem jest służba krajowi w afrykańskich wojnach burskich, w których literat – jako lekarz frontowy – brał udział (zaciągnął się na ochotnika). Doyle napisał potem wielkie dzieło, w którym gloryfikował udział Wielkiej Brytanii w walkach przeciw Burom (afrykańskim potomkom holenderskich osadników z XVII wieku). Plotka głosiła jednak, że król był tak wielkim fanem Sherlocka Holmesa, iż umieścił nazwisko Doyle'a na liście osób nominowanych do szlachectwa, by namówić go do opisania kolejnych losów detektywa. Jaki był w tym udział Jego Królewskiej Mości – nie wiadomo, dość powiedzieć, że w 1903 roku „The Strand Magazine” rozpoczyna publikację opowiadań pod wspólnym tytułem „Powrót Sherlocka Holmesa”.

Sir Doyle żyje dostatnio: gra w golfa, prowadzi szybkie (jak na owe czasy) samochody, lata dość archaicznymi jeszcze aeroplanami i spędza czas na budowaniu tężyzny fizycznej. W 1907 roku, po odbyciu rocznej żałoby po swej żonie, ponownie staje na ślubnym kobiercu, żeniąc się ze swą sekretną miłością Jean Leckie. Z tego związku narodzi się troje dzieci.

Ciemne chmury nad życiem Doyle'a przynosi dopiero I wojna światowa i epidemia grypy hiszpanki: wtedy giną między innymi jego syn (ranny na froncie zaraża się grypą) i siostrzeniec. W 1929 roku u Conan Doyle'a rozpoznana zostaje choroba niedokrwienna serca, w wyniku której rok później twórca umiera na zawał.

Następne spotkanie świata żywych z genialnym pisarzem, niewolnikiem ekscentrycznego detektywa, ma miejsce w Albert Hall w lipcu 1930 roku. No, ale o tym już przecież pisałam...

PRZEWODNIK KONCERTOWY
wydanie specjalne
PRZE KROJ
2009
maj-wrzesień

Lato muzycznych FESTIWALI

Cena: 6,99 zł
(w tym 7% VAT)
Wydanie specjalne 1/2009
ISSN 1895-9936 0.3
9 771895 993906

Wiesz co dobre
...to program rekomendacji kulturalnych Skody, skierowany do ludzi takich jak Ty, pewnych siebie, niezależnych i konkretnych. Ludzi, którym nigdy nie brakuje pomysłów i dlatego nie lubią tracić czasu. Nasze propozycje kulturalne pomogą Ci dobrze wykorzystać swój czas wolny. Przy wyborze kieruj się jednak własnym gustem.
Przebież sam najlepiej wiesz, co dobre...

Wiesz co dobre!

Smooth Festival
Selector Festival
Glinne Port Poznań
Szczecin Rock Festival
Munich Genera
Warsaw Summer Jazz Days
Open'er Festival
Brave Festival
Eko Union of Rock
Radio Jazz Festival
Rock Out Festival
Boogie Brain
MTV Gdańsk Dwójka Muzyka
Jarecin
Hunter Fest
Castle Party
Przystanek Woodstock
Mafija Festival
Off Festival
Cladivero
Ostroda
Coke Live Music Festival
Nowa Muzyka
Soundedit
Orange Warsaw Festival
Sacrum Profanum

www.przekroj.pl

Wydania specjalnego „Lato muzycznych festiwali” szukaj w najlepszych punktach sprzedaży na terenie całej Polski

PRZEWODNIK KONCERTOWY
Już w sprzedaży

A w nim:

- kalendarium wakacyjnych imprez muzycznych
- obszerne opisy koncertów
- wywiady z artystami
- historia letnich festiwali
- poradnik praktyczny: jak przeżyć festiwal
- przydatne telefony, adresy www

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

ŁADNE RZECZY O CIASTKACH
W KSZTAŁCIE PTAKÓW, KRZYŻÓWKA
O TWARDYM CZŁONKU (RADYKAŁ),
A SZARY O LANSIE CZŁONKÓW
ŚWIATA SZTUKI

KONKURS

Uwaga, konkurs!!! Czytaj „Przebiegi” i wygraj! Gdzie można znaleźć na redakcję? Osoba, która jako pierwsza wyśle prawidłową odpowiedź na adres rozrywka@przekroj.pl, otrzyma książkę Mario Puzo „Słońce grobów Monachium”. Odpowiedź z zeszłego tygodnia: według Lichtenberga nie możemy wiedzieć, czy nie przeżywamy w domu wariacji.

Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Sztuka lansu, lans sztuki

CZTERDZIESTKA NA KARKU, a sukcesów zero – mówiła obwisła twarz pana Fioletowego, podczas gdy jego usta przebiegały coś o trudnym życiu genialnego, ale niezrozumianego twórcy teatru. Ponieważ Szary lubił Fioletowego, zdradził mu sekret powodzenia u krytyków i publiczności. – Sukcesu nie zdobywa się dziś przez skupienie na twórczości – tłumaczył Szary – ale na lansowaniu swojej osoby tak, by stała się modna, poruszeniu modnych tematów i, ostatecznie, opakowaniu ich w modną formę. Przestrzegaj poniższego dekalogu, a osiągniesz sukces:

1. Pamiętaj, by pod żadnym pozorem nie przyjmować dyrektorskiego stołka w dużym stołecznym teatrze! Czerwone fotele odstraszą undergrou-

stalowo-lustrzaną scenografię i współczesne stroje, które pozwolą recenzentom stwierdzić, że akcja toczy się „poza czasem”, a jednocześnie „tu i teraz” i że Szekspir jeszcze nigdy nie był tak boleśnie współczesny. 4. Aktorzy powinni zamasyżystymi ruchami przesadnie malować sobie usta (a potem rozmazywać szminkę), co ma symbolizować ich szaleństwo, oraz zdejmować peruki, by obnażyć uludę teatralnego świat(ka). Ważki temat transgresji osiągamy przez przebijanie mężczyzn za kobiety (i vice versa), a temat Holocaustu przez rozrzucanie

rekwizytów oraz umazanie wszystkiego w czerwonej farbie (krew ofiarna). 5. Jeszcze przed premierą powinienes stworzyć wrażenie, że TO BĘDZIE WY-

DARZENIE. Wiadomo, recenzji nikt nie czyta, więc ważne, by już wcześniej media zaznaczyły, że mamy do czynienia z czymś wielkim.

6. Twoi aktorzy powinni mieć rozpoznawalne twarze, na co dzień pić wódkę w Café Kulturalna. Na premierze powinna zjawić się „cała Warszawa”, by publiczność nie miała wyboru i by zgodnie stwierdziła: TO BYŁO WYDARZENIE. Kilka miesięcy potem udzieli wywiadu rzeki w serii „Krytyki Politycznej” na ważki temat Holocaustu lub transgresji. Fioletowy pobiegł realizować plan, a Szary pomyślał, że już wkrótce, podczas Eurowizji Lansu, usłyszy werdykt: „Mon-sieur Fioletowy, dix points” (w wolnym tłumaczeniu: Fioletowy to geniusz!).



Dzień Miśka, psy wyborów

Od kryminału do polityki i z powrotem. Thriller.

W roli głównej Michał Kamiński

ROMAN KURKIEWICZ

FREDERICK NIE PAMIĘTAŁ JUŻ, KTO MU TO POWIEDZIAŁ. ALE wiadomość, że jakiś Polak dokonuje wiernych rekonstrukcji jego książek czy raczej ich kluczowych scen, poruszyła go niemal tak jak taniec kostek lodu w jego szklaneczce z ulubioną 45-letnią whisky. Frederick zaczął podpytywać tu i ówdzie. Dawne kontakty wciąż działały. Jakiś emerytowany oficer MI6 podrzucił mu trop. Podobno poszukiwany Polak w wolnych chwilach między rekonstrukcjami a kolacjami widywany był w europarlamentach. Kolejny stary informator potwierdził, swego czasu był on nawet europoseł, ale obecnie zajmuje się kimś ważnym w swoim kraju. Frederick, jeśli nawet zapominał na jakiś czas o tym ekscentryku, gro-

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



LEWO MYŚLNIE

ŁADNE RZECZY!

OLA SALWA

Słodkie oblicze kryzysu

Jedzenie i pogoń za modą się wykluczają. Czyżby?

TOREBKA ALEXANDRA MCQUEENA, koktajlowa sukienka Oscara de la Renty, czerwone bikini Diora. Niejedna fashionistka, zwłaszcza obdarzona konwencjonalnym gustem, miałaby apetyt na trochę z tych luksusowych dóbr. W czasach kryzysu*

coraz mniej wielbicieli mody stać na takie szaleństwo, więc głód marek kompensują sobie, kupu-

jąc zamiast bikini pomadkę czy tusz Diora (to tak zwany efekt szminki). Propozycję dla wyposzczonych snobów ma też londyński hotel Berkeley wyraźnie zainspirowany myślą

jednej z pierwszych wielbicielek mody, królowej Marii Antoniny. W nowej wersji brzmi ona mniej więcej tak: nie stać ich na luksusowe przedmioty? Niech zjedzą upieczone na ich podobieństwo herbatniki! Polane kolorowym lukrem albo posmarowane owocowym mussem osłodzą niefortunną sytuację ekonomiczną... Pozostaje tylko problem, który zresztą od studentów nie wychodzi z mody – jak tu zjeść ciastko i mieć ciastko?



Jeśli nie jesteś fanem mody, możesz osłodzić sobie życie ciastkami w kształcie ptaków

Inna propozycja z cyklu „uwielbiasz obwieszać się metkami, ale (chwilowo) cię nie stać” – ekologiczna lampa polskiego duetu Pink Pug Design. Zamiast abażuru mamy tu odcięte od ubrań metki kilkunastu różnych firm

MYŚLNIE

Bij się z myślami, licz ze słowami, pogódź z faktami.

Krzysztof Bilica

madził spływające swoim rytmem na czas informacje. Jego ciekawość trafiała na nowy, świeży grunt. Podobno Mike (tak miało brzmieć imię tajemniczego Polaka) potrafił śladem bohatera „Dnia Szakala” kupić arbuzy, siatkę i jechać kilka godzin, gdzieś w głęboki las, żeby ustawić i zacementować celownik sztucera. Celować ze 150 metrów do arbuza z wyciętymi oczyma i szerokimi, mięsistymi ustami. Podobno jednak nie strzelał na prawdę. Nacinając oczy arbuza, zawsze trochę pokosztował. W końcu zostawały mu same skórki.

Kiedy indziej znajomy trener sztuk walki wspominał Frederickowi o dziwnym adepcie jego zajęć. Chciał ćwiczyć tylko jedno uderzenie, mniej więcej odpowiadające

opisowi tego, którym Szakal za-bił poderwanego w Paryżu pederastę (słowa gej nie używał). Lubiał towarzystwo dojrzałych hrabin. Bywał w Afganistanie, lutował beczki, takie, w jakich przemycano schmeisery w „Psach wojny”, jeździł na motorze jak sowiecki agent w „Czwartym protokole”, z tym że motor miał z tyłu dwa boczne kółka, dla równowagi. Mike pijał tylko rasowe whisky. Opisy innych hobby były jednak niejasne. Frederick, onegdaj jeden z najmłodszych pilotów RAF-u, z uwagą słuchał opowieści, że Mike uwielbia latać. Wprawdzie tylko bardzo, bardzo tanimi liniami, ale zawsze.

Spotkali się przypadkowo, zapoznał ich znajomy superkonserwatysta. Z dumą przedstawiał pol-

skiego antykomunistę, który odbył pielgrzymkę do przebywającego w londyńskim areszcie domowym generała Pinocheta. Frederick zrozumiał, że młody europejski lubi ryzyko. Zaskoczyła go cokolwiek fizis bohatera – ujrzał zachwyconego życiem, obfitego sybarytę w kolorowych, wysmakowanych okularach (szkła zerowe) – ale wnet pojął, że chodzi o wizerunek. Mike nie był zdziwiony, kiedy Frederick rzucił „Mogę coś dla ciebie zrobić, Mike?” podczas poobiedniej whisky w swojej podlondyńskiej, 26-pokojowej rezydencji Queen Anna, w rozciągającej się na 175 akrach posiadłości w hrabstwie Hertfordshire – East End Green. „Startuję do europarlamentu, pomożesz?” Frederick nienawi-

dził Unii Europejskiej, jego niezadowolnienie było widoczne na twarzy. „Wiesz, Fred, będę ją rozsadał od wewnątrz” – zapewnił Mike. „A jak się nazywa twoja formacja?”. Law&Justice. Frederick skrzywił się wewnętrznie, jako konserwatysta wiedział, że te dwa słowa nie były nicią przewodnią jego bestsellerów. „Daj, Mike, skrobnię ci coś?”

„Polska to wielki kraj ze wspinałymi ludźmi, którzy zasługują na godną reprezentację w Brukseli. Szczepie mówiąc, Michał Kamiński jest odpowiednią osobą do tego zadania. Będzie on walczył o interesy Polski wspierany przez swoich brytyjskich przyjaciół”. Frederick Forsyth (<http://www.michal-kaminski.pl/europejski2.htm>). □

VIVA!
PHOTO
AWARDS
2009

Konkurs
dla pasjonatów
fotografii

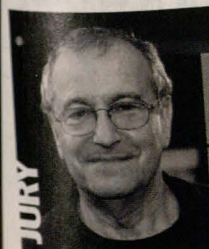


PHOTO AWARDS 2009

**DLA ZWYCIĘZCÓW KAŻDEJ
5 KATEGORII NAGRODY
PIENIĘŻNE 50000 ZŁ**

**ŁĄCZNEJ WARTOŚCI
DOBYWCA GRAND PRIX OTRZYMA SZANSE
REALIZOWANIA SESJI ZDJĘCIOWEJ
NA ŁAMACH DWUTYGODNIKA VIVA!
NAGRODĘ SPECJALNĄ OD FIRMY
APART (ZEGAREK BAUME & MERCIER)
ROZCZY WARSZTAT FOTOREPORTAŻU UFUNDOWANY PRZEZ AKADEMIE FOTOGRAFII**

KATEGORIE: MODA PORTRET BEAUTY REPORTAŻ FOTOGRAFIA PRZEDMIOTU
POCZĄTEK - 14.05.2009 **SZCZEGÓŁY KONKURSU NA**
www.photo-awards.viva.pl



RYSZARD HOROWITZ
PRZEWODNICZĄCY



CHRIS NIEIDENTHAL



GOSIA BACZYŃSKA



ROBERT WOLAŃSKI



**KATARZYNA
PRZYBYSZEWSKA**



MAREK KNAP

Termin nadsyłania prac: od 15 maja 2009 do 4 września 2009 r. Warunkiem przyjęcia zgłoszenia jest: zaakceptowanie regulaminu konkursu na stronie www.photo-awards.viva.pl.
viva.pl obowiązkowo do każdego zdjęcia lub serii zdjęć. Po zaakceptowaniu regulaminu należy przesłać zdjęcia w wersji cyfrowej przez stronę www.photo-awards.viva.pl oraz podczas wystawy konkursowej.
Wyniki: Ogłoszenie zwycięzców na przełomie października i listopada 2009 r. na łamach VIVY! i stronie www.photo-awards.viva.pl

Mecenas konkursu i wystawy:

APART
Z MIŁOŚCI DO PIĘKNA
BAUME & MERCIER
GENEVE - 1830

Patroni medialni:

TVP
TELEWIZJA POLSKA

chilla

onet.pl **polki.pl** **gofoto**

Partnerzy konkursu i wystawy:

OPERA
NARODOWA

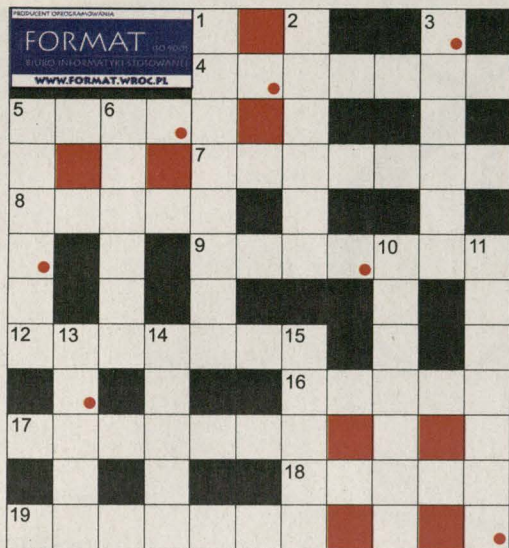
HUTOR

Honorowy Patronat konkursu i wystawy:

Prezydent Miasta Warszawy



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



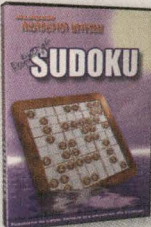
POZIOMO

4. NIECIE
5. ZAKOP OD TYŁU
7. ROBI KWAŚNĄ MINĘ
8. SIŁA ZŁEGO NA JEDNEGO
9. ŻAR SZCZAP
12. RZEPKĘ SKROBIE
16. ZA MAŁO KAPUSTY
17. MOJE USZANOWANIE
18. JĘZYKOZNAWCA
19. TWARDY CZŁONEK

PIONOWO

1. ULICZNIKA
2. NA WODĘ I NA POWIETRZE
3. KOLEGA MAZURKA
5. WIECZNIE NA GAZIE
6. FIN WE FRANCJI
10. RESZTKI PO LIKWIDACJI WSI
11. TARCZA WOJUJE
13. EDUKUJTA
14. 10 W SKALI GAŚNIENIC
15. SAMO POCZUCIE

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz – rozwiązanie.



Sponsorem nagród jest FORMAT – producent nowoczesnego oprogramowania edukacyjnego www.akademia-umyslu.edu.pl

JOLKA NR 20

AUTOR: JERZY BUCZEK

WYRAZY 12-LITEROWE:

- ANTKI JURY
- UZALEŻNIENIE OD KOLIBERKÓW

WYRAZY 9-LITEROWE:

- PRECJOZA Z SORBOZA
- SZYSZKA ZA MIESZKA

WYRAZ 8-LITEROWY:

- WSPÓLCZUJE MROŻONKOM

WYRAZY 7-LITEROWE:

- OD SŁOŃCA NA NOSIE
- NIE SZUKAJ GO PRZY SENTENCJI WYROKU
- OPUKANY ANGIELSKI
- SCOTT DO PODUSZKI

WYRAZY 6-LITEROWE:

- Z UPOREM SSA
- WYSŁUCHANA

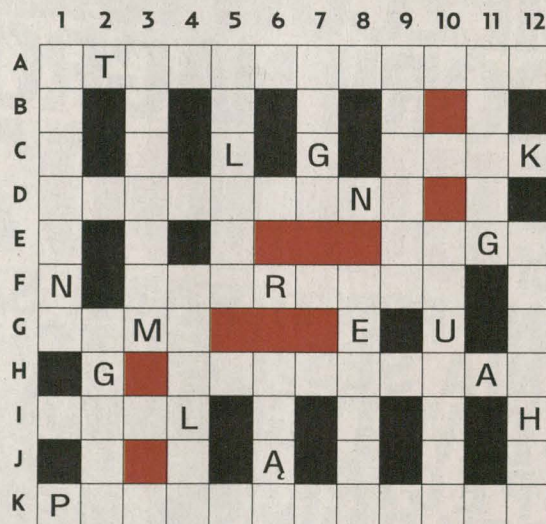
- PRZEZ GAŁGANĄ
- DŹWIGA LEŻAK
- HERKULES HOSS I BESS

WYRAZY 5-LITEROWE:

- OTUPYWANY PRZEZ CZŁOWIEKA I KRÓLOWĄ
- PODWÓJNY W SIATKACH

WYRAZY 4-LITEROWE:

- PIĘTRZ SIĘ, DNIEPRZE
- RANO RÓWNE, WIECZOREM OSTATNIE
- FEROMONY KIEPSKIEGO KUCHCIKA
- CO TAM INNE MISIE, SMISIE!
- ŚWIAT BEZ PROCESORA
- UKŁON W STRONĘ WIOSNY



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

D6_G12_J10_K6_H7_E10_B3_J12_I1_E1_F4_I8_A7_F7_I6_I3_A12_A6_I10_E9_B11_E3_A4_B7_D4_C10_C1_F3_K3_H4_

Uwaga! Jolkę nr 20 i krzyżówkę nr 20 możesz też wydrukować ze strony WWW.PRZEKROJ.PL

JESZCZE RAZ RACZKOWSKI



7 Dobra fotografia policyjna musi być ostra i wszystko musi być w niej czytelne. Fotografia artystyczna musi być estetyczna i musi wzbudzać w widzu uczucia. Rzadko się zdarza, żeby te dwa gatunki się spotkały

ARNOLD ODERMATT

KUBA DĄBROWSKI

Zen karambolu

Z posterunku do galerii – zadziwiająca kariera Arnolda Odermatta, policjanta ze szwajcarskiej drogówki

JEST ROK 1948, SZWAJCARSKI KANTON Nidwalden. Arnold Odermatt ma 23 lata. Pracuje w piekarni, jego specjalnością są ciasta. Praca cukiernika nie jest jednak jego wymarzoną posadą, Odermatt wolałby robić coś ciekawszego. Okazuje się, że nabor ogłasza lokalna policja. Piekarz odpowiada na zamieszczone w gazecie ogłoszenie. Zostaje przyjęty. Decydujące czynniki to znajomość francuskiego i umiejętność obsługi aparatu fotograficznego.

Nasz kanton był bardzo mały. Raptem 11 wiosek i niecałe 40 tysięcy mieszkańców – opowiada Odermatt „Przekroju”. Teoretycznie musieliśmy zajmować się wszystkim: od morderstw, przez kradzieże, po wypadki. Ale tak naprawdę oprócz wypadków nie działo się zbyt wiele.

Zadaniem Odermatta poza wypełnianiem tradycyjnych policyjnych procedur – przesłuchania świadków i spisania raportu – było sporządzenie fotograficznej dokumentacji miejsca wypadku. Na podstawie moich zdjęć sędzia miał zapoznać się z miejscem zdarzenia i wyobrazić sobie całą sytuację – mówi. Na jego zdjęciach nie ma jednak krwi, rozpaczających ludzi i połamanych kości. W pierwszej kolejności zajmowaliśmy się pomocą ranym. Proszę pamiętać, że nie byłem fotografem z tabloidu, tylko policjantem.

Swojego średnioformatowego rolleifksa Odermatt wyciąga dopiero po wykonaniu innych zadań. W związku z tym kadry są puste. Alpejskie pejzaże, malownicze górskie drogi i gładkie tafle czystych jezior, a między tym karambole. Piękne kompozycje, harmonia i spokój. Ciężko mi powiedzieć dlaczego, ale prawie od samego początku oprócz zdjęć na potrzeby dokumentacji robiłem własne kadry. Prowadziłem taki dzienniczek. Czasem wieszaliśmy te zdjęcia



Wystawę Arnolda Odermatta „Karambolage” jeszcze do końca maja można oglądać w krakowskiej Galerii Camelot. Wystawa jest częścią Miesiąca Fotografii w Krakowie

na ścianie posterunku. Lubilem ładne wypadki – wspomina autor.

W 1990 roku, dosłużywszy się stopnia wicekomendanta i pozycji szefa lokalnej drogówki, Odermatt przechodzi w stan spoczynku. Zaczyna prowadzić spokojne i w sumie nudne życie szwajcarskiego emeryta. Jego syn Urs (jest reżyserem filmowym, reżyseruje między innymi odcinki znanego w Polsce serialu kryminalnego „Posterunek 110”) pokazuje zdjęcia ojca znajomym w ramach ciekawostki. W połowie lat 90. odbitki zaczynają pojawiać się na wystawach. W 2001 roku Harald Szeemann prezentuje je na biennale w Wenecji. Zdezelowane samochody porównywane są do porzuconych w przestrzeni surrealistycznych rzeźb. Emerytowany policjant z dnia na dzień zostaje gwiazdą świata sztuki. Jego życie staje się ciekawsze: wernisaże, podróże, nowe znajomości.



Nowa Škoda Octavia

WIESZ CO DOBRE



Oto Nowa Škoda Octavia. Teraz jeszcze doskonalsza. Nowoczesna stylistyka i jeszcze bardziej ergonomiczne wnętrze, w którym znajdziesz m.in. system nawigacji z wbudowanym twardym dyskiem 30 GB i odtwarzaczem DVD. Wszystko zaprojektowane zgodnie z Twoją intuicją. System stabilizacji toru jazdy ESP w standardzie oraz skrzętne reflektory ksenonowe, które doświetlają zakręty, gwarantując Ci poczucie pełnego bezpieczeństwa. Innowacyjny, turbodoładowany silnik 1.4 TSI o mocy 122 KM łączy dynamikę i oszczędność, a rewolucyjna, dwusprzęgłowa, 7-stopniowa przekładnia DSG zapewnia idealnie płynną zmianę biegów.

I teraz wyobraź sobie, że to dopiero początek.

Umów się na jazdę próbną.
W końcu wiesz, co dobre.

[-22%

Teraz czteroosobowa wersja Premia
z pełnym odliczeniem VAT.
Szczegóły na: www.skoda-auto.pl/vat

www.skoda-auto.pl

